

Mazurek:  
Strategia jakości

Dudycz i in.:  
Studenckie ankiety

Filip:  
Po co nam polonistyka?

# FORUM

## AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 12/2023

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



### Kłopotliwy zysk

Kaja:  
Granice rzeźby

Szeptycki:  
Relacje polsko-ukraińskie

Smużewska:  
Fenomen Domeyki

# Skorzystaj z funduszy, znieś bariery, odkryj talenty

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju po raz kolejny pomoże uczelniom otworzyć się na studentów ze szczególnymi potrzebami. 150 mln zł na ten cel pochodzi z Programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego. Nabór wniosków o dofinansowanie projektów w konkursie „Dostępność podmiotów szkolnictwa wyższego” potrwa do 18 stycznia 2024 roku.

Dzięki wsparciu z Funduszy Europejskich już ponad 200 polskich uczelni podjęło działania, aby zapewnić obecnym i przyszłym studentom równe prawa w dostępie do kształcenia. Konkurs „Uczelnia dostępna”, który to umożliwił, będzie miał teraz swoich następców.

– Nasze doświadczenie pokazuje, że szkoły wyższe chętnie i z przekonaniem angażują się w likwidację barier w dostępie do studiów. Chcemy ułatwić im ten proces. Oczekujemy, że w efekcie konkursu „Dostępność podmiotów szkolnictwa wyższego” studentki i studenci ze szczególnymi potrzebami, w tym z niepełnosprawnościami, będą mogli korzystać z coraz szerszych możliwości zdobycia dobrego wykształcenia, a później satysfakcjonującej pracy na miarę swoich talentów i umiejętności – mówi dr Jacek Orzeł, dyrektor NCBR.

Wnioski o dofinansowanie mogą składać uczelnie oraz jednostki naukowe prowadzące szkoły doktorskie. Ale tylko te, które jeszcze nie realizowały projektów w trzech edycjach konkursu „Uczelnia dostępna” w ramach programu Wiedza Edukacja Rozwój, albo te, które realizowały je wyłącznie w ścieżce MINI, dającej szansę na rozpoczęcie podstawowych działań zmierzających do tworzenia uczelni dostępnej dla wszystkich. Dla szkół wyższych bardziej zaawansowanych w dostępności NCBR już planuje odrębny konkurs. Ruszy on w przyszłym roku.

## Dobry START, możliwy ROZWÓJ

Projekty zgłaszane do NCBR w konkursie „Dostępność podmiotów szkolnictwa wyższego” można będzie realizować w ramach jednej z dwóch ścieżek: START albo ROZWÓJ. O tym, którą z nich wybrać, decydują sami wnioskodawcy, po dokonaniu oceny swojego stanu dostępności.

Jak podkreśla NCBR, realizacja projektów ma służyć wzrostowi dostępności uczelni dla osób ze szczególnymi potrzebami wynikającymi ze stanu zdrowia – w tym osób z niepełnosprawnościami, studiujących, pracujących, współpracujących lub korzystających z oferty uczelni.

Ścieżka „Start ku dostępności” (START) przeznaczona jest dla uczelni, które rozpoczynają swoją drogę z dostępnością lub podjęły już pierwsze działania w tym zakresie, ale ich efekty są niewielkie. Realizacja projektu ma w ich przypadku stworzyć stabilną bazę do dalszego rozwoju, z której już w trakcie trwania projektu korzystać będą mogły osoby z niepełnosprawnościami.

– Wiemy, że początki są najtrudniejsze. Dobra wiadomość jest taka, że na ścieżce START uczelnie nie będą pozostawione samym sobie. Mogą czerpać wiedzę i uczyć się dobrych praktyk od szkół wyższych oraz innych instytucji, które mają już doświadczenie w zakresie podnoszenia poziomu dostępności. Szczególnie polecamy im kontakt z podmiotami, które realizowały projekty w ramach konkursu „Uczelnia dostępna” – mówi dyrektor Jacek Orzeł.

Ścieżka „Rozwój w dostępności” (ROZWÓJ) przeznaczona jest dla uczelni, które rozpoczęły już działania w obszarze podnoszenia dostępności i stworzyły bazę, którą z powodzeniem będą mogły rozwijać w ramach projektu. W wyniku realizacji projektu uczelnie powinny stworzyć lub rozwinać stabilną i sprawną strukturę wsparcia dla osób z niepełnosprawnościami, która będzie gwarantować świadczenie usług w trakcie realizacji projektu, a także po jego zakończeniu.

– Korzystając z własnych doświadczeń, także w ścieżce ROZWÓJ uczelnie mogą spożytkować know-how szkół wyższych bardziej rozwiniętych w zakresie dostępności. Zwłaszcza tych, które wzmacniały swoją otwartość na potrzeby osób z niepełnosprawnościami w programie „Uczelnia dostępna” – podkreśla dr Jacek Orzeł.

Wnioskodawca, dokonując wyboru jednej z wymienionych ścieżek, zobowiązuje się do spełnienia na wyjściu wszystkich wymagań przewidzianych dla danej ścieżki. Wymagania zostały przedstawione w „Opisie ścieżek dla naboru Dostępność podmiotów szkolnictwa wyższego”, który stanowi załącznik do Regulaminu Wyboru Projektów.

## Różne wymiary dostępności

Budżet konkursu „Dostępność podmiotów szkolnictwa wyższego” to 150 mln zł. Na realizację projektu NCBR przewiduje dofinansowanie wynoszące nawet 97 proc. jego wartości.

Projekty uczelnie będą realizować samodzielnie lub w partnerstwie, np. z inną uczelnią lub podmiotem prowadzącym szkołę doktorską. Dofinansowanie z programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego można przeznaczyć m.in. na usprawnienie struktury organizacyjnej, przełamywanie barier architektonicznych, wzmocnienie dostępności informacyjno-komunikacyjnej i cyfrowej. Projekty uwzględnią też tworzenie potrzebnych procedur i zapewnienie niezbędnych technologii wspierających. Uczelnie przeprowadzą działania podnoszące świadomość niepełnosprawności wśród kadry akademickiej i swoich studentów oraz zatrudzczą się o usługi wspierające edukację.

Szczegóły naboru „Dostępność podmiotów szkolnictwa wyższego”: [gov.pl/ncbr](http://gov.pl/ncbr)

MATERIAŁ INFORMACYJNY  
NARODOWEGO CENTRUM BADAŃ I ROZWOJU



## INFORMACJE I KOMENTARZE

Dariusz Wieczorek ministrem nauki	2
Wydarzenia	3
Roczny wynik nie pokazuje problemów finansowych – Arkadiusz Mężyk	6
Aby szybko nadrabiać dystans – Maciej Żukowski	7
Zamknięty krąg myślenia neokolonialnego – Piotr Wojtulek	8
Są też dobre informacje – Piotr Kieraciński	9
Światowa jakość w polskiej nauce? – Roman Bäcker	10
Złe wieści o relacji – Piotr Kieraciński	11
Rewolucja dla normalności – inne finansowanie nauki – Andrzej Rychard	12
Akcja „Jowita” – Piotr Kieraciński	13
60 lat Rady Towarzystw Naukowych – Iwona Hofman	14
Powstaje nowy Słownik polskich towarzystw naukowych	15
Podnoszenie poziomu badań czy wyścig o punkty? – Jan Cieśliński	16
Sportowe indeksy po raz czwarty	18
Uczelnie obniżają koszty dzięki platformie EDU web360 – materiał sponsorowany	19
OPI stawia na sztuczną inteligencję – materiał sponsorowany	37

## ROZMOWA FORUM

Liczy się tylko wartość, którą kreujesz – rozmowa z prof. Grzegorzem Mazurkiem, rektorem ALK	20
---	----

## STUDENCKIE ANKIETY

Profesorowi zachciało się interakcji – Tadeusz Dudycz	24
Czy ocena zajęć dydaktycznych ma sens? – Justyna M. Bugaj	27
Istotne narzędzie, mimo ograniczeń – Kamila Puppel, Jan Słószarz, Justyna Więcek	31
Jeszcze gotowi pomyśleć, że to my jesteśmy dla nich... – Wojciech Czakon	34

## ŻYCIE NAUKOWE

## Uczony i jego środowisko

Jak się w nauce administruje? – Paweł Kawalerski	38
---	----

## Z archiwum nieuczciwości naukowej (204)

Polowanie na nieistniejącego plagiatora – Marek Wroński	41
--	----

## ŻYCIE AKADEMICKIE

Polonistyka, czyli kim jesteśmy? – Grzegorz Filip	45
--	----

Czas rozliczeń – Zbigniew Drozdowicz	50
Dotknięcie dłoni? – rozmowa z prof. Robertem Kają, dziekanem Wydziału Rzeźby i Intermediów ASP w Gdańsku	53
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	58

## Publikuj lub giń

Tylko zwierzęta nie błędzą – Marek Misiak	59
--	----

## Z LABORATORIÓW

Współczesne stosunki polsko-ukraińskie – Andrzej Szeptycki	62
Odyseja Jana Szkota Eriugeny – Agnieszka Kijewska	65

## W STRONĘ HISTORII

Niezwykłe historie akademickich gmachów – Marcelina Smużewska	68
--	----

## Portrety nauki polskiej

Parę ciekawostek o Ignacym Domeyce – Marcelina Smużewska	71
---	----

## OKOLICE NAUKI

Medicus curat, natura sanat – Artur Wolski	74
---	----

## Książki

Kopernikologia według dziennikarza – Justyna Jakubczyk	77
Niezaskuszenie usunięty – Jacek Hnidiuk	77
Człowiek z kufrem na plecach – Marek Misiak	78
Polemiki młodego Turowicza – Bogdan Bernat	78
One są – Aneta Zawadzka	79
Bogactwo Wilna – Juliusz Gałkowski	79

## FELIETONY

## Szkiełko w oku

Kłopotliwa synonimia – Piotr Müldner-Nieckowski	76
--	----

## Na marginesach nauki

Dziwne i „zbędne” – Leszek Szaruga	80
---------------------------------------	----

Projekt okładki – Sławomir Makal	
----------------------------------	--

## FORUM AKADEMICKIE Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXIX Nr 12 (361) Grudzień 2023

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Banys, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmiedt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieraciński@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

# Dariusz Wieczorek ministrem nauki

Dariusz Wieczorek z Nowej Lewicy objął tekę ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Zastąpił Krzysztofa Szczuckiego, kierującego ministerstwem tylko przez dwa tygodnie – rząd, w skład którego wchodził nie uzyskał bowiem wotum zaufania.

Nowy gabinet Donalda Tuska składa się z 19 ministerstw. Dotychczasowy resort edukacji i nauki podzielono na dwa odrębne ministerstwa. Apelowało o to od początku środowisko akademików. „Utworzenie w 2021 roku jednego ministerstwa obejmującego naukę, szkolnictwo wyższe i oświatę doprowadziło do spadku znaczenia badań naukowych i obniżenia realnych nakładów przeznaczanych na ten cel. Pokazało również całkowitą odmienność mechanizmów finansowania i zarządzania edukacją szkolną względem edukacji akademickiej i nierozzerwalnie z nią związanych badań naukowych” – pisali pod koniec października szefowie Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego (Marcin Pałys), Polskiej Akademii Nauk (Marek Konarzewski) i Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (Maciej Żylicz). Podkreślali, że połączenie obu tych dziedzin w jednym resorcie nie przyniosło spodziewanych korzyści. Za rozdziałem opowiedziała się też Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich.

Akademikom sprzyjały okoliczności. Wiadomo było, że przy tak dużej koalicji tworzącej większość parlamentarną, dodatkowy resort nie będzie stanowił przeszkody, a wręcz przeciwnie – ułatwi podział władzy między wszystkich partnerów. Zdecydowano się więc na dwa ministerstwa, w wyniku czego obszar edukacji trafił w ręce Koalicji Obywatelskiej (Barbara Nowacka), a nauki i szkolnictwa wyższego – do Nowej Lewicy. Wiceprzewodniczący (od 2021 roku) tej partii powstałej z przekształcenia SLD – Dariusz Wieczorek – stanął na czele Ministerstwa Nauki.

Dariusz Wieczorek ur. się w 1965 roku. Jest absolwentem Wydziału Elektrycznego Politechniki Szczecińskiej (magister inżynier elektryk). Do tej pory nie był kojarzony z podległym mu obecnie sektorem. W latach 1998–2001 piastował stanowisko wiceprezydenta Szczecina. Przez dwie kadencje zasiadał w Radzie Miasta Szczecin, a przez trzy – w Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego. Pracował w różnych instytucjach turystycznych, m.in. jako dyrektor oddziału w fundacji „Almatur” i Centralnym Ośrodku Informacji Turystycznej,

a także jako dyrektor generalny Regionalnej Agencji Promocji Turystyki. W ostatnich wyborach z powodzeniem ubiegał się o mandat poselski. Zdobył 15 378 głosów. Pod koniec lat osiemdziesiątych był zaangażowany w działalność Zrzeszenia Studentów Polskich. Otrzymał za to w 2000 roku Złoty Krzyż Zasługi.

W swoich pierwszych wypowiedziach nowy minister nauki i szkolnictwa wyższego zapewnił o wzroście płac w nauce o 30 procent i reformie listy czasopism punktowanych. Uczestniczył też w posiedzeniu Komisji Ewaluacji Nauki. Drugiego dnia urzędowania udał się do Poznania, gdzie

od kilku tygodni studenci Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza okupowali wyłączony z użytkowania ze względu na zły stan techniczny dom studencki „Jowita”, domagając się pozostawienia tego obiektu jako akademika. Minister zapewnił, że uniwersytet otrzyma stosowną pomoc finansową, aby wyremontować obiekt i przywrócić jego dotychczasowy sposób użytkowania. Ma to zająć cztery lata i kosztować ok. 100 mln zł.

Przypomnijmy, że resorty edukacji oraz nauki i szkolnictwa wyższego scalono – po 15 latach – w 2021 roku. Było to efektem zmian, do jakich doszło w wyniku ówczesnej rekonstrukcji rządu. Radę Ministrów uszczuplono wtedy o sześć resortów: z 20 do 14. Modyfikacje objęły właśnie m.in. naukę i szkolnictwo wyższe, które

połączono z edukacją. Co ciekawe, część środowiska akademickiego w liście otwartym do posłów i senatorów RP sugerowała wtedy, by w razie konieczności rozważyć ewentualne połączenie nauki i szkolnictwa wyższego, ale z Ministerstwem Rozwoju. Ostatecznie utworzono Ministerstwo Edukacji i Nauki. Takie rozwiązanie funkcjonowało już w przeszłości. Ostatnim ministrem, w kompetencjach którego leżały obie te domeny, był od 31 października 2005 do 5 maja 2006 roku prof. Michał Seweryński. Jemu też jako pierwszemu powierzono później (do 16 listopada 2007) kierowanie wyodrębnionym Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Przez kolejne lata szefami resortu byli: prof. Barbara Kudrycka (6 lat), prof. Lena Kolarska-Bobińska (2 lata), dr Jarosław Gowin (4,5 roku) i Wojciech Murdzek (pół roku). W 2020 r. na utworzone z połączenia dwóch resortów stanowisko ministra edukacji i nauki powołano dr. hab. Przemysława Czarnka.



Fot. Archiwum

Gal

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku 2024 redakcja „Forum Akademickiego” składa najlepsze życzenia wszystkim Autorom, Czytelnikom i Sympatykom

FORUM  
AKADEMICKIE

## Cztery „konsolidatory”

**WARSZAWA** Czwooro polskich naukowców, wszyscy z Uniwersytetu Warszawskiego, zdobyło prestiżowe granty Consolidator Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych. Dr hab. Ewa Szczurek z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki będzie pracować nad wygenerowaniem nowych peptydów przeciwdrobnoustrojowych. Dr hab. Szymon Toruńczyk z tego samego wydziału zechce dowieść twierdzeń matematycz-



Fot. DW

nych, które określają teoretyczne możliwości algorytmów wykonujących obliczenia na grafach. Dr hab. Paweł Caputa z Wydziału Fizyki zamierza przesunąć granice rozumienia kwantowej teorii pola i czarnych dziur w kwantowej grawitacji. Projekt dr Magdaleny Wojcieszak z Ośrodka Badań nad Migracjami zakłada zastosowanie modelu czynników wpływających na konsumpcję treści informacyjnych publikowanych w internecie. Wartość każdego z grantów wynosi około 2 mln euro. W tym roku o ERC CoG ubiegało się 2130 naukowców, w tym 54 z Polski. Do finansowania skierowano 308 projektów o łącznej wartości 627 mln euro. Oznacza to, że wskaźnik sukcesu wyniósł 14,46%, a w przypadku polskich wnioskodawców – 7,4%.

## Piąta kadencja

**WARSZAWA** Prof. Leszek Kaczmarek z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN został ponownie wybrany na prezidenta European Molecular Biology Conference. Będzie to już jego piąta kadencja na tym stanowisku. EMBC powstała w 1969 roku. Obecnie skupia 31 państw, głównie członków Unii Europejskiej (Polska przystąpiła w 1999 r.). Zadaniem organizacji jest wspieranie współpracy europejskiej oraz finansowanie kształcenia i rozwoju kariery naukowców w dziedzinie biologii molekularnej. Program EMBC realizowany jest głównie za pośrednictwem EMBO (Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej). Prof. Kaczmarek jest biologiem molekularnym, w Nenckim kieruje Pracownią Neurobiologii Molekularnej i Komórkowej. Od czterech lat stoi na czele Centrum Doskonałości w zakresie neuroplastyczności i chorób mózgu (BRAINICITY) finansowanego z programu MAB Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.



Fot. Arch. prywatne

## Bez zmian na czele KR D

**KRAKÓW** Michał Klimczyk ze Szkoły Doktorskiej Nauk Inżynieryjno-Technicznych Politechniki Rzeszowskiej został ponownie wybrany na przewodniczącą Krajowej Reprezentacji Doktorantów. Był jedynym kandydatem do objęcia tego stanowiska w kolejnej kadencji. To czternasty w historii sternik KR D. Od 2021 roku pracuje w pionie prorektora ds.



Fot. Kamil Pudełko

rozwoju i współpracy z otoczeniem PRz. W ub.r. był członkiem Prezydium Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz członkiem Komisji Nauki i Komisji ds. międzynarodowych RGNiSW. Jest m.in. współautorem propozycji krótkoterminowych wyjazdów zagranicznych jako jednego z wymiarów mobilności akademickiej. Pisaliśmy o tym w FA 7-8/2022.

## LIDER po raz czternasty

**WARSZAWA** Ponad 70 mln zł na realizację projektów badawczo-rozwojowych otrzyma 41 młodych naukowców wyłonionych w programie LIDER Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Jest on skierowany do doktorantów, nauczycieli akademickich nieposiadających stopnia doktora oraz doktorów (w tym habilitowanych), którzy uzyskali ten stopień nie wcześniej niż w ciągu ostatnich 7 lat. W gronie laureatów są przedstawiciele 25 instytucji, w tym 19 uczelni, 3 instytutów Sieci Badawczej Łukasiewicza oraz 3 instytutów PAN. Maksymalna wysokość dofinansowania jednego projektu wyniosła 1,8 mln zł – taką sumę otrzyma czterech naukowców. Najwięcej projektów będzie realizowanych na Politechnice Warszawskiej (7). Najwyższe oceny otrzymał pomysł dr. inż. Adriana Augustyniaka z Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie (na fot.), którego celem będzie opracowanie efektywnej technologii produkcji piocyjaniny. Od 2009 roku odbyło się już czternaście konkursów LIDER, w wyniku których wyłoniono blisko 600 naukowców. Przyznano im ponad 730 mln zł na autorskie projekty badawcze.



Fot. Aurelia Kolodziej

## Federacji (na razie) nie będzie

**POZNAŃ** Wstrzymano prace nad federacją poznańskich uczelni – poinformowała prof. Bogumiła Kaniewska, rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Sama idea nie została jednak zarzucona. Rektorzy czekają po prostu na lepszy pod względem finansowym i prawnym moment wprowadzenia jej w życie. Federacja ośmiu poznańskich uczelni publicznych: UAM, Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego, Uniwersytetu Ekonomicznego, Uniwersytetu Przyrodniczego, Politechniki Poznańskiej, AWF im. Eugeniusza Piaseckiego, Uniwersytetu Artystycznego im. Magdaleny Abakanowicz, Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego miała według zapowiedzi nastąpić w tym roku. Wzbudziło to obawy. – Według części poznańskiego środowiska historii i tradycji poszczególnych uczelni nie należy kłaść na szali wielkiego uniwersytetu, mimo że ten z pewnością będzie bardziej skuteczny w zdobywaniu środków finansowych i będzie zajmował wyższe pozycje w rankingach – przyznała na antenie Radia Poznań rektor UAM. Na razie współpraca ograniczy się do pionierskiego programu „PoMost”, który umożliwi studentom realizację wybranego przedmiotu na innej uczelni w Poznaniu.

## Medal Młodego Uczzonego dla humanisty

**WARSZAWA** Dr Mateusz Łeżyk z Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego – jako pierwszy humanista w historii – otrzymał Medal Młodego Uczzonego. Wyróżnienie przyznawane jest przez Politechnikę Warszawską za uznane osiągnięcia w dziedzinie nauki i innowacji technicznej oraz inne wybitne osiągnięcia twórcze. Obszarem aktywności tegorocznego laureata jest filozofia matematyki, a dokładniej zagadnienia związane z uzasadnianiem poprawności układów aksjomatów dla matematyki. W swojej pracy wykorzystuje formalne narzędzia współczesnej logiki matematycznej do modelowania i wyjaśniania problemów filozoficznych. Obecnie pracuje w Zakładzie Logiki na Wydziale Filozofii UW.



Fot. DW

## Nagroda dla pioniera

**WARSZAWA** Dr hab. inż. Artur Kasprzak z Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej został laureatem Nagrody Naukowej im. prof. Mieczysława Mąkoszy. To jedyny naukowiec na świecie zajmujący się zastosowaniem związku o nazwie sumanen w nanomateriałach niwelujących toksyczność cezu. Opracował nowy materiał, składający się z magnetycznych nanocząstek węglowych z rdzeniem kobaltowym modyfikowanych



Fot. PW

sumanem. Badania potwierdziły, że może być wykorzystywany wielokrotnie, ma dużą pojemność adsorpcyjną i można go łatwo regenerować – wystarczy trochę wody. Próby z zawierającymi sól cezu ściekami wodnymi powstającymi w trakcie prac nad prekursorem leku przeciwnowotworowego i w przypadku ścieków generowanych w rutynowych syntezach organicznych wypadły pomyślnie. Nagrodę w wysokości 12 tys. zł przyznaje Fundacja im. Mieczysława Mąkoszy.

## Nagroda FEBS dla badacza z UJ

**KRAKÓW** Dr Guillem Ylla z Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymał FEBS Excellence Award – prestiżową nagrodę przyznaną przez Federation of European Biochemical Societies. Służy



Fot. UJ

ona wsparciu liderów grup badawczych rozpoczynających karierę zawodową i realizujących projekty z zakresu nauk przyrodniczych na poziomie molekularnym. Po raz pierwszy wyróżnienie to trafiło do Polski. Dr Ylla, kierownik Pracowni Bioinformatyki i Biologii Genomu na Wydziale Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, otrzymał 100 tys. euro na 3 lata.

Środki zostaną wykorzystane na badania mechanizmu molekularnego, na podstawie którego gen E93 może determinować określony rodzaj rozwoju owadów (metamorfozę prostą lub złożoną). Dr Ylla związany jest z UJ od listopada 2021 r. Przed przyjazdem do Polski pracował na Uniwersytecie Harvarda w USA.

## Zachodniopomorskie Noble

**SZCZECIN** Nagrodę promującą najważniejsze osiągnięcia naukowców z województwa zachodniopomorskiego otrzymali: dr hab. Paweł Gut, dr hab. Paulina Niedźwiedzka-Rystwej, dr hab. inż. Jarosław Wątróbski (wszyscy Uniwersytet Szczeciński), dr inż. Paula Ossowicz-Rupniewska, dr hab. inż. Arkadiusz Nędzarek, dr inż. arch. Arkadiusz Polewka (wszyscy Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie), prof. Bogusław Machaliński (Pomorski Uniwersytet Medyczny), dr hab. inż. Krzysztof Nozdrzykowski (Politechnika Morska w Szczecinie), dr hab. Zofia Wollny (Akademia Sztuki w Szczecinie). Zachodniopomorskie Noble wręczone są od 2001 roku autorom publikacji w wysoko notowanych czasopiśmie oraz wdrożonych lub sprzedanych patentów.

## Doktorat h.c. – prof. Jan Pawełek

**LUBLIN** Specjalista w zakresie inżynierii i ochrony środowiska został doktorem honoris causa Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie. Jego osiągnięcia naukowe obejmują podstawy programowania, projektowania,

budowy i użytkowania systemów zaopatrzenia w wodę i odprowadzania ścieków na obszarach wiejskich, hydrotransportu granulowanego węgla aktywnego stosowanego w oczyszczaniu wody i ścieków. Prowadzi badania dotyczące zużycia wody w gospodarstwach wiejskich, jakości wody powierzchniowej, technologii jej oczyszczania w powiązaniu z możliwością stosowania zbiornikowej rezerwy, a także odprowadzania i oczyszczania ścieków z osiedli wiejskich. Ma na koncie 218 prac. Jest związany z Uniwersytetem Rolniczym im. Hugona Kołłątaja w Krakowie.



Fot. Alicja Jaroszewska

## Doktorat h.c. – prof. Marian Gorynia

**WROCŁAW** Prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego został doktorem honoris causa Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się na strategii przedsiębiorstw w biznesie międzynarodowym, problematyce konkurencyjności przedsiębiorstw, ekspansji polskich firm na rynki międzynarodowe, mezoekonomii oraz polityce wspierania konkurencyjności. W latach 2008–2016 był rektorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, z którym jest związany od początku swojej kariery. To jeden z najbardziej rozpoznawalnych i najbardziej cenionych polskich ekonomistów. Jego dorobek naukowy obejmuje ponad 600 publikacji i artykułów naukowych.



Fot. UPEW

## Doktorat h.c. – prof. Judit Puskas

**SZCZECIN** Badaczka z The Ohio State University, twórczyni szkoły naukowej elastomerów termoplastycznych i kauczuków, została doktorem honoris causa Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie. To jedenasta osoba uhonorowana najwyższą godnością akademicką przez tę uczelnię. Jej badania wniosły znaczący wkład w rozwój medycyny. Opracowała m.in. metodę funkcjonalizacji polimerów z wykorzystaniem katalizy enzymatycznej jako nośników związków diagnostycznych i terapeutycznych w leczeniu nowotworów. Efektem jej prac są także bezpieczne implanty piersi o właściwościach przeciwnowotworowych i diagnostycznych. Jednym z jej osiągnięć jest wynalezienie kopolimeru blokowego stosowanego jako powłoka w ratujących życie stentach naczyń krwionośnych.



Fot. Aurelia Kłodziej

## Doktorat h.c. – prof. Janusz Żmija

**WARSZAWA** Specjalista w zakresie ekonomii i organizacji produkcji zwierzęcej z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie otrzymał tytuł doktora honoris causa Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Doceniono jego zasługi w kształceniu kadry i upowszechnianiu osiągnięć naukowo-badawczych z zakresu ekonomii rolnej i rozwoju wsi. Głównymi kierunkami jego badań są: organizacja oraz ekonomika chowu bydła mlecznego i mięsnego, rozwój gospodarstw rolnych poprzez działania grupowe producentów, ekonomiczno-organizacyjne aspekty produkcji zwierzęcej, problemy rozwoju małych gospodarstw



Fot. Aurelia Kłodziej

rolnych, rozwój agrobiznesu i przedsiębiorczości na terenach wiejskich. W latach 2005–2012 był rektorem ówczesnej Akademii Rolniczej w Krakowie. Obecnie pełni funkcję dyrektora Europejskiego Centrum Badawczego Drobnych Gospodarstw Rolnych.

## Doktorat h.c. – prof. Waldemar Priebe

**BIAŁYSTOK** Światowy autorytet w dziedzinie chemii medycznej, szczególnie leków przeciwnowotworowych, otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Białostockiej. Jego badania koncentrują się na chemii i biologii nowotworów oraz racjonalnym projektowaniu i przedklinicznym opracowywaniu nowych metod leczenia chorób nowotworowych, a także chorób zakaźnych. Spośród zaprojektowanych przez niego leków, pięć nowych związków zostało zakwalifikowanych do badań klinicznych u pacjentów onkologicznych. Prof. Priebe od kilkunastu lat zaangażowany jest w rozwój nowego leku przeciw ludzkiemu glejakiowi. Priebe jest absolwentem Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego. Obecnie pracuje jako profesor chemii medycznej na Wydziale Leków Eksperymentalnych w Centrum Rakowym MD Anderson w Houston.



Fot. Arch. prywatne

## Genisteina działa!

**GDAŃSK** Efektywność działania genisteiny w chorobie Huntingtona wykazali na modelu zwierzęcym naukowcy z Uniwersytetu Gdańskiego. Wyniki ich badań opublikowało czasopismo „Autophagy”. Genisteina to związek chemiczny z grupy flawonoidów, który występuje w roślinach bobowatych, m.in. w soi. Od dawna jest przedmiotem badań zespołu prof. Grzegorza Węgrzyna, który zajmuje się rzadkimi chorobami genetycznymi i neurodegeneracyjnymi. Najnowsze badania dowiodły, że leczenie genisteiną stymuluje proces autofagii w mózgu myszy, prowadząc do korekty objawów choroby Huntingtona. Co ważne, skuteczność potwierdzono również wtedy, gdy terapia została włączona już po pojawieniu się objawów. Sugeruje to, że związek ten może być rozważany jako potencjalny lek. W Gdańsku pracują nad doustną tabletką, która mogłaby wspomóc terapię, ale też działać profilaktycznie. O badaniach tych pisaliśmy w FA 11/2021.

## Nagrody „po krakosku”

**KRAKÓW** Troje naukowców odebrało Nagrody Miasta Krakowa. Wyróżnienia, których tradycja sięga XVI wieku, są wyrazem uznania dla dokonań krakowian pracujących na rzecz rozwoju i wzmocnienia twórczego oraz naukowego potencjału miasta. Laureatami zostali: prof. **Czesław Brzoza** z Wydziału Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalista w zakresie najnowszej historii Polski; prof. **Jan Potempa** z Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego prowadzący badania nad bakteriami wywołującymi choroby przyzębia oraz dr hab. inż. **Katarzyna Wolny-Koładka** z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie (na fot.), która zajmuje się szeroko rozumianą mikrobiologią środowiskową, w tym oceną czystości mikrobiologicznej wód Zalewu w Nowej Hucie.



Fot. Arch. prywatne

## Najbardziej prodoctoranccy

**ZABRZE** Wyłoniono najbardziej prodoctoranckie inicjatywy minionego roku akademickiego. W poszczególnych kategoriach nagrodzono: Radę Samorządu Doktorantów Politechniki Gdańskiej (Aktywny Samorząd Doktorantów), Uczelnianą Radę Samorządu Doktorantów Politechniki Śląskiej (Skuteczny Samorząd Doktorantów), Zachodniopomorskie Porozumienie Doktorantów (Dynamiczny Start), monografię naukową *Status Doktorantów w Ustawie 2.0* (Projekt Naukowy), projekt „Zdrowy Senior” Samorządu Doktorantów Uniwersytetu Rzeszowskiego (Wydarzenie), Szkoły Doktorskie Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie oraz Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN (Szkoła Doktorska), Instytut Fizyki Jądrowej PAN im. Henryka Niewodniczańskiego (Otwarcia na Świat). Konkurs organizuje Krajowa Reprezentacja Doktorantów.

## Badania nad uchodźstwem

**KOSZALIN** Centrum Badań nad Uchodźstwem i Emigracją powstaje na Politechnice Koszalińskiej. Jednym z celów jednostki ma być popularyzowanie wiedzy o Polonii, Polakach i osobach polskiego pochodzenia z różnych regionów świata. Dzięki wieloletniej aktywności miejscowych badaczy pozyskano imponujące zbiory źródeł do badań nad działalnością Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, rządu RP na uchodźstwie i jego agend, licznych organizacji rządowych i społecznych na uchodźstwie, udziału przedstawicieli uchodźstwa polskiego w organizacjach i stowarzyszeniach międzynarodowych itp. Kolekcja zawiera też materiały dotyczące losów Polaków na uchodźstwie, w tym dzieci (także sieroty) ewakuowanych z ZSRS w 1942 roku. Zbiory będą zaprezentowane na stworzonym właśnie portalu internetowym. Planowane są konferencje naukowe na temat stanu badań nad uchodźstwem niepodległościowym i wkładem badaczy koszalińskich w ten obszar nauki. Centrum będzie organizowało też wydarzenia edukacyjne i popularyzatorskie, m.in. wystawy tematyczne.

## Leksykon, jakiego nie było

**KATOWICE** Około dwustu badaczy z różnych ośrodków w kraju brało udział w przygotowywaniu *Leksykonu terminów medialnych*. To największa tego typu publikacja na polskim rynku medioznawczym. Powstała w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Medialnej Uniwersytetu Śląskiego. Jej pomysłodawcą i redaktorem naukowym (obok dr hab. Krystyny Doktorowicz – UŚ, dr. Pawła Płanety – UJ i dr. hab. Ryszarda Filasa – UJ) jest prof. Kazimierz Wolny-Zmorzyński. Leksykon ma na celu przedstawienie współczesnych zmian w krajoznawstwie komunikowania, ukazanie dorobku autonomicznej już nauki o komunikacji na tle osiągnięć innych dyscyplin, a także spopularyzowanie dorobku polskich uczonych – medioznawców i przedstawicieli dyscyplin pokrewnych. Liczy 3 tys. haseł, zarówno definicyjnych, jak i problemowych. Opatrzono je krótkimi komentarzami wyjaśniającymi. W gronie autorów znajdują się m.in.: ekonomiści, filmoznawcy, historycy, językoznawcy, kulturoznawcy, literaturoznawcy, medioznawcy, politolodzy, prawnicy, socjologowie i teolodzy.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Jerzy Doroszkiewicz, Monika Jaskowiak, Emilia Kujawa, Izabella Majewska, Jolanta Nowacka, Agata Pustułka, Lucyna Róg, Krzysztof Szwejk, Krzysztof Szymański, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej  
[www.forumakademickie.pl](http://www.forumakademickie.pl)

oraz na naszych profilach na Facebooku i na platformie X



# Roczny wynik nie pokazuje problemów finansowych

Przedstawiona w artykule redaktora Piotra Kieracińskiego *Uczelnie z miliardowym zyskiem!* (FA 11/2023) pobieżna analiza sytuacji finansowej uczelni uwzględniła tylko ocenę wypracowanego przez nie zysku operacyjnego oraz wyniku finansowego netto osiągniętego w 2022 roku. Szczególnie trudne do zaakceptowania dla środowiska akademickiego jest stwierdzenie, że sytuacja uczelni nie jest taka zła, jak to jest prezentowane przez instytucje szkolnictwa wyższego i nauki. Aby lepiej zrozumieć problemy środowiska obraz sytuacji finansowej polskich uczelni publicznych, powinny być analizowane i komentowane w skali całego szkolnictwa wyższego, zarówno uczelni publicznych, jak i niepublicznych, sytuacji materialnej studentów oraz doktorantów, a także w kontekście złożoności struktury finansów instytucji naukowych i szkolnictwa wyższego. Uczelnie praktycznie nie da się zbilansować do zera przy kilkusetmilionowym budżecie, który dodatkowo jest zamykany w końcu marca roku następującego po roku budżetowym, a często trzeba jeszcze finansować drogie inwestycje będące w toku lub rozpoczynające się na początku nowego roku. Miliard złotych wykazanego we wspomnianym artykule łącznego wyniku uczelni to zaledwie 5% środków przeznaczonych z budżetu państwa na subwencje dla uczelni. Wynik ten jest m.in. efektem pozyskiwania przez szkoły wyższe dodatkowych środków na badania i planowane długoletnie inwestycje, w tym dochodu ze sprzedaży obligacji lub elementów własnego majątku.

Analizowany rok 2022 może wydawać się dobrym do wnioskowania ze względu na wiele kryzysowych wydarzeń, ale pamiętajmy, że kryzys energetyczny rozpoczął się w połowie roku, a jego skutki dotknęły uczelnie dopiero pod koniec roku lub na początku roku 2023. Wynikało to z zawartych długoterminowych kontraktów na dostawę energii, które kończyły się w roku 2022. Zebrane przez KRASP dane były jednak bardzo alarmujące, a dopiero po posiedzeniu sejmowej podkomisji stałej do spraw nauki i szkolnictwa wyższego we wrześniu 2022 i przedstawieniu przez KRASP realnych kosztów energii w uczelniach wraz z wizją nadchodzącej zapaści finansowej udało się wpisać szkoły wyższe na listę jednostek objętych regulowanymi stawkami energii elektrycznej i zmniejszyć skutki kryzysu.

Podstawowym problemem, z którym obecnie borykają się polskie uczelnie, jest niski wzrost poziomu finansowania w stosunku do poziomu inflacji, która wg założeń budżetowych ma wynieść w latach 2022-2024 łącznie 33%, a jednocześnie rosną koszty funkcjonowania instytucji szkolnictwa wyższego i nauki. Uczelnie ponoszą też skutki wzrostu płacy minimalnej w gospodarce.

W związku z trudną sytuacją płacową i ekonomiczną w środowisku akademickim podczas prac dotyczących ustawy budżetowej na rok 2024 KRASP kilkakrotnie zgłaszał postulaty: zwiększenia wynagrodzeń od 1 października 2023 (łącznie o 17,2% w odniesieniu do roku 2022) w całym szkolnictwie wyższym i nauce finansowanym z budżetu państwa; zwiększenia budżetu na szkolnictwo i naukę o taką kwotę, aby subwencja przekazana uczelniom publicznym wzrosła łącznie do kwoty 21,6 mld zł w 2024 roku; przeznaczenia dodatkowych środków finansowych na tworzenie i utrzymanie infrastruktury badawczo-dydaktycznej, w szczególności specjalnych urządzeń badawczych i infrastruktury informatycznej oraz na wykupienie dostępu do międzynarodowych baz publikacji.

Obecnie wynagrodzenia w szkolnictwie wyższym i nauce, szczególnie po ogłoszeniu stawek minimalnej płacy w gospodarce w 2024 roku, są demotywuujące. Ich skutkiem jest gwałtowne „spłaszczenie”

struktury wynagrodzeń w instytucjach akademickich oraz odpływ kadry akademickiej i pracowników niebędących nauczycielami akademickimi do sfery gospodarczej.

Zagrażają nam niedobory nowych kadr naukowych, zapaść w szkołach wyższych i zmiany, których skutki zarówno uczelnie, jak i państwo polskie, będą odczuwały przez najbliższe kilkadziesiąt lat.

Nieatrakcyjne stały się także stypendia w szkołach doktorskich. Skutkiem tej sytuacji jest zmniejszająca się liczba kandydatów do realizacji prac doktorskich, co wkrótce pogłębi niedobory wysoko-kwalifikowanej kadry w szkolnictwie wyższym, nauce oraz gospodarce zaawansowanych technologii.

Proponowane w październiku 2023 przez MEiN zwiększenie minimalnego wynagrodzenia zasadniczego profesora o 30% w 2024 roku, czyli do kwoty 9370 zł, robi duże wrażenie medialne. Jednak odpowiednie rozporządzenie nie zostało dotychczas podpisane, a w projekcie budżetu państwa nie zapewniono dotąd środków na pokrycie skutków finansowych takiej decyzji w szkołach wyższych i instytucjach naukowych.

Decyzja o wzroście minimalnego wynagrodzenia zasadniczego profesora w zaproponowanym zakresie jest bardzo potrzebna, ale w planowanym przez MEiN wariantcie powoduje konieczność zapewnienia środków na podwyżki płac średnio co najmniej o 20% (przy obecnie zaplanowanym w projekcie budżetu wzroście płac o 12,3%), co wymagałoby dodatkowych 1,7 mld zł, a pozostałe brakujące środki do realizacji minimalnego wynagrodzenia zasadniczego miałyby obciążać przekazane uczelniom subwencje. Po drugie, wspomniane 9370 zł to tylko 2,18-krotność płacy minimalnej, czyli tyle, żeby minimalne wynagrodzenie zasadnicze innych nauczycieli akademickich, a w praktyce asystentów, było nieznacznie większe od płacy minimalnej obowiązującej w 2024 roku. Gdy wprowadzono w 2018 roku przepis dotyczący struktury płac w uczelniach, minimalne wynagrodzenie zasadnicze profesora było ponad trzykrotnie wyższe od krajowej płacy minimalnej. Pamiętajmy, że zgodnie z ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce struktura minimalnych wynagrodzeń nauczycieli akademickich jest określana w odniesieniu do minimalnego wynagrodzenia zasadniczego profesora i wynosi odpowiednio dla prof. uczelni 83% tego wynagrodzenia, adiunkta 73%, a pozostałych nauczycieli 50%. Oznacza to, że średnia podwyżka płac o 20% w uczelniach, przy wysokiej płacy minimalnej i strukturze minimalnych wynagrodzeń zasadniczych, spowodowałaby konieczność zapewnienia w pierwszej kolejności odpowiednich płac wynikających z przepisów w poszczególnych grupach stanowisk, a dopiero następnie realizację pozostałych podwyżek. Zatem groziłoby to dalszym „spłaszczeniem” struktury wynagrodzeń w szkolnictwie wyższym. Bez zapewnienia znacznie większych środków w budżecie państwa na ten cel podwyżki będą dotyczyć głównie osób najniżej zarabiających, a w dużej części będą zależeć od stanu finansów poszczególnych uczelni i instytucji.

Według ówczesnych szacunków MEiN dodatkowe 1,7 mld złotych w budżecie państwa pozwoliłoby zrealizować minimalne wynagrodzenie zasadnicze profesora w jednostkach szkolnictwa wyższego i nauki tylko przy zaangażowaniu środków z subwencji szkół wyższych. W takim przypadku „zaledwie kilku uczelniom” nie wystarczyłoby na zrealizowanie obowiązujących przepisów. Oznaczałoby to jednak całkowitą stagnację, brak środków na wzrost kosztów utrzymania, odtwarzanie infrastruktury i utrzymanie drogiej aparatury badawczej.

Z szacunków KRASP określonych na podstawie dobrowolnych ankiet szkół wyższych wynika, że stan finansów uczelni pogarsza się, i oprócz wspomnianych środków na wynagrodzenia, potrzeba ponad 1 mld zł w skali całego szkolnictwa wyższego dla skompensowania rosnących kosztów utrzymania uczelni w 2023 roku.

Doceniamy społeczną rolę wzrostu płacy minimalnej, jednak przy braku stosownych regulacji także innych wynagrodzeń ma ona wpływ na gwałtowny spadek konkurencyjności zatrudnienia w uczelniach. Przewidywany wzrost wynagrodzeń jest inwestycją w rozwój naszego kraju, a jego koszt jest nieporównywalnie mniejszy od kosztów społecznych wynikających z zapaści w środowisku akademickim.

Uczelnie podejmują liczne działania zmierzające do ograniczenia kosztów swojego funkcjonowania, w tym do zmniejszenia zużycia energii. Jednak możliwości są ograniczone, a zdecydowana większość środków z subwencji uczelni publicznych przeznaczana jest na pokrycie kosztów wynagrodzeń. Powinniśmy skupiać się na doskonaleniu kształcenia i badań naukowych, a nie tylko na „wiązanu końca z końcem”. System szkolnictwa wyższego i nauki wymaga inwestowania oraz merytorycznej dyskusji na temat nowoczesnego systemu finansowania, stosownych zmian w przepisach prawa, a także pozyskiwania pieniędzy ze źródeł zewnętrznych. Poziom finansowania szkolnictwa wyższego i nauki zwiększa się wprawdzie corocznie w kwotach bezwzględnych, jednak udział środków szkolnictwa wyższego i nauki w PKB spada. Wg danych z sierpnia 2023 wynosił niecałe 1,1% w porównaniu z 1,33% w 2020 roku. Dla przypomnienia – dążymy do poziomu 3% PKB.

Sytuacja jest poważna, szczególnie w kontekście planowanych w kraju ambitnych inwestycji w zaawansowane technologie energetyczne, medyczne, informatyczne czy też produkcję komponentów elektronicznych. Potrzebujemy silnego zaplecza naukowego. Nie będziemy mieli możliwości nawiązania równorzędnej współpracy w zakresie działalności badawczo-rozwojowej ze światowymi liderami bez rozwoju własnego systemu szkolnictwa wyższego i nauki. Chcemy, aby nasz kraj włączał się do grona kreatorów postępu, a nie tylko był wytwórcą produktów z obszaru zaawansowanych technologii lub ewentualnie tylko licencjobiorcą.

Liczymy na to, że nowy rząd, minister finansów oraz minister nauki i szkolnictwa wyższego zrealizują zapowiadaną 30-procentową podwyżkę wynagrodzeń nauczycieli akademickich oraz odpowiednie podwyżki wynagrodzeń pracowników uczelni niebędących nauczycielami, co wymagać będzie jednak dodatkowych 3-4 miliardów złotych w stosunku do zapisów w projekcie ustawy budżetowej.

Warto przypomnieć, że w Polityce Naukowej Państwa, przyjętej w 2022 roku przez Rząd RP, stwierdzono, że „stały wzrost nakładów finansowych na szkolnictwo wyższe i naukę stanowi niezbędny warunek rozwoju tego systemu, a w konsekwencji rozwoju państwa”, a jednym z priorytetowych działań państwa jest „zwiększenie atrakcyjności kariery w systemie szkolnictwa wyższego i nauki”.

Prof. dr hab. inż. Arkadiusz Meżyk,  
rektor Politechniki Śląskiej, przewodniczący KRASP

## Aby szybko nadrabiać dystans

Artykuł Piotra Kieracińskiego *Uczelnie z miliardowym zyskiem!*, opublikowany listopadowym numerze „Forum Akademickiego” oraz na stronie internetowej forumakademickie.pl, uwzględnia wyłącznie ocenę wypracowanego przez uczelnie zysku operacyjnego oraz wyniku finansowego netto osiągniętego w 2022 roku. To zawężenie analizy daje nieprawdziwy obraz sytuacji finansowej polskich uczelni publicznych.

Dla oceny kondycji finansowej uczelni należałoby uwzględnić strukturę przychodów i kosztów bieżącej działalności operacyjnej (w tym rosnący udział kosztów stałych), poziom nakładów inwestycyjnych, analizę zadłużenia, a przede wszystkim analizę płynności finansowej (w tym zgromadzonych środków pieniężnych). Należałoby też wziąć pod uwagę relację kapitałów obcych do kapitałów własnych uczelni, a także uwzględnić sytuację makroekonomiczną oraz wpływ otoczenia prawnego i decyzji administracji rządowej na funkcjonowanie uczelni w 2022 roku.

Wnioskowanie dotyczące kondycji finansowej jakiegokolwiek podmiotu gospodarującego, w tym uczelni, wymaga także oceny danych w czasie. Według danych GUS, ogólny wynik finansowy netto publicznych uczelni w ostatnich latach systematycznie się zmniejsza.

Przedmiotem pogłębionej analizy powinien być także fakt, że niemal trzecią część zysków sektora stanowiła w roku 2022 nadwyżka przychodów pozaoperacyjnych. Część zysku pozaoperacyjnego stanowią przychody finansowe, a w szczególności odsetki od depozytów i lokat bankowych, wysokie w warunkach wysokiej inflacji. Pozostała część zysków pozaoperacyjnych może stanowić m.in. zysk ze sprzedaży składników majątku trwałego, w tym nieruchomości. Tego rodzaju działania mają charakter incydentalny. Ich ewentualna kumulacja w 2022 roku mogłaby świadczyć o poszukiwaniu przez uczelnie dodatkowych środków na pokrycie straty w ramach podstawowej działalności operacyjnej.

Warto ponadto podkreślić fakt, że 2021 roku uczelnie otrzymały jednorazowe zwiększenia subwencji ze środków przeznaczonych na finansowanie zadań inwestycyjnych. W latach 2022 i 2023 uczelnie uzyskały możliwość przeznaczenia tych środków na pokrycie kosztów działalności bieżącej, co również mogło być wykorzystywane na pokrycie rosnących kosztów dóbr i usług. Na tym przykładzie warto też podkreślić fakt, że uczelnie otrzymały te środki we wcześniejszym okresie rozliczeniowym niż rok, w którym wykazane były jako przychód, co może zniekształcać relację osiągniętego wyniku finansowego do realnej płynności finansowej w danym roku.

Na sytuację finansową uczelni negatywnie wpływają rosnące koszty utrzymania infrastruktury, wynikające nie tylko ze wzrostu cen energii elektrycznej, energii cieplnej czy gazu, ale też rosnących cen usług porządkowych i ochrony mienia, na co szczególnie wpływ ma wzrost minimalnego wynagrodzenia za pracę oraz wysokości minimalnej stawki godzinowej. Płace w uczelniach pozostają w tyle za płacami w gospodarce, co zniechęca zdolnych młodych ludzi do pozostawania w uczelniach.

Wszystkim nam powinno zależeć na tym, by Polska nadal szybko nadrabiała dystans wobec wyżej rozwiniętych państw. Nie osiągniemy tego bez zainwestowania w edukację, szkolnictwo wyższe i naukę. Dokumentuje to raport przygotowany przez Konferencję Rektorów Uczelni Ekonomicznych, zatytułowany *Nauka i szkolnictwo wyższe a PKB*, który można bezpłatnie pobrać z internetu (<https://www.sbc.org.pl/dlibra/publication/755861>).

W imieniu KRUE rektor Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu  
prof. dr hab. Maciej Żukowski

(Odpowiedzi Piotra Kieracińskiego na str. 9 i 11.)

# Zamknięty krąg myślenia neokolonialnego

Dr Piotr Wojtulek, geolog i prawnik z Uniwersytetu Wrocławskiego, pisze o kompleksach dręczących polską naukę i błędach systemowych, które nie pozwoliły nam wy dostać się z neokolonialnych zależności w badaniach naukowych.

W Polsce nauka i szkolnictwo wyższe nie nadają tonu w debacie publicznej; sprawy te nie były poruszane nawet w debatach przedwyborczych. Poszukując odpowiedzi na pytanie, jakie są źródła tego stanu rzeczy, warto zauważyć, że przez cały okres III RP wydatki na naukę w Polsce utrzymywane są na bardzo niskim poziomie. To było i jest świadomą decyzją polityczną, za którą stoi ocena, że inwestowanie w inne dziedziny życia w Polsce jest ważniejsze bądź przynosi większe korzyści polityczne. W ostatnich latach o wzroście nakładów słyszeliśmy w związku z tym przykładowo w dziedzinie obronności lub zdrowia, ale nie w dziedzinie nauki i szkolnictwa wyższego. Nauka i edukacja na poziomie wyższym przegrywa wyścig o poparcie społeczne, za co będziemy płacić choćby dalszym obniżeniem konkurencyjności studiów oferowanych w Polsce i problemami strukturalnymi całego sektora nauki. Powstaje jednak pytanie, czy decyzje polityczne są wyłącznym powodem tego stanu rzeczy? W jakim procencie to samo środowisko naukowe w Polsce odpowiada za niski priorytet nauki i szkolnictwa wyższego w planowaniu polityki publicznych?

Odpowiedź można wielorako. Po pierwsze, każde wybory parlamentarne przynoszą elekcję parlamentarzystów związanych z nauką i szkolnictwem wyższym. Sądząc po utrzymującym się od zawsze na niskim poziomie wskaźniku finansowania nauki, wydaje się, że znaczna reprezentacja naukowców w parlamencie nie przekłada się w związku z tym na poprawę warunków funkcjonowania tego sektora. Po drugie, sami naukowcy dostrzegają problemy zarządcze we własnym środowisku, które utrudniają pracę badawczą i dydaktyczną. Po trzecie w końcu, wydaje się, że w warunkach państwa demokratycznego, w którym priorytety ustalane są w ramach deliberowania, nie potrafimy jako naukowcy zaproponować społeczeństwu narracji, która mogłaby przekonać je do poniesienia większych ciężarów na inwestycje w wiedzę. Dlaczego tak się dzieje? Po wielu latach przyglądania się nauce w Polsce, i funkcjonowania na uniwersytecie, chciałbym postawić tezę, że sposób myślenia o nauce w naszym kraju w wielu aspektach realizuje aksjomaty neokolonialne, przez co sami rezygnujemy z poprawy jakości w obszarze naszej aktywności.

Sporo do myślenia powinien dać fakt, że samo zjawisko neokolonializmu w nauce jest w Polsce bardzo rzadko dyskutowane. Za granicą tymczasem pojawiło się wiele określeń na nie, a taki sposób uprawiania nauki nazywa się często nauką z helikoptera, safari-nauką czy nauką spadochronową. Termin *neo-colonial science* doczekał się obszernych opracowań naukowych, dyskusji na światowych konferencjach, a także artykułów adresowanych do szerokiej sfery odbiorców, między innymi w portalu Wikipedia. Polska Wikipedia milczy o tym, podobnie niewiele efektów daje wyszukiwanie terminu „nauka neokolonialna” w najbardziej popularnej wyszukiwarce internetowej. Bazując zatem na opisach zagranicznych, naukę neokolonialną można zdefiniować jako naukę uprawianą przez bada-

czy z bogatych państw, dysponujących dobrym zapleczem finansowym, infrastrukturalnym i kapitałem ludzkim, którzy prowadzą swoje badania przy wykorzystaniu zasobów państw uboższych. Najbardziej jaskrawym przejawem nauki z helikoptera pozostaje zbieranie próbek geologicznych na obszarze państw uboższych, a następnie wywożenie ich do krajów dysponujących zapleczem aparaturowym i finansowym. W żaden sposób nie buduje to potencjału naukowego kraju, na obszarze którego pobrano próbki i którego dotyczą badania. Jednak przejawy postępowania neokolonialnego można zauważyć w znacznie większej liczbie dziedzin nauki. Niezależnie jednak od tematyki badań, w nauce neokolonialnej zawsze łatwo wskazać zwycięzcę i przegranego. Przegranym zawsze będzie ten, czyjego baza zasobów do uprawiania nauki jest mniejsza. Tu nie ma sytuacji typu win-win, a neokolonializm powoduje wyłącznie pogłębienie negatywnych tendencji, które wtłaczają ofiarę w jeszcze wyższy poziom uzależnienia od silniejszych graczy.

Zapewne wielu czytelników oburzy się, czytając o neokolonializmie naukowym w kontekście sytuacji nauki w Polsce. Wszak jesteśmy krajem Unii Europejskiej, który od czasów transformacji ustrojowej i gospodarczej poczynił znaczące postępy, zmodernizował się i wzbogacił. Czy jed-

nak korzyści z transformacji rozłożyły się równomiernie na wszystkie dziedziny życia w Polsce i czy nauka stała się znaczącym beneficjentem ogólnej poprawy sytuacji? Czy pomimo transformacji tkwi w nas myślenie neokolonialne, ustawiające nas samych w roli petentów systemu nauki przede wszystkim dostarczającego tzw. contentu innym? Być może zarzut wtłaczania samych siebie w ramy neokolonializmu jest nazbyt radykalny i bardziej odpowiednim modelem dla wyjaśnienia opisywanych procesów byłby paradygmat Wallersteina i kwestia pozycjonowania się z góry w roli peryferii lub pół-peryferii, tym niemniej odwołanie się do neokolonializmu wydaje się precyzyjniej wyodrębnić zjawiska, z którymi mamy do czynienia w naszej nauce.

Wymienić można kilka tego przykładów, z których najbardziej jaskrawym jest kwestia dostępu do laboratoriów badawczych. Dostęp do laboratoriów wyposażonych w wysokiej jakości sprzęt analityczny jest kwestią kluczową w uprawianiu nauk doświadczalnych, przyrodniczych i ścisłych. Niewielki dostęp do takich laboratoriów w danym systemie nauki oznacza rezygnację z uprawiania badań na wysokim poziomie i wymusza pracę na metadanych. Innym sposobem poradzenia sobie z tym problemem jest outsourcing prac analitycznych na zewnątrz, zlecenie wszelkich bardziej wymagających technologicznie prac badawczych do laboratoriów funkcjonujących za granicą. Skoro jednak wysokiej jakości laboratoria naukowe są domeną odpowiednio sfinansowanych i zarządzanych systemów nauki państw wysokorozwiniętych, to one czerpią gros korzyści z prac naukowych proponowanych przez naukowców z systemów neokolonialnych. Strumień transferu korzyści obejmuje tu nie tylko transfer środków finansowych na badania, ale także pomysłów,



publikacji czy cytowań. Biorąc to pod uwagę, kraje, które poczyniły inwestycje w naukę, postawiły w dużej mierze na rozwój laboratoriów, które stały się miejscami jej kreowania. Laboratoria przyciągają naukowców z zewnątrz, a zatem i ich pomysły, kapitał intelektualny, powodując większą wymianę myśli i ferment naukowy, a w końcu stwarzając możliwość budowania wokół nich zespołów naukowych. W Polsce natomiast system laboratoryjny wydaje się kształtować z dużymi oporami, wynikającymi przykładowo z niechęci odpowiedniego finansowania etatów technicznych do obsługi sprzętu badawczego, trudnościami w sfinansowaniu aparatury, a nawet braku dobrej koncepcji jej wykorzystania. Oczywiście są miejsca, gdzie w udany sposób rozwiązano te problemy i powstały świetnie prosperujące laboratoria. Wydaje się jednak, że dominuje u nas aksjomat myślenia neokolonialnego lub peryferyjnego, w którym prostszą opcją jest outsourcing badań naukowych, a wartość samą w sobie stanowi podróżowanie po laboratoriach w różnych krajach świata, wszak „podróż kształcą”. Takie podejście byłoby uzasadnione pod warunkiem, że także i nasz kraj przyciągałaby podobną liczbę naukowców, jak liczba naukowców z Polski outsoursujących swoje badania do laboratoriów zagranicznych.

Wyprowadzamy poza nasz system jednak nie tylko same badania, ale również sposób ich publikacji. Jak zauważył w jednym z wywiadów dla Polskiej Agencji Prasowej prof. Aleksander Welfe, „polscy naukowcy wydają dziesiątki milionów złotych rocznie na publikowanie w czasopismach, które naukowe są tylko z nazwy, a niewiele mają wspólnego z jakością naukową”. Do ostatniej ewaluacji zostało zgłoszonych 26 tys. artykułów z czasopism należących wyłącznie do jednego wydawcy, MDPI, których całkowity koszt wyniósł 274 mln zł, co podliczył dla „Forum Akademickiego” prof. Przemysław Hensel. Widzimy, że po raz kolejny outsourcing, tym razem publikacji nauko-

wych, pozwala nam pójść na skróty. Oczywiście zjawiska outsourcingu badań i publikacji nie są wyłączną winą naukowców. Nie sprzyja nam przecież choćby nonsensowne w wielu kwestiach otoczenie prawno-instytucjonalne, które w niedostateczny sposób zachęca do tworzenia laboratoriów, a z poziomu centralnego od wszystkich naukowców wymaga wypełnienia konkretnej liczby slotów publikacyjnych, w sztywny sposób wymuszając dyscyplinę publikowania. Nie sprzyjają nam w końcu słabości rodzimej gospodarki, która nie tworzy synergii z nauką. To z kolei jest nadal powodem eksportowania krajowych pomysłów przemysłowych za granicę przez zmuszonych do tego gospodarczą rzeczywistością naukowców-wynalazców.

Jest oczywiste, że głównym źródłem problemów strukturalnych nauki w Polsce jest niski poziom finansowania. Nakłady na naukę w Polsce kształtowały się w ostatnich latach pomiędzy 0,4 a 0,7% PKB (nie wliczając środków na rozwój), co powoduje przede wszystkim drenaż mózgow, bo praca w słabo wynagradzanym i niedofinansowanym sektorze nauki nie jest atrakcyjna. Powoduje to także rezygnację z przyciągania do sektora nauki i szkolnictwa wyższego liderów, którzy mogliby podnieść jakość zarządzania nauką i pomóc w przełamaniu zakłętą kręgu włączania samych siebie w ramy peryferyjne czy neokolonialne. Warto mówić o tym głośno polskim politykom, ponieważ najwyraźniej nie rozumieją oni, że oprócz pogorszenia sytuacji w edukacji na poziomie wyższym i w innowacjach, zjawisko neokolonializmu w nauce uderza bezpośrednio w budżet państwa. Wszak Polska pozostaje płatnikiem netto do naukowego budżetu Unii Europejskiej, nie potrafiąc skutecznie rywalizować o środki unijne na badania naukowe. Oznacza to, że polski podatnik w warunkach niedofinansowania własnej nauki finansuje systemy nauki funkcjonujące w innych, bogatszych od Polski państwach członkowskich. Czyż i to nie jest wyraźnym przejawem neokolonializmu?

## Są też dobre informacje

Chcę odnieść się do obu ciekawych polemik do mojego artykułu z listopada tego roku, uzupełniających obraz finansów szkół wyższych, wynikający z ich bilansów. Pokazałem twarde dane, którym trudno zaprzeczyć. Zresztą raport Głównego Urzędu Statystycznego dotyczący sytuacji szkolnictwa wyższego w roku 2022 potwierdza je i dodaje też, że uczelnie niepubliczne poradziły sobie równie dobrze z ogólnym wynikiem finansowym, wyniósł on 411 mln zł i był niemal najwyższy w historii (lepiej było tylko w roku 2021 – 444 mln zł), a jeszcze w 2015 roku ta grupa odnotowała ponad 47 mln zł strat. Dane GUS mówią też, że wyniki finansowe publicznych szkół wyższych są ostatnio najwyższe w historii. Tegoroczny raport pokazuje tylko okres 2015–2022, w którym wzrosły one o 70% (nie uwzględniam roku 2019, gdy wynik uczelni publicznych wyniósł ponad 1,76 mld zł i był niemal trzykrotnie lepszy niż w 2015 r.). Świadczy to, niezależnie od zastrzeżeń moich polemistów, o dobrym radzeniu sobie uczelni w trudnej sytuacji ekonomicznej, wynikającej z trudności okresu pandemii, wzrostu cen, zwłaszcza za energię oraz wzrostu minimalnego wynagrodzenia w gospodarce. Wiemy jednak, że za pięknymi liczbami kryją się trudne braki, o których obaj Rektorzy napisali. I ja też je znam. Warto czasami jednak podać także dobre informacje.

Swoją drogą chciałbym zobaczyć twarde dane o skali odejść z nauki i szkolnictwa wyższego do gospodarki i o rzeczywistych przyczynach tego zjawiska. Nie jestem przekonany, że płace w szkolnictwie wyższym są tak marne, że powodują odpływ kadry, może w niektórych przypadkach, np. informatyków, ale na pewno nie większości nauk społecznych czy humanistycznych.

Dlaczego w ogóle podjąłem temat? Ponieważ pojawiły się w mediach artykuły, w których porównuje się minimalną podstawę wynagrodzenia profesora w Polsce z pełnymi wynagrodzeniami profesorów na świecie. Po pierwsze, w Polsce w szkolnictwie wyższym i nauce, ale i w całym sektorze publicznym (w prywatnym często także) systemy wynagrodzeń są skomplikowane, a podstawa naliczania płac (w wielu uczelniach i instytucjach wyższa niż urzędowa minimalna) nie odzwierciedla wysokości faktycznych wynagrodzeń. Druga sprawa to wzrost wynagrodzeń w ostatnich ośmiu latach. Mam dane niepełne, bo dotyczy tylko płac profesorów. Otóż w roku 2015 średnia płaca profesora wynosiła 10 300 zł miesięcznie, zaś w 2023 wynosi 14 650 zł (dwukrotność średniej krajowej). Oznacza to wzrost o ponad 42%, czyli mniej więcej na poziomie inflacji, a wyższy od tempa wzrostu PKB. Warto też spojrzeć na to od strony wartości płacy w euro. W 2015 wynosiła on ok. 2467 euro. Obecnie jest to 3255 euro (przyjmując kurs na poziomie 4,5 zł za euro). Mimo, że większość naszych płac wydajemy w kraju, fajnie poczuć się lepiej na zagranicznych wakacjach, gdy dysponuje się wyższymi funduszami. Jak podczas niedawnej debaty na Śląskim Festiwalu Nauki powiedziała Pani Rektor Celina Olszak: to nie pieniądze decydują o atrakcyjności pracy w nauce, ale wiele innych czynników. Można o nich poczytać w raporcie, do którego odwołał się prof. Maciej Żukowski.

Piotr Kieraciński

# Światowa jakość w polskiej nauce?

Prof. Roman Bäcker, politolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, sugeruje, że zmiana na stanowisku ministra edukacji i nauki nie wystarczy, by zmienić na lepsze polską naukę i szkolnictwo wyższe. Najwięcej zależy od samych naukowców i uznawanych przez nich standardów merytorycznych i etycznych.

Staranie o najlepszy kształt polityki naukowej należy zacząć od sformułowania jej podstawowych celów. Po pierwsze, chodzi o zintegrowanie polskiej nauki ze światową. Badania naukowe, aby miały sens, muszą opierać się na dorobku uczonych z całego świata, a wyniki polskich badań muszą być elementem dorobku nauki światowej. Po drugie, około dziesiątki najlepszych polskich uczelni powinno dążyć do znalezienia się w gronie najbardziej znaczących uniwersytetów światowych. Po trzecie, konieczne jest dążenie do powszechnego i obowiązkowego przestrzegania w świecie naukowym najwyższych standardów etycznych.

Rzeczą fundamentalną jest całkowita zmiana zasad punktacji czasopism naukowych. Muszą one być zgodne z istniejącymi i merytorycznie weryfikowanymi kryteriami ich hierarchizowania. Posiadanie IF oraz miejsce na listach Web of Science i Scopus powinny być podstawami takiej punktacji. Czasopisma, które nie spełniają tych kryteriów, nie mogą mieć tyle samo lub więcej punktów co czasopisma je spełniające. Na kilku kierunkach filologicznych (oraz w dziedzinie sztuk pięknych) możliwe jest ustalanie hierarchii punktacji bez uwzględniania tych kryteriów. Najlepsze czasopisma światowe w tych przypadkach po prostu nie ubiegają się o IF oraz wejście na listy Scopus i WoS. Jednakże specjaliści z tych kierunków doskonale znają światową hierarchię swoich periodyków.

Urealnienie punktacji musi też oznaczać wyeliminowanie wszystkich czasopism drapieżnych (predatory journals). W przypadku periodyków polskich nie spełniających żadnego z tych dwóch podstawowych kryteriów (IF i bazy Scopus oraz WoS) konieczne jest ustalenie jasnych kryteriów pozwalających na ich hierarchizowanie. Kryterium bazowym powinno być to, czy artykuły publikowane w tych czasopismach spełniają kryteria naukowości, a więc rozwiązują problem badawczy na choćby elementarnym poziomie poprawności teoretycznej i metodologicznej. Kryteria wejścia, a następnie zajmowania odpowiedniego miejsca na liście punktowanych czasopism muszą być jasne, znane i precyzyjne pod względem merytorycznym. Tym samym miejsce na liście powinno być rezultatem spełnienia przez periodyki ściśle określonych warunków bez możliwości podejmowania decyzji uznaniowych.

Konsekwencją takiego skonstruowania listy powinno być wyeliminowanie finansowania publikowania tekstów naukowych w czasopismach. Jedynym wyjątkiem może być uzyskiwanie dostępu do open access w czasopismach z IF i znajdujących się w bazach Scopus i WoS.

Zwiększenie dofinansowania jest niezbędne dla przetrwania polskiej nauki. W tej chwili absolwent studiów doktoranckich po uzyskaniu stopnia doktora (jeśli ma szczęście i wygra konkurs), uzyskuje pensję adiunkta, a czasami asystenta, która jest mniejsza niż ta, jaką otrzymuje jego kolega ze szkoły podstawowej zatrudniony w dużym sklepie. Najlepsi, najzdolniejsi i najbardziej aktywni absolwenci studiów magisterskich wiedzą doskonale, że mogą prawie natychmiast zarobić więcej niż profesor tytularny, idąc do pracy w niektórych sektorach biznesu. Mechaniczna podwyżka pensji naukowców nie jest jednak krokiem wystarczającym. Konieczne jest radykalne zwiększenie wysokości środków przeznaczonych dla NCN. W tej chwili poziom sukcesu w uzyskaniu grantu w NCN jest w niektórych konkursach niższy niż np. w konkursach grantowych Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych. Warto też rozważyć zwiększenie wysokości budżetu NAWA przeznaczanego na

wymianę międzynarodową oraz na badania finansowane przez NCBR, oczywiście po dokonaniu odpowiednich zmian w tej ostatniej instytucji. Niezbędne jest stworzenie odpowiednich zachęt



Fot. A. Romaniński

dla zwiększenia efektywności pracy pracowników nie będących nauczycielami akademickimi oraz poziomu wykorzystania infrastruktury uczelni. Dopiero po wprowadzeniu tych zmian sensowne będzie przeprowadzenie za dwa, trzy lata ewaluacji jednostek naukowych na podstawie nowych, całkowicie merytorycznych, a nie uznaniowych kryteriów.

Jednakże już w tej chwili trzeba wprowadzić mechanizmy zabezpieczające przed możliwymi patologiami. Ogromna większość jednostek naukowych otrzymała po ostatniej ewaluacji uprawnienia do nadawania stopni doktora i doktora habilitowanego. Istnieje możliwość, że niektóre z nich mogą pójść śladami opisywanego przez Bogusława Śliwerskiego Wydziału Pedagogicznego Katolickiego Uniwersytetu w Rużomberku. Może należy rozważyć możliwość odbierania uprawnień do nadawania stopni jednostkom, które pójdą tą drogą?

Rada Doskonałości Naukowej przeprowadzająca m.in. postępowania o nadawanie tytułu profesora jest wybierana w tej chwili również przez doktorów habilitowanych. Nic dziwnego, że poziom odrzucania wniosków (wliczając odwołania) jest nadal bardzo niski. Nic by się nie stało, gdyby bierno i czynne uprawnienia wyborcze do RDN posiadali wyłącznie profesorowie tytularni. O wiele ważniejsze jest jednak precyzyjne ustalenie, a następnie rygorystyczne przestrzeganie kryteriów (być może osobno dla każdej dziedziny naukowej), których spełnienie pozwala na uzyskanie stopnia doktora habilitowanego oraz tytułu naukowego.

Nie jest sensowne tworzenie zachęt, by profesorowie przechodzili na emeryturę, a takie bodźce to pozbawianie prawa głosu na posiedzeniach rad naukowych, czy ustawowe dyskryminowanie poprzez możliwość pracy tylko przez cztery lata po rozpoczęciu pobierania emerytury. We wszystkich innych zawodach można pracować bez ograniczeń po przejściu na emeryturę powyżej 65 roku życia, a w przypadku kobiet 60 roku. Jest to tym bardziej zaskakujące, gdy uświa-

domi się, że efektywność pracy naukowej nie jest znacząco zależna od wieku (w porównaniu z innymi zawodami).

Szereg polskich uczelni posiada ugruntowaną pozycję w światowej nauce, co widać w różnych rankingach. Nie oznacza to, że nie mogłaby być ona lepsza. Polska „liga bluszczowa” nie powstałaby jednak bez spełnienia przynajmniej dwóch warunków. Pierwszym z nich jest wsparcie decyzyjne i finansowe władz publicznych, a drugim wola, pracowitość i determinacja wszystkich bez wyjątku pracowników takich uczelni. Jeśli rządzący stworzą odpowiednie mechanizmy i uruchomią środki dla realizacji powyższego celu, to możliwe jest bardzo szybkie znalezienie się kilku polskich uczelni wśród trzystu najlepszych na świecie. Jednakże musi to być program dobrowolny, w którym zwiększone wymagania będą rekompensowane znacznie wyższymi od przeciętnych wynagrodzeniami. Od wszystkich pracowników naukowych i naukowo-dydaktycznych tych uczelni należy wymagać publikowania co najmniej w czasopiśmie z wysokim wskaźnikiem IF, uznanym w danej dyscyplinie za prestiżowy, lub znajdujących się w górnej połowie list Scopus i WoS. Jest to kryterium minimalne stosowane przy zatrudnianiu w wielu uczelniach na świecie, w tym np. w Wietnamie czy Słowacji. Ocena pracownicza, w tym dorobku naukowego, powinna się odbywać w takich uczelniach nie co cztery lata, a np. co dwa lata. To wystarczający okres, by udowodnić swoje zaangażowanie w pracę naukową. Bez takich uczelni nie pojawi się efekt przyciągania najzdolniejszych ludzi z całego świata do Polski. Będziemy skazani na trwałe pozostawanie na peryferiach światowej nauki. To z Polski najzdolniejsi studenci i naukowcy w tej chwili uciekają za granicę i w przyszłości będą uciekali, jeśli nie zmienimy sytuacji.

Kryteria etyczne nie dotyczą tylko przestrzegania elementarnych zasad obowiązujących w każdej dziedzinie twórczości, takich jak zakaz kradzieży cudzej własności intelektualnej czy traktowanie innych ludzi z poszanowaniem ich godności. Równie ważne jest też ściśle przestrzeganie elementarnych zasad oceny dorobku naukowego przy postępowaniach awansowych oraz recenzowania poszczególnych tekstów. Dopisywanie swoich nazwisk do cudzych tekstów, po to by uniknąć zwolnienia z pracy lub aby własna jednostka uzyskała wyższą ocenę ewaluacyjną, jest tożsamy z plagiatem. Warto pamiętać też o tym, że osoby piszące recenzje nierzetelne, niedostrzegające elementarnych wad tekstów naukowych albo je dostrzegające, ale formułujące niekompatybilne z tymi wadami wnioski, powinny podlegać takim samym rygorom dyscyplinarnym, jak w przypadku plagiatu. Każda nierzetelność w nauce, niezależnie od sposobu jej przejawiania się, powinna być adekwatnie traktowana. Rzetelność w nauce oznacza nie tylko formułowanie ocen wyłącznie o charakterze merytorycznym. Jest również niezbędnym elementem badań naukowych prowadzonych z najwyższym poziomem staranności.

Jeśli chcemy zerwać z procesami marginalizacji, woluntaryzacji decydenckiej oraz polityzacji nauki, z czym ostatnio się borykaliśmy, jakkolwiek zmiana personalna na stanowisku ministra nie wystarczy. Musimy również sami się zmienić. Nie wtargniemy do światowej nauki czołówki natychmiast, jednym wielkim skokiem, ale realizacja warunków, które przedstawiłem powyżej, pomoże ten proces zrealizować, a może nawet przyspieszyć.

## Złe wieści o relacji

Pan Profesor Arkadiusz Mężyk przypomniał o spadku nakładów na szkolnictwo wyższe i naukę w relacji do PKB. Otóż w 2020 r. wynosiły one 1,33% PKB, a obecnie już tylko 1,1%. Warto się do tych danych odnieść, bo wskaźnik 1,33% nie byłby zły, gdyby nie fakt, że chodzi o szkolnictwo wyższe i naukę łącznie. Główny Urząd Statystyczny do 2018 roku podawał w swoim raporcie nakłady na szkolnictwo wyższe, a od 2019 podaje je łącznie z nauką, co wynika ze zmiany sposobu finansowania instytucji naukowych – wtedy wprowadziliśmy subwencję obejmującą i dotację dydaktyczną, i dotacje na badania naukowe. Wtedy też nastąpił w danych GUS gwałtowny skok wysokości nakładów na te obszary. O ile w 2018 nakłady na szkolnictwo wyższe wyniosły 16,1 mld zł, czyli 0,76% PKB, to w 2019 wzrosły do 24 mld zł i 1,06% PKB, ale już łącznie na oba obszary. Zatem nieźle 1,33% w 2020 r. nie można porównywać np. z 0,76% w 2018 r.

Wśród tych złych wiadomości jest jedna optymistyczna, choć z nutką goryczy, a dotyczy metodologii europejskiej. GUS wykorzystuje ją do porównań nakładów w różnych państwach. Według tej metodologii nasze nakłady na szkolnictwo wyższe w 2018 r. wyniosły 1,2% PKB, z tym że 1% pochodził z budżetu państwa, a 0,2% to nakłady prywatne. Na tle innych państw europejskich i tak nie wyglądamy imponująco. W tym samym roku w Austrii nakłady na szkolnictwo wyższe wyniosły 1,8% PKB (1,6 + 0,2), w Holandii 1,7% PKB (1,2 + 0,5), w Szwecji 1,6% (1,4 + 0,2), w Finlandii 1,6% (1,5 + 0,1), w Belgii 1,5% (1,3

+ 0,2). W państwach postkomunistycznych UE było to: 1,0% w Słowacji, Słowenii i na Węgrzech (0,7 + 0,3), 1,1% na Litwie (0,8 + 0,3), 1,2% na Łotwie (0,8 + 0,4) i 1,6% w Estonii (1,3 + 0,3), co sugeruje, że to ostatnie państwo poszło drogą krajów skandynawskich. Z innych państw: w Portugalii 1,2% (0,8 + 0,4), we Włoszech 0,9% (0,6 + 0,3), w Grecji i Irlandii po 0,8%, w Hiszpanii 1,2% (0,8 + 0,4). W Niemczech, do których często się odnosimy – 1,3% (1,1 + 0,2). I wreszcie państwa nie należące do UE: Norwegia 1,9% (1,8 + 0,1) i Wielka Brytania 2,0% (0,6 + 1,4).

Jak wynika z tego zestawienia, należymy wciąż do państw o niskich nakładach na szkolnictwo wyższe, choć w tej chwili są już „gorsi”. Są tu dwie charakterystyczne dane. Państwa pozaunijne mają najwyższe wskaźniki (choć tylko nieznacznie). I druga: niektóre państwa mają wyjątkowo wysoki udział nakładów własnych. Przewodzi Wielka Brytania, w której państwo pokrywa tylko drobną część nakładów, a ponad dwa razy tyle dokładają sami obywatele w postaci opłat za studia. Sporą część muszą pokryć sami obywatele Holandii (0,5%), Hiszpanii, Portugalii i Łotwy (po 0,4%), we Włoszech, na Węgrzech, w Estonii i na Litwie to po 0,3% PKB, przy czym największy ciężar spoczywa na Włochach, którzy dodają połowę do tego, co ich rząd przeznacza na pokrycie kosztów kształcenia wyższego.

Piotr Kieraciński

# Rewolucja dla normalności – inne finansowanie nauki

Prof. Andrzej Rychard, socjolog, członek korespondent PAN, dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk przedstawia zarys koncepcji finansowania nauki i kształcenia wyższego opartego na zasadach samorządności akademickiej.

Doświadczenia z działania obecnego systemu finansowania i oceny nauki skłaniają do zastanowienia się jak można to zrobić inaczej i lepiej. Po pierwsze, ostatnia ewaluacja pokazała, jak pod pozorem ścisłości, transparentności oraz równości reguł i praktyk dla wszystkich, skrywa się system daleki od tych cech, nadmiernie szczegółowy, skomplikowany i mało transparentny oraz – wbrew deklarowanym założeniom – podatny zapewne na silne, dyskrejonalne ingerencje urzędników/polityków. To szczególnie widoczne było w naukach społecznych i w humanistyce, choć zapewne nie tylko. Po drugie, skłaniają do tej próby skandaliczne wypowiedzi ministra, grożące uzależnieniem awansowania, finansowania nauki od jego sympatii lub antypatii wobec osiąganych przez badaczy wyników. Doświadczenia Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, którym kieruję, a który próbowano pozbawić należnych subwencji, stanowią ilustrację problemów ogólnych. Nic tak nie weryfikuje systemu, jak praktyka jego działania.

Dlatego pozwalam sobie przedstawić wstępne założenia systemu finansowania nauki, który będzie jasny, w miarę prosty i maksymalnie uczciwie oceniający wartość merytoryczną działalności naukowej. Będzie maksymalnie wolny od nacisków politycznych, za to oparty w maksymalnym stopniu na roli ciał samorządowych w nauce, takich jak reprezentacje uczelni, jednostek PAN i instytutów badawczych.

## Radykalna prostota

System ten polega na zastosowaniu kilku podstawowych kroków. W pierwszym z nich na mocy ustawy dokonuje się wydzielenia z budżetu państwa budżetu na naukę i szkolnictwo wyższe. Zrazem tworzy się Komitet Nauki, do dyspozycji którego przekazywane są te wyodrębnione środki. Komitet tworzą reprezentacje środowiska naukowego, takie jak KRASP, PAN, reprezentacje instytutów państwowych. Gremium to dokonuje oceny uczelni (całych uczelni, być może wykorzystując kategorie od A+ do D) oraz ocenia w ten sam sposób całą PAN w porównaniu do uczelni (przekazując jeden fundusz na wszystkie instytuty i na korporację/biuro). Bierze przy tym pod uwagę udział jednostek PAN w kształceniu doktorskim. Czyli PAN, podobnie jak każda uczelnia, dostaje jedną kategorię, bowiem ocena dotyczy jednostek, a nie dyscyplin. To, czy mają to być akurat takie kategorie, czy inne, jakie mają być kryteria zaliczania do nich, to oczywiście rzecz do dyskusji i szczegółowych ustaleń. Najważniejsze jest to, że w tej ocenie brane są pod uwagę zarówno parametry ilościowe, jak i jakościowe na podstawie opinii międzynarodowych ekspertów. Ten jakościowo-eksperski komponent jest tu fundamentalny. Opiera się na prostym i chyba realistycznym założeniu, że to ludzie nauki wiedzą najlepiej, co w niej jest dobre, a co słabe. Tworząc ten system oceny, dąży się do jego maksymalnej możliwej prostoty.

W kolejnym kroku na podstawie tej oceny Komitet Nauki dokonuje alokacji środków do poszczególnych uczelni, PAN jako całości i instytu-

tów badawczych. Ich wysokość jest funkcją kategorii naukowej, wielkości zatrudnienia i liczby studentów (w tym doktorantów) w każdej jednostce. I znów, jak zbudowana jest ta funkcja, jakie wagi mają jej poszczególne składniki to rzecz do szczegółowej dyskusji.

Następnie każda jednostka (uczelnia, placówki PAN łącznie i instytuty badawcze) samodzielnie i autonomicznie, w oparciu o wypracowane własne systemy oceny merytorycznej, poprzez swe władze (rektorzy i dziekani, prezes PAN i dziekani wydziałów PAN) dokonuje dystrybucji i alokacji środków do poszczególnych wydziałów i instytutów. To jest kluczowy element systemu: to jednostka (czyli dana uczelnia lub PAN) decyduje w oparciu o własne kryteria, jak dzielić otrzymane środki na poszczególne swe części składowe (w istocie w uczelniach w dużym stopniu już tak jest). I tu mogą pojawiać się wątpliwości: skąd gwarancja, że będą przy tym podziale stosowane akademickie, merytoryczne kryteria? Ano, pełnej gwarancji nie ma, ale jest bardzo wysokie prawdopodobieństwo, że tak będzie. Po pierwsze, system opiera się na elementarnym zaufaniu do środowiska naukowego. To jest oczekiwanie racjonalne, skoro oceny dokonują osoby, które jednak dzięki dość ostrej procedurze uzyskały stopnie i tytuły naukowe. Po drugie, zawyżanie ocen słabych części (wydziałów, instytutów uczelni i PAN) na dłuższą metę byłoby nieracjonalne, bo w końcu skutkowałoby obniżaniem kategorii oceny całych jednostek dokonywanej przez Komitet Nauki.

## Konsekwencje i niemożliwości

I to cały system. Oczywiście, zaprezentowałem tylko jego główną ideę opartą na samorządności i autonomii środowiska naukowego przy minimalizacji wpływu politycznego. Jest on zachowany, ze względu na konieczność strategicznych wyborów, tylko na pierwszym etapie ustalania budżetu na naukę i szkolnictwo wyższe. Potem działają same instytucje nauki.

Pytanie brzmi: gdzie w tym systemie jest miejsce obecnego Ministerstwa Edukacji i Nauki? Nie jest potrzebne w dzisiejszej postaci. Pozostać powinna w jego gestii edukacja do poziomu licealnego. Całą resztę pracy robią upełnomocnione samorządne ciała w nauce, typu KRASP, PAN, uczelnie i powołany przez nie Komitet Nauki oraz gremia już istniejące, typu NCN, NPRH, które powinny stać się niezależne od Komitetu Nauki. A co z programami naukowymi o znaczeniu strategicznym? Powołuje je Rada Ministrów, dysponująca odpowiednią komórką do tego celu we współpracy z Komitetem Nauki.

I tu zaczynają się „niemożliwości”, a w każdym razie trudności. Jasne jest, że resort powinien pozostać, zmieniony w nowoczesne Ministerstwo Edukacji. Z kolei Komitet Nauki mógłby być w randze ministerstwa, z ministrem na czele. I na poziomie formalnym przemianowanie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w Komitet Nauki byłoby symbolem realnej zmiany funkcji tego organu. Niech planuje strategię naukową kraju, programy strategiczne, ale niech nie



rozdaje grantów i niech nie ma nadzoru nad instytucjami to czyniącymi. Komitet ten powinien być nade wszystko reprezentacją samorządnej nauki. Kolejną „niemożliwością” jest ewentualny zarzut, że taki system doprowadzi do premiowania słabszych, koleśiostwa, nepotyzmu, bo w uczelniach, w PAN będą dostawali kasę nasi, a nie lepsi. Argumenty przeciw takim obawom przedstawiłem wyżej.

Zasadniczym założeniem mojej propozycji jest przekonanie, że samorządność opierająca się na zaufaniu do środowiska naukowego jest o wiele bardziej racjonalnym instrumentem rozwoju nauki niż biurokratyczne ilościowe metody, niekiedy pod pozorem ścisłości skrywające sporą dyskrecjonalność zależną od woli urzędników i polityków. Skoro zaufanie do kompetencji uczonych leży u podstaw tej propozycji, jasnym jest, że wprowadzenie jej w życie wymaga radykalnego monitorowania i być może zaostrożenia kryteriów awansowych w nauce. Doktoraty muszą ponownie stać się symbolem jakości, podobnie habilitacje (jeśli w ogóle je zostawić), a także profesury muszą mieć jakość gwarantowaną. Jeśli to środowisko naukowe ma dzielić środki, to dbanie o jego jakość staje się warunkiem niezbywalnym tej propozycji.

Oczywiście cały nowy system finansowania nauki wymaga szczegółowego przemyślenia i skonkretyzowania. Tu zarysowałem tylko jego logikę. Może przynajmniej warto zacząć o tym rozmawiać?

Na koniec „osobista uwaga instytucjonalna”. Nie ukrywam, że wspomniane na wstępie doświadczenia instytutu, którym kieruję,

były jednym z motywów sformułowania powyższej propozycji. Po pierwsze, minister pozbawił nas należytej dodatkowej subwencji, gdyż nie spodobały mu się wyniki badań istniejącego w IFiS PAN Centrum Badań nad Zagładą Żydów. W wyniku podjętych przez nas działań, wsparciu prawników, władz PAN, interpelacji poselskich, a nade wszystko w wyniku ogromnej i solidarnej presji społeczności uczonych środki te odzyskaaliśmy. Po drugie, w procesie ewaluacyjnym naszym zdaniem bezzasadnie obniżono nam kategorie naukowe w filozofii i socjologii, a minister nie uwzględnił naszych odwołań. Złożyliśmy skargi do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Pierwszy wyrok, dotyczący filozofii, zapadł niedawno. Wygraliśmy. Sąd uchylił zaskarżoną przez nas decyzję ministra. Czekamy na uprawomocnienie się wyroku. Czekamy także na rozstrzygnięcie naszej skargi dotyczącej socjologii.

Te doświadczenia ukazują jedno: trzeba bronić swych racji, bo nie jest się w tym bez szans. Ale przecież o wiele lepiej byłoby, gdyby takie działania nie były potrzebne. Jak bardzo nie są, wiedzą zwłaszcza ci, w instytucji i poza nią, którzy włożyli tak wiele energii w obronę naszego stanowiska. Jestem im wciąż niezmiernie wdzięczny za pomoc i zaangażowanie, jednak pytam: po co tyle energii i czasu na walkę ze źle funkcjonującą biurokracją, z próbami upolitycznienia nauki. Czy nie lepiej likwidować przyczyny, niż walczyć ze skutkami?

*andrzej.rychard@ifispan.edu.pl*

## Akcja „Jowita”

Stary dom studencki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza miał zostać wyłączony z eksploatacji ze względu na zły stan techniczny. Uniwersytet zbudował nowy tuż obok Kampusu Morasko. Niestety to około 7 km od centrum miasta, pół godziny jazdy transportem publicznym. Taka lokalizacja nie spodobała się interesariuszom. Postanowili „ocalić” zamkniętą i przygotowaną do sprzedaży „Jowitę”. Okupacja akademika przyciągnęła szybko różnego rodzaju zwolenników radykalnych akcji z innych miast. W starym budynku zaczęła się także dewastacja. Tymczasem w kraju zmieniła się władza. Nowy minister w drugim dniu urzędowania pojechał do Poznania. Spotkał się z protestującymi studentami i władzami uczelni. Zapewnił o możliwości sfinansowania remontu „Jowity” za ok. 100 milionów złotych w ciągu czterech lat. Protest stracił sens.

Problemy z akademikami trwają od lat 90. dwudziestego wieku, ale mają dziś odmienny niż wtedy charakter. Wówczas akademików było za... dużo. Zamiast gnieździć się po czterech w wyeksploatowanych pokojach, starych zdezelowanych meblach i toaletach na korytarzu, studenci woleli mieszkać w wynajętych pokojach czy mieszkaniach, gdzie znaleźli lepsze warunki i akceptowalne ceny. Uważali, że w ten sposób są u siebie, są niezależni. Stare akademiki świeciły pustkami. Sposobem na to miała być poprawa warunków bytowych w domach studenckich. Rozpoczęła się era remontów. W pokojach pojawiły się nowe meble, zaplecze socjalno-bytowe, bezpłatny internet. Zamiast czterech osób, w pokoju mieszkało dwóch studentów, a toaleta była przy pokoju lub jedna na dwa pokoje, a nie na całe piętro. Pojawiły się też bardziej komfortowe akademiki prywatne. Zasiedlili je zamożniejsi studenci, głównie zagraniczni. Przez moment wydawało się, że problem mieszkań dla studentów jest rozwiązany. Tak się jednak nie stało. Mimo radykalnego spadku ich liczby – z prawie dwóch milionów około roku 2005 do miliona dwustu tysięcy w ostat-

nich latach – mamy problemy z brakiem miejsc w akademikach. Jednym z powodów jest wzrost cen wynajmu mieszkań na wolnym rynku.

Sądzę, że w przypadku „Jowity” mamy do czynienia z czymś jeszcze, do czego nikt się nie przyzna. Fajnie jest mieć tanie lokum w centrum miasta, w najbardziej prestiżowej lokalizacji. I to na koszt podatnika. Wszak domy studenckie są dofinansowane ze środków budżetowych.

W Poznaniu zbudowano swego czasu piękny kampus uniwersytecki na obrzeżach miasta, tak jak w Ameryce. Nowoczesne obiekty zostały sfinansowane ze środków specjalnego rządowego programu inwestycyjnego. Są tam świetne warunki do uprawiania nauki i prowadzenia zajęć dydaktycznych. Jednak po południu, po zakończeniu kształcenia kampus świeci pustkami, bo nie ma tam co robić. Nie zbudowano tam domów studenckich, bo nie wydawały się potrzebne, nie ma też tego wszystkiego, co sprawia, że kampus jest atrakcyjnym miejscem do życia: klubów, sklepów, punktów usługowych, barów i restauracji. Jak bardzo Kampus Morasko różni się np. od kampusu lubelskiego UMCS, naszpikowanego barami, kafejkami, sklepikami, punktami usługowymi, obiektami sportowymi, tętniącego życiem przez cały czas, choć swego czasu także zbudowanego na obrzeżach miasta. W Poznaniu studenci nie chcą mieszkać w jednym z najnowocześniejszych kampusów akademickich, bo nie został on dobrze pomyślany z punktu widzenia funkcji społecznych i kulturalnych. Trudno będzie ten problem rozwiązać, choćby i przez zbudowanie pięciu najnowocześniejszych akademików. Dołożenie publicznego grosza na remont starego gmachu w centrum miasta to tylko zgłoszenie drobnego pożaru, ale nie rozwiązanie problemu, który ma Uniwersytet im. Adama Mickiewicza.

*Piotr Kieraciński*

# 60 lat Rady Towarzystw Naukowych

Rada Towarzystw Naukowych przy Prezydium PAN reprezentuje społeczny ruch naukowy utożsamiany z działalnością towarzystw i stowarzyszeń naukowo-technicznych, których cele statutowe ściśle wiążą się z promocją nauki i dystrybucją wiedzy. W obecnej kadencji Akademii jest jednym z 11 komitetów problemowych przy Prezydium PAN. Celem Rady jest reprezentowanie środowiska naukowego skupionego w towarzystwach naukowych w dyskusjach na temat miejsca nauki, edukacji i szkolnictwa wyższego w polityce państwa. Towarzystwa stanowią emanację siły społecznego zaangażowania w upowszechnianie wiedzy i kształcenie racjonalnych postaw wobec problemów cywilizacyjnych. Na podstawie analizy ich działalności po 1989 roku należy jednak stwierdzić, że potencjał prorozwojowy społecznego ruchu naukowego nie jest doceniony, nawet w aspekcie ich historycznie udokumentowanej roli. Najstarsze towarzystwa naukowe w Polsce mogą poszczycić się ponad dwustuletnią historią: Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie (1808), Towarzystwo Naukowe Krakowskie (1815, obecnie PAU), Lubelskie Towarzystwo Naukowe (1818), Towarzystwo Naukowe Płockie (1820). Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, aż do wybuchu II wojny światowej, towarzystwa naukowe specjalistyczne i stowarzyszenia regionalne kreowały politykę naukową na równi z uniwersytetami.

W miarę przyjmowania regulacji prawnych po 1945 roku, w tym utworzenia Polskiej Akademii Nauk ustawą z 30 października 1951 roku, rozpoczęto formalizację statusu społecznego ruchu naukowego w formie Komisji Towarzystw Naukowych powołanej w 1957 roku przez PAN. W 1963 roku powołano Radę Towarzystw Naukowych i Upowszechniania Nauki jako stałego organu doradczego Prezydium i Sekretariatu Naukowego PAN, a także towarzystw naukowych oraz innych instytucji społecznych zajmujących się popularyzacją nauki. W styczniu 1975 roku organ ten przekształcono w Radę Towarzystw Naukowych, stanowiącą dziś reprezentację około 330 towarzystw.

W krótkim przeglądzie aktów prawnych, memoriałów i stanowisk dotyczących statusu i funkcjonowania społecznego ruchu naukowego uderza trwałość nierozwiązanych (lub rozwiązanych częściowo) problemów. Pierwszy z nich wiąże się z klasyfikacją, typologią i różni-

cowaniem form oraz obszarów aktywności towarzystw naukowych ogólnych i specjalistycznych. Problem drugi stanowi główną bolączkę społecznego ruchu naukowego w Polsce od 1992 roku, kiedy Komitet Badań Naukowych pozbawił PAN środków na finansowanie działalności towarzystw (do 1991 roku PAN finansował działalność statutową 89 towarzystw specjalistycznych i 6 towarzystw ogólnych i regionalnych); jednocześnie nie powstały żadne mechanizmy subwencyjne na poziomie polityki regionalnej, samorządów, administracji lokalnych, które mogłyby częściowo dywersyfikować środki na działalność społecznego ruchu naukowego.

Rada Towarzystw Naukowych podejmowała liczne inicjatywy w sprawie uregulowania statusu i zasad funkcjonowania towarzystw, włącznie z projektem ustawy. Przykładowo: *Memoriał w sprawie rozwoju społecznego ruchu naukowego* (1971), *Projekt ustawy o towarzystwach naukowych* (1974), *deklaracja O umocnieniu roli społecznego ruchu naukowego* (1979), *Memoriał w sprawie kierunków i warunków działalności towarzystw naukowych* (1980), *W sprawie działalności towarzystw naukowych i ich miejsca w systemie funkcjonowania PAN* (1981), *Towarzystwa naukowe w Polsce. Stan, zadania, warunki działalności* (1983), *Propozycje i wnioski uzupełnień do projektu ustawy Prawo o stowarzyszeniach* (1984), *Towarzystwa naukowe w Polsce. Stan i perspektywy rozwojowe* (1987), *Memoriał w sprawie zabezpieczenia warunków funkcjonowania i rozwoju społecznego ruchu naukowego w Polsce* (2005), *projekt ustawy o towarzystwach naukowych* (2008), *Stanowisko Rady w sprawie roli i zasad funkcjonowania towarzystw i stowarzyszeń naukowych w społeczeństwie wiedzy* (2008), *Stanowisko Rady Towarzystw Naukowych w sprawie ustawowego regulowania działalności społecznego ruchu naukowego i naukowo-technicznego w Polsce* (2019).

Funkcjonowanie RTN w strukturach Akademii istotnie wpływa na pozytywny wizerunek społecznego ruchu naukowego, jednocześnie wzmacniając pozycję towarzystw naukowych w środowisku uczonych i korporacji. Należy podkreślić, że władze PAN dostrzegają potencjał towarzystw jako jednostek prowadzących badania, powiązanych sieciami kooperacji naukowej – także z otoczeniem społeczno-gospodarczym, a przede wszystkim doceniają działalność polegającą na popularyzacji wiedzy i upowszechnianiu nauki (wiele towarzystw naukowych specjalistycznych wydaje czasopisma naukowe lub popularno-naukowe, posiada biblioteki, zbiory muzealne, archiwa). Jednym z formalnych dowodów uznania pracy towarzystw naukowych była uchwała Prezydium PAN podjęta w 1998 roku o współdziałaniu ze społecznym ruchem naukowym.

Po 2004 roku RTN, dostrzegając konieczność pilnego dostosowania regulacji prawnych do prawa wspólnotowego Unii Europejskiej, przygotowała projekt ustawy o towarzystwach i stowarzyszeniach naukowych. Przed ogłoszeniem w styczniu 2009 roku był on szeroko konsultowany w środowisku naukowym, zyskując poparcie m.in.: Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Polskiej Akademii Umiejętności,



Pałac Czartoryskich, siedziba Lubelskiego Towarzystwa Naukowego

Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych Naczelnej Organizacji Technicznej, konferencji prezesów towarzystw lekarskich, zarządów towarzystw naukowych. Ostatnia dekada funkcjonowania Rady zaznaczyła się stałym przypomnieniem czynnikiem decyzyjnym konieczności uregulowania zasad finansowania towarzystw. Rada była organizatorem lub współorganizatorem konferencji oraz trzech kongresów, które sprzyjały nagłośnieniu medialnemu tych problemów. I Kongres Towarzystw Naukowych w 2013 roku odbył się pod hasłem „Towarzystwa naukowe w Polsce: dziedzictwo, kultura, nauka, trwanie”, II – w 2018 – „Rola towarzystw naukowych w świadomości obywatelskiej i kulturowej”, III – w 2022 – „Społeczny wymiar działalności towarzystw naukowych”. W roku jubileuszowym Rada zorganizowała dwie konferencje robocze, w tym w Senacie RP (pod patronatem marszałka senatu prof. Tomasz Grodzkiego), poświęcone koniecznym zmianom prawnym funk-

cjonowania towarzystw jako podmiotów polityki naukowej państwa. W tym kontekście należy stwierdzić, że towarzystwa naukowe są relatywnie mało obecne jako partnerzy innych podmiotów, np. uniwersytetów, instytutów badawczych. Swoją rolę Rada nadal postrzega jako reprezentację i ochronę interesów wszystkich rodzajów towarzystw, pełniących rozmaite misje edukacyjne i naukowe. Z tego też względu w 2023 roku podjęto inicjatywę aktualizacji słownika towarzystw naukowych, co pozwoli nie tylko na weryfikację danych liczbowych, ale przede wszystkim umożliwi zdefiniowanie problemów zróżnicowanego środowiska społecznego ruchu naukowego.

Prof. Iwona Hofman, przewodnicząca Rady Towarzystw Naukowych przy Prezydium PAN

(Na 3. stronie okładki Skarby Towarzystwa Naukowego Płockiego)

## Powstaje nowy Słownik polskich towarzystw naukowych

Z inicjatywy Rady Towarzystw Naukowych przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk powstanie nowe wydanie *Słownika polskich towarzystw naukowych* (istniejących w chwili obecnej), opierające się na edycji I tomu takiegoż słownika, wydanego w 2004 r. Jest on dostępny w postaci pdf-ów na stronie internetowej Rady Towarzystw Naukowych przy Prezydium PAN (<https://rtn.pan.pl>).

Upływ czasu oraz zmiany zachodzące w środowisku polskich towarzystw naukowych powodują potrzebę zebrania informacji na temat działających aktualnie tego rodzaju instytucji i stworzenie nowej bazy danych ukazującej potencjał naukowy i organizacyjny stowarzyszeń, a także dokumentującej ich znaczenie dla nauki polskiej.

Zadania tego podjął się zespół wyłoniony przez Radę Towarzystw Naukowych, opierając się na prowadzonych już wcześniej pracach Tadeusza Majsterkiewicza, sekretarza Rady, oraz działaniach Instytutu Interdyscyplinarnych Badań Historycznych Uniwersytetu Kaliskiego. Zespół ów przyjął następujący terminarz prac nad nową publikacją: 1) Pozyskanie adresów towarzystw naukowych, potwierdzenie ich istnienia i działania, dotarcie do nowych stowarzyszeń, nieobecnych w edycji słownika z 2004 r. – do końca grudnia 2023 r.; 2) Zebranie tekstów haseł – do końca marca 2024; 3) Redakcja tekstów (merytoryczna, językowa, techniczna) i uzyskanie ostatecznej wersji – kwiecień-czerwiec 2024 roku, a w końcu 4) Zamieszczenie wersji elektronicznej słownika w przestrzeni wirtualnej w lipcu 2024 roku.

W apelu o współpracę w tym dziele i nadsyłaniu informacji o towarzystwach, skierowanym do środowiska akademickiego przez dr. hab. Krzysztofa Walczaka, prof. Uniwersytetu Kaliskiego i członka Kaliskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przedstawiono strukturę słownika i hasła:

**STRUKTURA SŁOWNIKA:** Spis treści; Słowo wstępne; Przedmowa; Towarzystwa naukowe ogólne; Towarzystwa naukowe specjalistyczne: Nauki humanistyczne i społeczne, Nauki biolo-

giczne, Nauki matematyczne, fizyczne i chemiczne, Nauki techniczne, Nauki rolnicze i leśne, Nauki medyczne, Nauki o Ziemi i górnicze, Stowarzyszenia naukowo-techniczne. Aneks (wykaz towarzystw istniejących w KRS, które nie nadesłały not o własnej działalności, indeks nazw towarzystw).

**STRUKTURA HASŁA:** 1. Struktura organizacyjna towarzystwa: Nazwa (nazwy) towarzystwa; Rok założenia; Okresy działalności; Siedziba i dane adresowe (Adres, telefon/fax, strony www i adres mailowy); Struktura organizacyjna (wydziały, komisje, sekcje, oddziały); Biblioteka; Archiwum; Wydawnictwo; Repozytorium; Liczba członków (honorowych, rzeczywistych, wspierających); Prezisi honorowi; Prezisi (daty urzędowania); Sekretarze generalni (daty urzędowania); Skarbnicy (daty urzędowania). 2. Charakterystyka działalności. 3. Udział w federacjach i innych organizacjach. 4. Opublikowane wydawnictwa zwarte (w wyborze). 5. Prowadzone wydawnictwa ciągłe (czasopisma i wydawnictwa nieregularne). 6. Źródła do dziejów towarzystwa. 7. Literatura do dziejów towarzystwa (w wyborze). 8. Podpis autora (autorów).

W dokumencie tym czytamy: „Kierując do Państwa prośbę o włączenie się w proces tworzenia tego dzieła, ważnego w naszym przekonaniu dla teraźniejszości i przyszłości społecznego ruchu naukowego, mamy nadzieję na wspólną realizację Słownika, którym udokumentujemy działalność pokoleń ludzi pracujących społecznie na polu naukowym, włączając się w dokonania polskiej nauki”.

Gotowe hasła, jak również wszelkie zapytania należy kierować na adres organizatora prac nad nowym słownikiem: Uniwersytet Kaliski im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, Instytut Interdyscyplinarnych Badań Historycznych, email: [iibh@uniwersytetkaliski.edu.pl](mailto:iibh@uniwersytetkaliski.edu.pl).

Lista otrzymanych i przyjętych haseł znajduje się na stronie Kaliskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk [www.ktpn.org](http://www.ktpn.org).



# Podnoszenie poziomu badań czy wyścig o punkty?

Wyniki ewaluacji działalności naukowej jeszcze kilka lat temu służyły głównie do podziału środków na tzw. badania statutowe, które w przypadku uczelni były tylko niewielkim uzupełnieniem budżetu, mającym jednak duże znaczenie dla wydziałów, które je pozyskiwały. Miało tu miejsce sprzężenie zwrotne pomiędzy wysokością funduszy na badania a uzyskaną kategorią naukową. Obecnie, w świetle ustawy z roku 2018, sytuacja się zmieniła. Dotacja na badania statutowe rozpięta się w subwencji uczelnianej, a ewaluacja stała się podstawą całego systemu szkolnictwa wyższego. Uzyskane kategorie są teraz jedynym kryterium uzyskiwania uprawnień akademickich, regulują status uczelni oraz odgrywają istotną rolę w podziale subwencji, czyli mają duży wpływ na wielkość funduszu płac.

Niestety, mimo swego kluczowego znaczenia, ewaluacja jest jednym z najsłabszych elementów systemu. Miało to być narzędzie pomiaru jakości badań naukowych, ale uzyskany efekt niepokojąco przypomina klasyczny *caucus race*.

„Po pierwsze, [Dodo] nakreślił tor wyścigowy, mniej więcej przypominający koło (– Dokładny kształt nie ma znaczenia – powiedział), a później całe zgromadzenie ustawiło się, to tu, to tam, wzdłuż toru. (...) każdy rozpoczął i kończył bieg, kiedy przyszła mu na to ochota, tak że niełatwo było stwierdzić, kiedy nastąpiło zakończenie wyścigu. Jednak gdy biegli już około pół godziny i wyschli już zupełnie, Dodo zawołał nagle: – Wyścig zakończony! – i wszyscy stłoczyli się wokół niego, dysząc i pytając: – Ale kto wygrał? (...)

– Wszyscy wygrali i każdy musi otrzymać nagrodę.

(...) Wypadło dokładnie po cukierku na każdego. (...) Z kolei należało zjeść cukierki: spowodowało to nieco zgietku i zamieszania, gdyż wielkie ptaki uskarżały się, że nie mogą ich nawet posmakować, a małe dławiły się i trzeba je było klepać po grzbiecie” (Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*, przekład Macieja Słomczyńskiego).

W przypadku tej opowieści przynajmniej cel całej zabawy był jasno określony (osuszenie przemoczonego towarzystwa) i skutecznie osiągnięty. W przypadku naszej ewaluacji też było dużo zamieszania i wszyscy mieli pełne ręce roboty. Cukierki w postaci uprawnień akademickich dostali chyba wszyscy, którzy wyciągnęli po nie rękę.

Nie ma jednak co narzekać, bo równie dobrze w roku 2022 mógł zapaść inny werdykt. Wystarczyło tylko (nie zmieniając dosłownie niczego w ocenie punktowej dyscyplin) inaczej poustawić progi referencyjne, ustalane przecież post factum i wyglądające na wzięte z sufitu, aby oznajmić, że połowa uczelnianych dyscyplin „przegrała”, dostaje kategorię C i jest do natychmiastowej likwidacji. Wszystko na bazie tych samych wyników i na podstawie tego samego rozporządzenia. Niezależnie od tego kto i jak ustala te progi, poziom odniesienia (wysokość poprzeczki) jest zagadką dla uczestników tych „zawodów”. Progi pełnego przewyższenia (kto pamięta, co to właściwie jest?) także mogą dużo namieszać (ich złe ustawienie zaniżyły i wypaczyły punktację kryterium 2. dla większości uczelnianych dyscyplin). Wszechwładza nietransparentnych progów jest elementem niezmiennym od wielu lat.

W sposobie zarządzania nauką tak mocno przebijają chaos i brak spójnego celu, że aż dziwne, iż na papierze cel taki istnieje i jest zdefiniowany w dokumentach Ministerstwa Finansów związanych z ustawą budżetową. Zatem można by rzec, że oczekiwania wobec sektora naukowego są precyzyjnie wyartykułowane (nomen omen), odkąd tylko funkcjonuje tzw. budżet zadaniowy. Chodzi mianowicie o poziom badań naukowych mierzony liczbą artykułów indeksowanych w międzynarodowych bazach danych oraz liczbą patentów.

Warto literalnie przytoczyć aktualne sformułowania („Zestawienie zbiorcze celów i mierników funkcji państwa do WPPF na lata 2023 – 2026”). Cel: „Podniesienie poziomu wyników badań naukowych”. Miernik: „Liczba publikacji autorów z Polski w czasopismach zawartych w bazie danych Scopus”. Uzasadnienie wyboru miernika: „Liczba publikacji indeksowanych, o wysokim prestiżu, odzwierciedla aktywność naukową polskich naukowców. Miernik adekwatny do celu. Jest to miernik oddziaływania oddający długofalowe efekty działań dla podniesienia jakości badań naukowych prowadzonych w Polsce. Zaletą miernika jest jego obiektywność i brak podatności na manipulację”. Nie ma tu mowy o umiędzynarodowieniu, czyżby zatem wskazanie zagranicznej bazy Scopus było motywo-



*Caucus race* – rozdanie nagród, „Alice's Adventures in Wonderland” (1865, ilustracja Johna Tenniela)

wane nieufnością do ocen czasopism dokonywanych przez czynniki krajowe? Obawa ta nie jest bezpodstawna. Drugim miernikiem tego samego celu jest liczba patentów polskich, europejskich i amerykańskich (o tych ostatnich zapomniano w regułach ewaluacji). Uzasadnienie: „Miernik pokazuje międzynarodową wartość wyników badań naukowych prowadzonych w Polsce, pozwala ocenić podejmowane działania mające na celu wzmocnienie jakości badań” (czy jednak patenty polskie mają przełożenie na efekty międzynarodowe?). Innych celów i mierników dla nauki nie wskazano. Stabilność tych budżetowych zapisów przez ostatnie 15 lat jest wręcz zadziwiająca.

Reguły ewaluacji powinny brać pod uwagę zalecenia budżetu zadaniowego, zwłaszcza, że sformułowano je z tak niezwykłą konsekwencją, ponad wszelkimi podziałami. Niestety, takiego związku nie widać. Klasycznym przykładem rozbieżności jest to, że przez dobrych kilka lat (przed rokiem 2018) wiele czasopism indeksowanych w Scopusie nie widniało na liście ministerialnej (zatem nie miały one żadnego znaczenia w ewaluacji), mimo iż jednocześnie w budżecie zadaniowym rozliczano już sektor nauki na podstawie liczby publikacji tylko w tej bazie.

Manipulowanie punktacją w oderwaniu od „obiektywnych mierników” stoi w wyraźnej sprzeczności z literą i duchem cytowanego dokumentu. To samo dotyczy niezwykle zawyżonej roli prac powstałych w wyniku krajowych kooperacji. Jedna publikacja mogła w ostatniej ewaluacji „obsłużyć” kilka (a może nawet kilkadziesiąt) instytucji czy dyscyplin, w każdej licząc się z pełną wagą. Podobnie ocena poziomu badań poprzez skuteczność pozyskiwania środków z budżetu państwa (przypomina to ocenę jakości artykułu poprzez liczbę jego stron, co kiedyś poważnie brano pod uwagę). Dlaczego premiowana jest maksymalizacja kosztu badań, a nie ich efekty?

Fundamentalnym błędem rozporządzeń ewaluacyjnych jest przecenienie lub zignorowanie prostych słów, definiujących nasz cel: podniesienie poziomu wyników badań naukowych. Aby stwierdzić czy poziom badań się podniósł, trzeba go najpierw jakoś zmierzyć, a po pewnym czasie zmierzyć drugi raz, stosując te same mierniki. Inaczej żadne porównywanie nie ma sensu i trudno mówić, że coś spadło lub się podniosło. Używając terminologii sportowej, chodzi o poprawienie wyniku, uzyskanie rekordu życiowego, rekordu Polski czy Europy, a nie o wygranę wyścigu zajęcy czy zółwi. Tymczasem z ewaluacji uczyniono coś w rodzaju zawodów w kilkudziesięciu dyscyplinach (może komuś się to faktycznie z dyscyplinami sportowymi skojarzyło?). Zwycięzcy zostają nagrodzeni, a ostatnich gryzą psy. Nie ma znaczenia, czy ktoś poprawił swój wynik, czy też nie. Każda kolejna ewaluacja rządzi się swoimi prawami, ich wyniki są w zasadzie nieporównywalne. Co gorsza, można podać hipotetyczne przykłady, że jednostka oceniona na A według jednych reguł, otrzymałaby C według reguł poprzednich i vice versa.

Dużą wadą algorytmów ewaluacyjnych jest brak oceny (doceńnienia) wybitnych osiągnięć (jest tylko zalecenie, aby to uwzględnić przy ocenie A+). Może więc warto trochę „przemeblować” kryteria, aby na przykład kryterium 3. było związane z oddziaływaniem na gospodarkę i społeczeństwo (zatem pozostałyby tam opisy wpływu, ale doszłaby komercjalizacja, przychody, patenty czy popularyzacja nauki), zaś kryterium 2. obok liczby prestiżowych grantów zawierałoby wskaźniki związane z doskonałością naukową (teraz nieobecne), jak choćby liczba publikacji w takich pismach jak „Nature” czy „Science” bądź prestiżowe wyróżnienia naukowe.

Obecne reguły ewaluacji są bardzo podatne na różne manipulacje, dotyczy to zwłaszcza kwestii słotów i deklarowanych dyscyplin. Ostateczny wynik bardziej zależy od zastosowania lub zaniechania różnych zabiegów optymalizacyjnych (wykonywanych z poziomu uczelni) czy wykorzystania „odpowiednich” kanałów publikacyjnych (czasem bardzo kosztownych) niż od faktycznego wzrostu poziomu badań.

Istnieje też problem miernika, jakim jest liczba publikacji. W ostatnich latach nastąpiła ogromna inflacja, wręcz zalew, prac naukowych (w skali krajowej i światowej). Zatem liczba publikacji (nawet ważona jakimiś punktami) już dawno przestała być dobrym miernikiem. Nie ma sensu ekscytować się wskaźnikami wzrostu liczby publikacji w bazie Scopus. Nawet liczba czasopism w tej bazie dynamicznie rośnie, nie mówiąc o objętości każdego numeru (odkąd wydawcy nie muszą artykułów drukować, puścili wszelkie hamulce). Średnia „wartość” jednej publikacji zatem wyraźnie spadła i wciąż szybko maleje. Ale uśrednianie, zwłaszcza po tak dużych i niejednorodnych zbiorach danych, zawsze grozi utratą wszelkiej sensownej informacji. Nie warto pochopnie uśredniać. W nauce liczą się przede wszystkim istotne osiągnięcia. Duża liczba prac o słabym poziomie nie ma żadnego znaczenia. Warto też identyfikować publikacje, w których dany ośrodek jest liderem (większość autorów, pierwszy i/lub ostatni autor albo jedno i drugie), i liczyć je z większą wagą albo nawet w innej rubryce niż publikacje, w których udział ocenianego ośrodka jest tylko niewielkim przyczynkiem.

Na koniec chciałbym zasygnalizować swoje nowe pomysły dotyczące punktacji czasopism. Proponuję utworzenie dwóch list czasopism punktowanych: międzynarodowej opartej na bazie Scopus oraz polskojęzycznej grupującej czasopisma (w tym wielojęzyczne) przyjmujące artykuły w języku polskim. Dla poszczególnych dyscyplin należałoby ustalić, jaka powinna być proporcja obu list w zbiorze 3N artykułów przedkładanych do ewaluacji. Jeśli czasopismo jest na obu listach, to artykuł może być wykazany do ewaluacji albo jako polski, albo jako międzynarodowy (w zależności od tego, co dla uczelni będzie korzystniejsze). Uwaga: polskojęzyczność nie dotyczy tylko humanistów. Warto promować język polski oraz rozwój polskiej terminologii w wielu dyscyplinach, choćby w medycynie czy technice, wszędzie tam, gdzie jest szerokie grono potencjalnych czytelników krajowych, także spoza uczelni. Dlaczego Polak dla Polaków ma pisać po angielsku?

Punktacja czasopism międzynarodowych, ustalona wstępnie według wskaźników bibliometrycznych, powinna podlegać empirycznej weryfikacji post factum, na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Jeśli nastąpi wzrost odsetka polskich afiliacji w danym piśmie (powyżej ustalonego poziomu właściwego dla danej punktacji), to punktacja czasopisma jest automatycznie obniżana (stosownie do skali tego wzrostu).

Prestiż czasopisma to przede wszystkim stabilność i tradycja. Prestiż nie powstaje w wyniku skoku jakiegoś wskaźnika. Prestiż buduje się latami, choć istnieją sytuacje, gdy można go stracić bardzo szybko. Tu nie ma symetrii. Czasopismo będące w fazie dynamicznego wzrostu lub upadku (mierząc liczbą artykułów) nie powinno mieć zbyt wysokiej punktacji. Szybki wzrost pociąga za sobą niedobór rzetelnych recenzentów i obniżenie jakości, a malejąca liczba autorów źle świadczy o prestiżu czasopisma.

Duże wahania liczby artykułów powinny skutkować obniżeniem punktacji czasopisma. To kryterium może dotyczyć obu list. Dla listy polskojęzycznej trudniej jednak wskazać proste kryterium post factum związane ze strukturą afiliacji autorów. Struktura ta powinna odzwierciedlać średni rozkład krajowy, tym dokładniej, im bardziej prestiżowe jest czasopismo.

Gdyby udało się opracować dobre i precyzyjne zasady weryfikacji post factum (co jest trudne, ale wydaje się wykonalne), to ostateczna punktacja czasopism byłaby dość obiektywnym miernikiem ich poziomu, odpornym na nieoptymalne lub błędne ustawienie punktacji początkowej (z czym zawsze są problemy).

Jan Cieślinski, Wydział Fizyki UwB



## NARODOWA REPREZENTACJA AKADEMICKA

Studenci i studentki z 31 uczelni skorzystają ze wsparcia w czwartej edycji programu Narodowa Reprezentacja Akademicka. Na realizację zadań umożliwiających równoległe prowadzenie kariery sportowej i studiów Ministerstwo Edukacji i Nauki przeznaczyło w tym roku 14 mln zł.

Narodowa Reprezentacja Akademicka wspiera proces kształcenia studentów-sportowców, którzy nie ukończyli jeszcze 30 roku życia. Uczelnie otrzymują dofinansowanie na organizację dla nich dodatkowych zajęć dydaktycznych w formie indywidualnej organizacji studiów. Roczne wsparcie na jedną osobę wynosi maksymalnie 20 tys. zł i dodatkowo do 10% kosztów pośrednich. Koszty bezpośrednio obejmują pulę do 100 godzin zajęć indywidualnych lub grupowych, w tym kształcenia na odległość lub spotkań z tutorem bądź opiekunem dydaktycznym. Środki finansowe są kierowane bezpośrednio do uczelni.

W tym roku akademickim w programie 663 sportowców z 27 uczelni publicznych i 4 niepublicznych. Najwięcej studentów objętych programem kształci się na Akademii Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach (148). Siłą rzeczy ta uczelnia otrzymała też największe dofinansowanie (3,2 mln zł). W dalszej kolejności są: Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy (1,6 mln zł), Akademia Wychowania Fizycznego im. Bronisława Czecha w Krakowie (1,1 mln zł) i Akademia Nauk Stosowanych – Wyższa Szkoła Zarządzania i Administracji w Opolu (1 mln zł).

Narodowa Reprezentacja Akademicka to wspólne przedsięwzięcie Ministerstwa Edukacji i Nauki oraz Akademickiego

Związku Sportowego. Wystartowała w 2019 roku. W premierowej odsłonie wsparciem zostało objętych 414 studentów z 42 uczelni, w tym 37 publicznych i 5 niepublicznych. Na ten cel przeznaczono wówczas 7,1 mln zł. W kolejnym sezonie już 502 studentów z 38 uczelni (w tym 6 niepublicznych) miało możliwość skorzystania z dodatkowych zajęć, na organizację których rozdysponowano łączną kwotę około 9,5 mln zł. Po raz trzeci powołania do NRA ogłoszono w czerwcu ub.r. Otrzymało je 562 żaków z 33 uczelni publicznych oraz 5 niepublicznych. Trafiła do nich rekordowa suma 10 mln zł.

W programie mogą brać udział uczelnie publiczne i niepubliczne kształcące co najmniej 200 studentów studiów stacjonarnych, na których studiują zawodnicy szkolenia olimpijskiego, medaliści igrzysk olimpijskich, igrzysk europejskich, mistrzostw świata seniorów i mistrzostw Europy seniorów, uniwersjad i akademickich mistrzostw świata oraz sportowcy z niepełnosprawnościami, w tym osoby niedośćszące, a także sportowcy posiadający klasy sportowe: mistrzowską międzynarodową (MM) i mistrzowską (M).

MK

## Oni są w Narodowej Reprezentacji Akademickiej



**Zofia Janelli**  
– Politechnika Wrocławska

Studentka III roku architektury na Wydziale Architektury i szpadzistka AZS Wra-tislavia. W tym roku wywalczyła II miejsce drużynowo na Mistrzostwach Europy Młodzieżowców w Budapeszcie i złoty medal na Akademickich Mistrzostwach Polski.



**Natalia Kałucka**  
– Akademia Tarnowska

Studentka wychowania fizycznego. Trenuje wspinaczkę sportową w Klubie Uczelnianym AZS AT. W tym roku sięgnęła po Puchar Świata. Zdobyła także złoty medal Igrzysk Europejskich w Krakowie. Przed dwoma laty była mistrzynią świata.



**Kamil Kasperczak**  
– Uniwersytet Zielonogórski

Student II roku wychowania fizycznego (studia II stopnia). Trenuje pięciobój nowoczesny w ZKS Drzonków. Podczas listopadowych Mistrzostw Europy młodzieżowców zdobył srebro w sztafecie mieszanej (z Ewą Pydyszewską) oraz drużynowo brąz.

# Uczelnie obniżają koszty dzięki platformie EDU web360



W czasach, gdy instytucje oświatowe borykają się z rosnącymi wydatkami, firma OPTeam, chcąc pomóc uczelniom sprostać tym wyzwaniom, udostępniła do bezpłatnej instalacji i użytkowania ulepszoną, profesjonalną Platformę Multiportalową EDU web360. Wdrożenie tego rozwiązania może okazać się efektywnym narzędziem do poprawy produktywności.

EDU web360 to system CMS, z którego od ponad 10 lat korzystają wiodące uczelnie w Polsce. Oprogramowanie umożliwia budowę i utrzymanie nawet do kilkuset portali w jednym wydajnym środowisku, bez konieczności inwestowania w wiele systemów zarządzania treścią. Takie podejście pozwala na znaczne obniżenie kosztów obsługi uczelnianych stron www przy wzroście niezawodności. Platforma Multiportalowa EDU web360 jest rozwijana zgodnie ze zmieniającymi się trendami technologicznymi i warunkami prawnogospodarczymi. Zaspokaja niemal wszystkie potrzeby **komunikacji – zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej**. Jej najnowszą wersję można określić jako przełomową.

## Większe bezpieczeństwo, łatwiejsza obsługa

W platformie EDU web360 zastosowano mechanizmy, które zwiększają ochronę przed działaniem szkodliwego oprogramowania i dostępem osób nieuprawnionych, a tym samym przed utratą lub zniszczeniem danych. Dodatkowo realnym gwarantem bezpieczeństwa, a zarazem wydajności platformy, jest producent, który ją regularnie aktualizuje, zapewniając wsparcie techniczne klientom.

System EDU web360 zyskał również jeszcze bardziej intuicyjny interfejs oparty o najnowsze standardy UX oraz UI. Co więcej, spełniając wymagania WCAG 2.1, pozwala na tworzenie serwisów dostępnych cyfrowo dla osób z niepełnosprawnościami. Również panel administracyjny oprogramowania jest dostosowany do tej normy, w związku z czym umożliwia pracę redakcyjną takim osobom.

– Wszystkie modyfikacje wprowadziliśmy z myślą o użytkownikach systemu, którzy już docenili nową odsłonę EDU web360, teraz dostępną w ramach bezpłatnej wersji licencji – **wyjaśnia Maciej Stanisławczyk, Business Development Manager w OPTeam** – Szczególnie pozytywnie oceniana jest elastyczność tego rozwiązania, dająca szerokie możliwości w zakresie projektowania sposobu działania i wyglądu portali, przy stosunkowo prostej konfiguracji, możliwej do wykonania samodzielnie.

## Plug & Play, czyli skonfiguruj i korzystaj

Budowanie, jak i modyfikowanie struktury w typowym portalu wymagało zaangażowania znacznych zasobów, w tym programistów, podczas gdy w EDU web360 odbywa się to w sposób intuicyjny, poprzez konfigurowanie gotowych modułów dostępnych w panelu administratora.

Uczelnie mają do dyspozycji ponad 60 gotowych do użycia komponentów, zgrupowanych w dedykowanych pakietach. Korzystając z nich, mogą swobodnie tworzyć własne witryny, m.in. do świadczenia zaawansowanych e-usług. Witryny te są **dopasowane do konkretnych wymagań i spójne wizualnie, co znacząco podnosi prestiż uczelni jako nowoczesnej i dostępnej cyfrowo**.

## Większa efektywność i oszczędności

Ograniczenie konieczności kodowania sprawia, że uczelnie unikają wysokich kosztów związanych z budową i utrzymaniem swo-

ich stron www. Z kolei dzięki łatwej integracji z innymi systemami oraz prostej i czytelnej architekturze pracownicy nie muszą ręcznie przenosić danych i bieżąca obsługa nie jest tak czasochłonna, jak w przypadku tradycyjnych portali. Uwolniony czas pracowników można wykorzystać przy innych zadaniach, poprawiając efektywność operacyjną i finansową. **Dzięki bezpłatnemu dostępowi do podstawowej wersji oraz możliwości doboru gotowych funkcjonalności uczelnie mogą osiągnąć wyraźne oszczędności.**

– Zależało nam, aby klienci otrzymali moduły, które pozwolą im sprawnie i efektywnie realizować obowiązki statutowe za pośrednictwem Internetu – **wyjaśnia Ewelina Tomczyk, Dyrektor ds. Rozwiązań IT w OPTeam** – Dlatego przygotowaliśmy zestawy zawierające typowe funkcjonalności do zarządzania informacją i do promocji marki uczelni, jak również specjalistyczne, potrzebne do współpracy z otoczeniem oraz dostosowane do wymagań szkolnictwa wyższego.

## Gotowe moduły dla szkół wyższych

**Oprócz standardowych funkcjonalności dostępnych bezpłatnie, uczelnie mogą skorzystać z tych zaawansowanych, dedykowanych dla sektora edukacji.** Obok modułów do budowy Portalu Głównego i Jednostek podległych, mają również komponenty na potrzeby uruchomienia Portalu Rekrutacyjnego, Portalu Biblioteki Głównej, Intranetu, Akademickiego Biura Karier, Portalu Konferencji i Wydarzeń, Centrum Transferu Technologii, systemu e-Komunikatów, Biuletynu Informacji Publicznej, Wizytówek pracowniczych oraz BOT-ów konwersacyjnych. Platforma Multiportalowa EDU web360 została z sukcesem wdrożona przez OPTeam w wielu uczelniach, m.in. Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu, Uniwersytecie Warszawskim, Politechnice Lubelskiej, Politechnice Rzeszowskiej, Politechnice Częstochowskiej, Uniwersytecie Zielonogórskim, Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego ale też w instytucjach, takich jak Porozumienie Akademickich Centrów Transferu Technologii (PACTT) czy European Campus Card Association.

## Producent oprogramowania dla uczelni

OPTeam wspiera uczelnie w skutecznej i szybkiej cyfrowej transformacji. Zapewnia profesjonalne usługi informatyczne potrzebne do osiągnięcia przewagi konkurencyjnej na dynamicznie zmieniającym się rynku szkolnictwa wyższego. Pomaga w digitalizacji, wdrażając specjalistyczne oprogramowanie do obsługi procesów w niemal każdym obszarze prowadzonej działalności. Do zarządzania unikalnymi procesami firma udostępnia technologię pozwalającą w krótkim czasie tworzyć i wdrażać aplikacje współpracujące z systemami ERP, systemami dziedzicznymi oraz innymi rozwiązaniami branżowymi, wykorzystywanymi do obsługi zadań administracyjnych i do realizacji podstawowej działalności edukacyjno-naukowej. Dzięki temu uczelnie mogą szybko reagować na zmiany otoczenia, odpowiadać na potrzeby rynku, a także sprostać oczekiwaniom studentów.

Rozmowa z prof. Grzegorzem Mazurkiem, rektorem Akademii Leona Koźmińskiego

# Liczy się tylko wartość, którą kreujesz

Światowa jakość nie jest mierzona lokalnymi miarami i kryteriami, wynikami parametryzacji opartej na różnych dziwnych punktach, czasopismach z numerami specjalnymi czy kupowanych tekstach w pewnych wydawnictwach. Gdy trzymasz się strategii jakości, to uzyskujesz efekty, ale to nie przyjdzie od razu.

## **Akademia Leona Koźmińskiego jest uznawana za jedną z najlepszych uczelni niepublicznych w Polsce.**

To prawda, od początku istnienia rankingu uczelni niepublicznych „Perspektywy” jesteśmy na pierwszym miejscu w tej grupie. Zajmujemy też wysokie miejsca w międzynarodowych rankingach najlepszych szkół biznesu w Europie. W Polsce prowadzimy też najlepsze studia z zarządzania.

## **Jak to się robi?**

To amalgamat różnych elementów. Najważniejsza jest konsekwentnie realizowana długofalowa strategia, która w przypadku Koźmińskiego polega między innymi na tym, że za punkt odniesienia wzięliśmy najlepsze szkoły biznesu w Europie i Stanach Zjednoczonych. Rozpoznawaliśmy recepturę na najlepszą uczelnię ekonomiczną i próbowaliśmy budować pozycję w tej grupie. Winda do wejścia na ten poziom było uzyskanie globalnych akredytacji, a w szczególności w 2011 roku potrójnej korony akredytacyjnej, które obok rankingu „Financial Times” wyznaczają najwyższą jakość, prestiż i pozycję międzynarodową uczelni. Na świecie jest kilkanaście tysięcy uczelni biznesowych lub wydziałów ekonomicznych, a tylko 124 z nich mają „potrójną koronę”, czyli trzy najważniejsze akredytacje: EQUIS, AACSB oraz AMBA. Znajdujemy się zatem w jednym procencie najlepszych uczelni biznesowych na świecie i to nas silnie pozycjonuje na globalnej mapie edukacji, na której notabene nikogo nie interesuje, czy uczelnia jest publiczna czy niepubliczna – istotne jest, czy jest znakomita czy niekonieczna.

## **Nie dążyliście za wszelką cenę do uzyskania statusu uniwersyteckiego.**

Koniunkturalizm i mody dotyczą wszystkich. Teraz jest moda, zapewne wynika ona z koniunktury, na kierunki medyczne. My postanowiliśmy się skupić, a nie rozpraszać. Żeby osiągnąć światowy poziom nauk o zarządzaniu, finansach i ekonomii, nie można myśleć: „a przy okazji otworzymy medycynę”. Światowa jakość nie jest mierzona lokalnymi miarami i kryteriami, wynikami parametryzacji opartej na różnych

dziwnych punktach, czasopismach z numerami specjalnymi czy kupowanych tekstach w pewnych wydawnictwach. Gdy trzymasz się strategii jakości, to uzyskujesz efekty, ale to nie przyjdzie od razu. Od zawsze kierowaliśmy się wytycznymi, które nam dawały instytucje akredytacyjne. Naszą pierwszą akredytację – EQUIS – zdobyliśmy w 1999 roku, kiedy nawet światowy rynek szkół wyższych nie bardzo wiedział, co to są akredytacje. Wytyczne dawane podczas wizyt akredytacyjnych stanowiły nasz kompas działania, podany przez odwiedzających nas rektorów i dziekanów z najlepszych szkół biznesu. Oczywiście działaliśmy spójnie z rynkiem polskim i regułami, które na nim obowiązują, ale równocześnie postępujemy zgodnie z regułami obowiązującymi na świecie. U nas od początku istniały studia anglojęzyczne. Teraz, gdy jesteśmy już w środku światowego tygla, mamy okazję nie tylko dostosowywać się do warunków, ale je współtworzyć.

## **W jaki sposób?**

Choćby w taki, że jesteśmy aktywnie zaangażowani w światowe akredytacje jako właśnie akredytatorzy, ja mam też zaszczyt zasiadać w Radzie EQUIS, która podejmuje decyzje akredytacyjne EFMD, instytucji nadającej tę akredytację, czy w radzie innowacji przy European University Association. Nasz głos będzie też słyszany na światowym forum gospodarczym w Davos, gdzie Koźmiński wystąpi z ramienia inicjatywy Positive Impact Rating. Propagujemy perspektywę, że szkolnictwo wyższe musi tak szybko dostosowywać się do zmieniającej się rzeczywistości społeczno-technologiczno-gospodarczej, jak zmienia się ekosystem podmiotów ją tworzących. Cyfrowa transformacja i sztuczna inteligencja, zrównoważony rozwój, etyczne przywództwo – to idee, które są na firmamencie naszych działań od wielu lat. Nie wiemy, czy tytuł magistra będzie istniał za dziesięć czy dwadzieścia lat. To nie ma znaczenia. Liczy się tylko wartość, którą kreujesz. Podobnie w badaniach – sensowne są tylko te, które realnie pomagają rozwiązywać problemy świata. Napawa mnie dumą, gdy nasi naukowcy zdobywają wielomilionowe granty europejskie, zajmując się

kluczowymi tematami, np. rolę migracji w budowaniu przewagi konkurencyjnej. Żeby Koźmiński w kolejnych trzydziestu latach osiągnął taki sukces jak w pierwszych trzech dekadach, musimy wyznaczać te same zasady, które wyznają najnowocześniejsze organizmy z naszego środowiska: musimy szybko rozpoznawać sygnały, reagować, dostosowywać się, dawać wartość, która przez innych będzie rozpoznawana i oceniana jako interesująca dla odbiorców: naukowych, dydaktycznych, gospodarczych, instytucjonalnych. DNA uczelni musi być proinnowacyjne. To jest recepta na sukces. Dlatego jesteśmy dumni, że jako pierwsi w regionie rozpoczęliśmy budowę kapitału żelaznego (endowment fund), stworzyliśmy rekomendacje dotyczące wykorzystania generatywnej sztucznej inteligencji w edukacji i nauce, wyznaczaliśmy strategię zrównoważonego rozwoju powiązaną z całościową strategią uczelni, policzyliśmy swój ślad węglowy, a w Warszawie systemowo pomagaliśmy uchodźcom z Ukrainy tuż po rozpoczęciu wojny – Koźmiński w pierwszych dwóch tygodniach konfliktu był głównym punktem kontaktowym w stolicy.

### Wracając do akredytacji międzynarodowych, czy one oceniają kształcenie?

Nie. To są kompleksowe oceny jakości, standardów kształcenia i prowadzenia badań naukowych, ale także wszystkich aktywności uczelni i relacji z interesariuszami. Badane są wszystkie procedury, osiągnięcia, elementy działania uczelni, strategia, wizja i misja, która powinna kaskadowo wpływać na cele, zadania i mierniki. Podam przykład, gdy w 2011 roku przyjechali do nas ewaluatorzy z AACSB (The Association to Advance Collegiate Schools of Business), na pierwszym spotkaniu zapytali: macie w misji uczelni napisane, że prowadzicie „world class research”. Co to dla was oznacza? Odpowiadamy, że to oznacza publikowanie wyników badań w dobrych międzynarodowych czasopiśmie naukowych. A oni na to, że misja powinna kaskadowo wpływać na cele, zadania i mierniki, i ta światowość badań akurat oznacza – w globalnym języku – wówczas bardzo konkretny poziom: ABS4 czy IF powyżej 5. To, że instytucje akredytacyjne sprawdzą nasz program kształcenia, czy jest duża i mała pętla oceny efektów uczenia, czy mamy transparentną politykę zatrudnienia, realizujemy Gender Equality Plan, czy mamy wdrożoną strategię cyfrowej transformacji i ESR, to tylko początek. Bierze się pod uwagę otoczenie uczelni i jej wpływ na swoje środowisko, tzw. impaktowość. Dzięki wdrożonemu systemowi Business School Impact System – znów byliśmy pierwsi w Polsce – możemy dokładnie powiedzieć, ile milionów złotych przynoszą miastu stołecznemu Warszawa nasi studenci zagraniczni.

### Zapytam o polską ewaluację.

Postrzegam ją jako próbę stworzenia nowego rynku prestiżu i jego waluty w postaci punktów, które na początku reformy były dość mocno skorelowane z „walutą globalną”, a więc Impact Factorem. Obrazowo powiedziałbym, że nasza lokalna waluta była mocno związana z walutą globalną. Niestety w kolejnych latach system uległ rozluźnieniu, korelacja się rozjechała, moim zdaniem głównie z powodu ogromnych nacisków środowiska. Pamiętam kuriozalny wpis redaktora jednego z polskich czasopism, który obwieścił, że z powodu uzyskania dodatkowych punktów ministerialnych jego czasopismo zdeklasowało światowy periodyk. Polskie punkty nie decydują o jakości czasopisma! Globalny rynek nauki nie patrzy na lokalną walutę. Oczywiście poddaliśmy ewaluacji trzy dyscypliny: zarządzanie, finanse i ekonomię oraz prawo. Warto odnotować, jak wypadliśmy w badaniach dotyczących wykorzystania MDPI w parametryzacji – udział naszych raportowanych

publikacji z tego wydawnictwa był bliski zera. Gdy spojrzeliśmy na miary naszych osiągnięć naukowych, nie było dyskusji. Były wątpliwości wokół oceny jakościowej wpływu społecznego naszych badań. Oceniono nas niekorzystnie. Uważaliśmy, że to jest krzywdzące, odwołaliśmy się i poprawiono nasze oceny. Środowiska pozaakademickiego nie interesuje ta gra w literki. Ostatnia kategoryzacja skończyła się dewaluacją pojęć „uniwersytet” czy „akademia”. Ewaluacja jest jednak ważna, a zapowiedzi szefa KEN, że nastąpi powiązanie punktacji czasopism



FOT. AIK

Prof. dr hab. **Grzegorz Mazurek** (ur. w 1976 r.) specjalizuje się w problematyce strategii transformacji cyfrowej organizacji, e-handlu oraz e-marketingu. Szczególnie interesuje się zmianami, jakie procesy digitalizacji wywołują w sektorze edukacji i szkolnictwa wyższego. W swoim dorobku posiada kilkadziesiąt anglo- i polskojęzycznych rozdziałów, artykułów naukowych, książek opublikowanych w najważniejszych czasopiśmie i wydawnictwach nauk o zarządzaniu w Polsce i na świecie, m.in. w Cambridge University Press, Emerald Publishing, Routledge, European Management Journal, Business Horizons, Management Decision. Jest autorem książki „Transformacja cyfrowa” (PWN, 2019) oraz redaktorem i współautorem podręcznika „E-marketing – planowanie, narzędzia i praktyka” (Poltext, 2018), wyróżnionego przez Polską Akademię Nauk. Jest dyrektorem Centrum Badań Transformacji Cyfrowej – CYBERMAN, członkiem Komisji ds. Innowacyjności European University Association, członkiem EQUIS Board EFMD oraz EFMD Advisory Board dla regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Od 2020 roku pełni funkcję prezydenta International Advisory Board francuskiej uczelni ISC Paris. W latach 2016-18 był członkiem Rady ds. Cyfryzacji przy Minister Cyfryzacji. Od roku 2020 jest rektorem Akademii Leona Koźmińskiego. Wcześniej pełnił tam funkcję prorektora ds. Współpracy Zagranicznej, odpowiadając za całościową strategię międzynarodowienia oraz marketing uczelni. Jest koordynatorem programu Koźmiński MBA Digital oraz studiów podyplomowych związanych z gospodarką cyfrową: Marketing Internetowy, Handel elektroniczny, Cyfrowa Transformacja Biznesu oraz Menedżer Przemysłu 4.0.

z Web of Science, dają nadzieję na to, że znów będzie ona miała sens. Notabene, nie rozumiem, po co silimy się na jakieś lokalne rozwiązania (ostatnio uruchomiono bazę polskich naukowców), skoro jest Google Scholar czy ORCID, gdzie osiągnięcia każdego naukowca można zweryfikować w 10 sekund. Tworzymy zupełnie zbędne krajowe miary prestiżu, podczas gdy od dawna funkcjonują uznane sposoby oceny wartości naukowej. Być może pewne dyscypliny czy zawężone obszary badań mają lokalne znacznie i wymagają szczególnych miar, ale to raczej wyjątki.

**Podkreślił pan, że kształcenie, także międzynarodowe, jest dla Koźmińskiego szczególnie ważne.**

Kształcenie jest wehikułem rozwoju każdej uczelni. Model biznesowy uczelni niepublicznych w Polsce jest oparty na czesnym studentów. W naszym przypadku nigdy nie było to jednak rozdawanie dyplomów, ale dbałość o wysoką jakość kształcenia, potwierdzaną akredytacjami, pozycją w rankingach i wynikami ekonomicznymi losów absolwentów czy wreszcie, co najważniejsze, opiniami i rekomendacjami naszych absolwentów z całego świata. Nie chodzi o to, żeby dać studentowi dyplom, tylko o to, żeby ekosystem społeczno-gospodarczy ufał temu dyplomowi, wiedzy i kompetencjom, które za nim stoją. Mamy siedemdziesiąt tysięcy absolwentów, którzy decydują o instytucjach, firmach, organizacjach w Polsce i na świecie – to jest prawdziwy wpływ na otoczenie.

**Jak ocenia pan rynek studiów MBA w Polsce?**

Studia MBA nie są w Polsce uregulowane i każdy program poddyplomowy skierowany do biznesu można tak nazwać. Sukces odnoszą te uczelnie, których absolwenci odnoszą sukces. Nasze programy MBA to dwa lata ciężkiej pracy. Są akredytowane przez AMBA. Są oczywiście drogi na skróty, tak zwane studia MBA, trwające pół roku, polegające na przyswojeniu pokazanych zdalnie slajdów wykładowcy. Na pewno w ten sposób nikt niczego wartościowego się nie nauczy, a osoby, które z tych „produktów” korzystają, powinny raczej usuwać je z CV, bo same sobie szkodzą, same się na rynku pracy eliminują. Nasze studia są jedynymi z Europy Środkowo-Wschodniej, które „Financial Times” uznał za najlepsze na globalnym rynku. Za tą opinią stoi sukces zawodowy naszych absolwentów, a za nim dobry program kształcenia i znakomita kadra akademicka. Nigdy niczego nie robiliśmy w Koźmińskim dla sukcesu, on jest przy okazji. Tylko wysoka etyka pracy daje gwarancję zdobycia zaufania.

**Jak poszukujecie studentów?**

Pomimo naszych osiągnięć na rynkach prestiżu, ostatecznie o wyborze uczelni decydują w ogromnym stopniu rekomendacje jej absolwentów. Nasze studia, postrzegane przez rynek jako drogie, kosztują taniej niż niepubliczne liceum w Warszawie. Z drugiej strony ich cena jest trzykrotnie niższa niż studiów o podobnej jakości w Wielkiej Brytanii, Francji czy Hiszpanii. Jest kwestia świadomości lokalnego rynku na temat płatnego kształcenia. Chyba tylko w Polsce tkwi to mentalne zróżnicowanie pomiędzy uczelnie publiczne a niepubliczne. W USA nikt nie pyta czy Harvard, Stanford i MIT są prywatne, czy państwowe. Liczy się tylko oferowana przez nie jakość. Rodzice naszych studentów są gotowi zapłacić „drogo”, bo wiedzą, jaką wartość za tę opłatę oferujemy. Staliśmy się świetną alternatywą dla wyjazdu młodego człowieka na pełny cykl kształcenia za granicę. Z nami też zdobędzie zagraniczny dyplom (model double degree), pojedzie, ale pod naszą opieką i będzie w samej ALK obcował ze studentami i studentkami osiemdziesięciu narodowości. Około czterdzieści pro-

cent naszych studentów pochodzi z rodzin przedsiębiorczych, reprezentujących biznes, w tym małe i średnie firmy. Nazwałbym to naszą specyfiką. Przez pierwszą połowę okresu naszego działania nazywaliśmy się Wyższą Szkołą Przedsiębiorczości i Zarządzania im. Leona Koźmińskiego. Przedsiębiorczość to nie tylko to, czego uczymy na zajęciach, raczej chodzi o sposób patrzenia na świat, kreowanie i wykorzystywanie szans, traktowanie zagrożeń jako wyzwania, a nie tylko trudności. Tu się buduje myślenie praktyczne, proaktywne. To się wyraża w całej masie inicjatyw: startupów, konkursów, kół studenckich czy sportowych. Postrzegam Koźmińskiego nie tylko jako instytucję edukacyjną, której celem jest uzyskanie dyplomu, ale jako przestrzeń rozwoju człowieka, w której kursy dydaktyczne są ważne, ale liczy się też wartość dodana, którą oferujemy. To jest choćby Koźmiński Business Hub, nasza spółka córka, która rozwija startupy. To dwieście świetnych szkół wyższych, do których można pojechać w trakcie studiów, to masa hackathonów, podczas których studenci rozwiązują konkretne problemy przedsiębiorstw. Studia nie są zamkniętym formatem, ale otwartą przestrzenią, w której nie tylko dostarczamy wiedzę, lecz także pewne doświadczenie, kompetencję, wiedzę o świecie z masowym wręcz udziałem parterów biznesowych i instytucjonalnych.

**W jaki sposób realizujecie kontakty z absolwentami?**

To absolwenci są naszymi ambasadorami, budują naszą siłę, potęgę, prestiż. Przez swoje aktywności w biznesie, administracji usieciwiają nasze relacje z otoczeniem, ekosystemem społeczno-gospodarczym. Tu szczególną sprawą jest budowanie relacji z absolwentami MBA. Mamy zjazdy absolwenckie, organizujemy wigilie absolwenckie, comiesięczne spotkania networkingowe i mentoringowe. To nie jest robione dla poklasku, ale dlatego, że lubimy spędzać czas ze sobą, a przy okazji uczymy się od absolwentów, dostajemy różnego rodzaju feedback.

**Rozmawiamy o biznesowo-ekonomicznym nurcie kształcenia i badań w ALK, a przecież macie też inne kierunki i dyscypliny, choćby prawo. Czy one są traktowane jako marginalne?**

Nie. W naszych kontaktach ze światem posługujemy się określeniem „broad profile business school”. To w praktyce oznacza, że np. prawo w Akademii Leona Koźmińskiego ma bardzo wyraźny charakter biznesowy, ale to nie oznacza, że nasi studenci prawa dostają jakąś zawężoną wiedzę prawniczą. Oni dostają pełny profil studiów prawniczych – przygotowujemy studentów do aplikacji – ale osadzony w realiach biznesowych, społecznych, ekonomicznych. Dzięki temu nasi adepci prawa doskonale rozumieją świat. I to widać, gdyż dobrze odnajdują się na rynku biznesowym, a nasze prawo jest najlepsze w grupie uczelni niepublicznych, co potwierdza choćby ranking „Rzeczpospolitej”. Oprócz prawa mamy jeszcze dwie dyscypliny „wspierające” zarządzanie: socjologię i psychologię. Może w przyszłości będziemy rozwijać także inne dyscypliny, ale naszym celem nigdy nie była rozbudowa kierunków dla nich samych. Jeżeli kiedyś uzyskamy status uniwersytecki to nie dlatego, że specjalnie do tego dążymy. To może wynikać z naszego naturalnego rozwoju w dłuższym okresie. Obserwuję polski rynek edukacyjny, tę gonitwę za nazwami, za nomenklaturą. Wielu się wydaje, że za nazwą pójdzie jakiś niezwykły sukces. Nic bardziej mylnego. To tylko prowadzi do dewaluacji słów, które uważaliśmy za nośniki prestiżu. Wartość broni się sama, niezależnie od nomenklatury.

**Uczelnia ma w nazwie nie tylko słowo „akademia”, ale i patrona.**

Tak. Bardzo go sobie cenimy. Leon Koźmiński jako jeden z najmłodszych zrobił doktorat na Sorbonie, jest on dostępny

w języku polskim w formie książki pt. *Wolter – finansista*. Koźmiński to nazwisko utożsamiane z międzynarodowym sukcesem naukowym. Jego syn, Andrzej Koźmiński, należał do grupy profesorów, którzy postanowili zrealizować swoje marzenie o uczelni najwyższej jakości i założyli naszą uczelnię. Ostatnio profesor Koźmiński wydał książkę autobiograficzną *Sen o Szkole*, w której opisuje dzieje powstania i pierwszych 30 lat funkcjonowania naszej Akademii.

### **Akademia Leona Koźmińskiego to także szereg inicjatyw poza nauką i kształceniem. Studenci, jak rozumiem, wspierani w tym przez uczelnię, mają choćby osiągnięcia sportowe.**

W Koźmińskim funkcjonuje ponad trzydzieści klubów i kół naukowych studentów. W naszym kampusie nie robi się pusto po zajęciach; on jest przestrzenią rozwoju, także bardzo młodych ludzi, licealistów. Na wakacyjne kursy biznesu przychodzą do nas uczniowie, którzy chcą z nami zostać także później. Odwiedza nas biznes. Wiele kluczowych dla kraju instytucji, firm, mediów współdziała z nami. POLSA robiła niedawno ważną konferencję w ALK, gala rankingu liceów i techników „Perspektyw” będzie w styczniu znów na Jagiellońskiej, wspólnie z „Rzeczpospolitą” organizujemy merytoryczną edycję Listy 2000, a z Polską Komisją Akredytacyjną świętowaliśmy w murach ALK jej 25 lecie. Uczelnia to przestrzeń rozwoju, a nie tylko formalnego kształcenia. Do nas przyciągają wybitne osobowości, nasi profesorowie: Grzegorz Kołodko – dwukrotny premier i minister finansów, Marcin Piątkowski z Banku Światowego, Andrzej K. Koźmiński, Aleksandra Przegalińska – związana z badaniami nad sztuczną inteligencją, Dariusz Jemielniak – wiceprezes PAN, Aneta Hryckiewicz – finansistka, która drugą nogą jest w Oxfordzie, Michał Kurtyka i wielu innych wspaniałych naukowców i badaczy. Co warto podkreślić, to nie są tylko pracownicy. My tu jesteśmy na służbie, jesteśmy przekonani o swojej misji. Współpracujemy z miastem, z dzielnicą, w której stoi nasz kampus. Mamy pomagać społeczeństwu w rozwoju, a nie być miejscem do „odbębnienia” zajęć dydaktycznych. Boleję nad tym, że w Polsce nie funkcjonuje system taki, jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie osiągnięcia sportowe są nagradzane stypendiami. Sport jest immanentną częścią życia człowieka, także naszych studentów. Wspieramy ich w tych pasjach. Mamy zespoły koszykówki mężczyzn, siatkówki kobiet, brydża, szachów, tenisa ziemnego, mamy też sekcję sportów elektronicznych. Rywalizacja sportowa buduje charakter, rozumienie świata, myślenie strategiczne, ducha współpracy. Tu wracamy do odpowiedzi na pytanie, czym jest uczelnia. To ma być otwarty hub. Ktoś użył metafor katedry i bazaru do opisu kultury organizacji. Katedra jest zhierarchizowana, zamknięta, stała, bazar jest otwarty, dynamiczny, szybko się zmieniający. Bliższe jest mi to drugie spojrzenie na uczelnię. Koźmiński reprezentuje właśnie taką otwartą platformę do rozwoju.

### **Jaka jest struktura zarządzania uczelnią niepublicznej, kto w Koźmińskim decyduje ostatecznie o jej sposobie działania?**

Uczelnie niepubliczne muszą co do joty spełniać zasady zapisane w ustawach. W ALK rektor jest wybierany co cztery lata, w tych samych czasokresach co w uczelniach publicznych. Mamy radę powierniczą, która weryfikuje kandydata, a po opinii Senatu zatwierdza nowego rektora. Skupienie władzy rektorskiej jest duże, podobnie jest od niedawna w uczelniach publicznych, które w poszukiwaniu efektywności zarządzania poszły naszym śladem.

### **Czy to znaczy, że mogą się pojawić u was trzej konkurujący kandydaci na rektora?**

Tak. Rada ich zweryfikuje, Senat zaopiniuje, a potem rada zatwierdzi wybranego przez siebie rektora, który kompletuje zespół prorektorski i dziekański. Mamy system wynagradzania, który premiuje najlepszych i buduje kulturę akademickości. Kultura instytucjonalna odgrywa u nas ogromną rolę, ale jest skomplikowana, bo składa się na nią kultura akademicka, startupowo-innowacyjna, korporacyjna, ale i rodzinna. Różni nas od uczelni publicznych nasze DNA, czyli sposób finansowania z czesnego studentów. Pewną część dochodu tworzą programy rozwojowe dla firm, które „Financial Times” uznaje za jedne z pięćdziesięciu najlepszych na świecie. Uczestniczymy też w pozyskiwaniu środków grantowych. Jesteśmy chyba jedyną uczelnią w Polsce, która uzyskała grant w programie Horyzont w naukach społecznych. W konsorcjum jest kilkanaście instytucji edukacyjnych z całego świata, m.in. z Austrii, Kanady, Niemiec, Holandii, Maroka, Ghany, Indii, Filipin, Polski.

Liczę na to, że na poziomie państwa wypracowane zostaną mechanizmy wsparcia finansowego uczelni niepublicznych, np. w zakresie rozwoju infrastruktury. Jest w Polsce przynajmniej kilka takich uczelni, które mają ogromny wpływ na otoczenie i na postrzeganie Polski za granicą. Wsparcie, które służyłoby ostatecznie także państwu, wydaje się zasadne. W 2023 roku w celu budowania stabilnego rozwoju uczelni założyliśmy kapitał żelazny. Zaczęliśmy go budować. Jesteśmy pierwszą uczelnią w regionie, która to robi, powielając rozwiązania najlepszych uczelni na świecie, które notabene są, gdzie są, właśnie z powodu posiadania takiego rozwiązania – wehikułu rozwoju.

### **Na czym polega budowanie kapitału żelaznego? Co już zrobiliście w tym zakresie?**

Z kapitału żelaznego będą korzystać przyszłe pokolenia naszych naukowców i studentów. Harvard University, Massachusetts Institute of Technology, Stanford University są tam, gdzie są, bo ich kapitały żelazne wynoszą kilkadziesiąt miliardów dolarów. To oznacza, że te pieniądze są mądrze inwestowane, przynoszą korzyści, które uniezależniają uczelnie od bieżących cykli koniunkturalnych czy pojedynczych wydarzeń. My jesteśmy na początku tej drogi, ale mamy już pierwsze sukcesy. Mamy czterech partnerów strategicznych, firmy: Panattoni, która zdecydowała się na to jako pierwsza, EY, Bank Millennium i Ergo Hestię, które przekazały na rzecz kapitału żelaznego konkretne kwoty. Mamy też partnera wspierającego – Seris Konsalnet, a dwie kolejne tego typu umowy są właśnie finalizowane. Taki kapitał to umowa, na której korzystają obie strony. Mamy ofertę świadczeń wzajemnych dla naszych partnerów. Na razie to są np. sale imienia danej firmy, wspólne badania naukowe, programy stypendialne, działania wizerunkowe i co-brandingowe. Wszystkie umowy już zawarte mają charakter kilkuletni. Do grona donatorów dołączają nasi absolwenci oraz zamożni ofiarodawcy, którzy chcą nam pomóc w budowaniu ośrodka edukacji biznesowej światowej klasy, a nie tylko lidera regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Wierzą, że dzięki ALK możemy mieć nad Wisłą nasz własny Real Madryt.

### **Ile środków zgromadziliście dotychczas?**

Na razie mamy pięć milionów złotych. To jest dopiero pół roku trwania tego programu.

### **Czy startuje pan w najbliższych wyborach rektorskich?**

Rozpoczęliśmy wiele projektów, które wymagają kontynuacji dla dobra uczelni. Tak, chciałbym je nadal pilotować na stanowisku rektora Akademii Leona Koźmińskiego.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

# Profesorowi zachciało się interakcji

## czyli jak studenci oceniają wykładowców

Liczne badania naukowe potwierdziły brak studenckich kompetencji do oceny wykładowców jak również wpływ wielu czynników zarówno o charakterze psychologicznym, jak i systemowo–organizacyjnym na przekłamania i niską jakość ocen studenckich.

Wzrost popularności neoliberalnych idei w zarządzaniu uniwersytetami przyniósł zmianę podejścia do studenta, postrzeganie go jako klienta, a kadry pedagogicznej jako zasobu, który należy monitorować. Zaowocowało to upowszechnieniem się od lat 60. ubiegłego wieku w USA procedur (ankiet) oceny nauczycieli akademickich przez studentów – SETE (student evaluations of teaching effectiveness), które stopniowo spopularyzowały się także w innych krajach, a z czasem zagościły również na polskich uniwersytetach. Od samego początku były one reklamowane jako tani i wygodny sposób oceny nauczania, mechanizm wzrostu satysfakcji studentów i efektywności akademickiej. Z drugiej strony spotkały się one z krytyką środowisk akademickich, której osiłą było kwestionowanie kwalifikacji studentów do oceny wykładowców i procesu nauczania. Brak studenckich kompetencji do oceny wykładowców, jak również wpływ wielu czynników zarówno o charakterze psychologicznym, jak i systemowo–organizacyjnym na przekłamania i niską jakość ocen studenckich, potwierdziły liczne badania naukowe. W publikacji z 2020 roku *Unbiased, Reliable and Valid Student Evaluations Can Still Be Unfair* Justin Esarey i Natalie Valdes, stosując komputerową symulację, wykazali, że gdyby nawet korelacja pomiędzy SETE a jakością nauczania była tak wysoka, jak kiedykolwiek wykazały badania empiryczne (0,43 metabadań z 1983 roku, które później wielokrotnie były zakwestionowane), pozostaje duża różnica w wynikach, która nie pozwala na wiarygodną identyfikację najlepszego nauczyciela w porównaniu parami. Autorzy zauważają, że wykorzystywanie nieprawidłowych, niewiarygodnych ocen studentów w decyzjach kadrowych jest szkodliwe i dla studentów, i dla wykładowców. Co gorsza, opinie te mogą stawać w niekorzystnej sytuacji wykładowców ocenianych przez mało reprezentatywne grupy lub prowadzących niepopularne obowiązkowe kursy.

Wątpliwości co do wiarygodności i rzetelności ocen studenckich wynikają z następujących zjawisk:

- skupiania się niektórych studentów na przyjemności, a nie na nauce;
- wypełniania części ankiet przez studentów, którzy nie uczestniczyli w zajęciach;
- nieuczciwości studentów i prezentowania skrajnych poglądów, których nawet niewielka liczba może istotnie wpływać na ocenę. Ankiety internetowe „zachęcają niezadowolonych do wyładowywania emocji”;
- wpływu otrzymanych ocen na opinie studentów. Ponadto badania sugerują, że odpowiedzi w ankietach internetowych są niższe niż w tradycyjnych. Neoliberalne podejście do uniwersytetów zmienia punkt ciężkości z uczenia studentów na zapewnianie satysfakcji studentom. Badanie satysfakcji studentów może przekształcić się w badanie, w jakim stopniu ich oczekiwania zostały spełnione. Przy czym oczekiwania różnych grup studenckich mogą się diametralnie różnić. Spełniając oczekiwania np. najambitniejszych studentów, wykładowca naraża się na negatywne oceny tych, którzy oczekują tylko łatwego zaliczenia. Przypomina to sytuację, gdy jednemu pracownikowi wydaje polecenia wielu przełożonych, a są one czasami wzajemnie sprzeczne. Nie dostarcza to żadnej informacji zwrotnej o tym, jak można ulepszyć nauczanie. W badaniach wyraża się wątpliwość, że studenci w mało dojrzały sposób rozumieją nauczanie i są mało kompetentni do jego oceny. Linet Arthur z Oxford Brookes University, stosując metodę case study, badał, w jakim stopniu odpowiedzi udzielone w SETE odzwierciedlały poglądy studentów i wykazał, że nie odzwierciedlają dokładnie poglądów. Na przykład jeden student stwierdził, że przyznawał tylko najwyższe lub najniższe oceny, inny orzekł, że niechętnie dawał niskie oceny. Podobną analizę case study przeprowadzili Charles Emery, Tracy Kramer i Robert Tian z USA. Wykładowcy, który przychodził pięć minut przed zajęciami i nigdy nie opuścił zajęć, studenci z jednej grupy przyznali średnią ocenę 4,46 w pięciostopniowej skali

a w innej grupie 4,04, podczas gdy średnia dla całego collage'u wynosiła 4,76. Podobnie niezrozumiałe wyniki uzyskano pod względem dostępności wykładowcy, sprawiedliwości oceniania i innych aspektów.

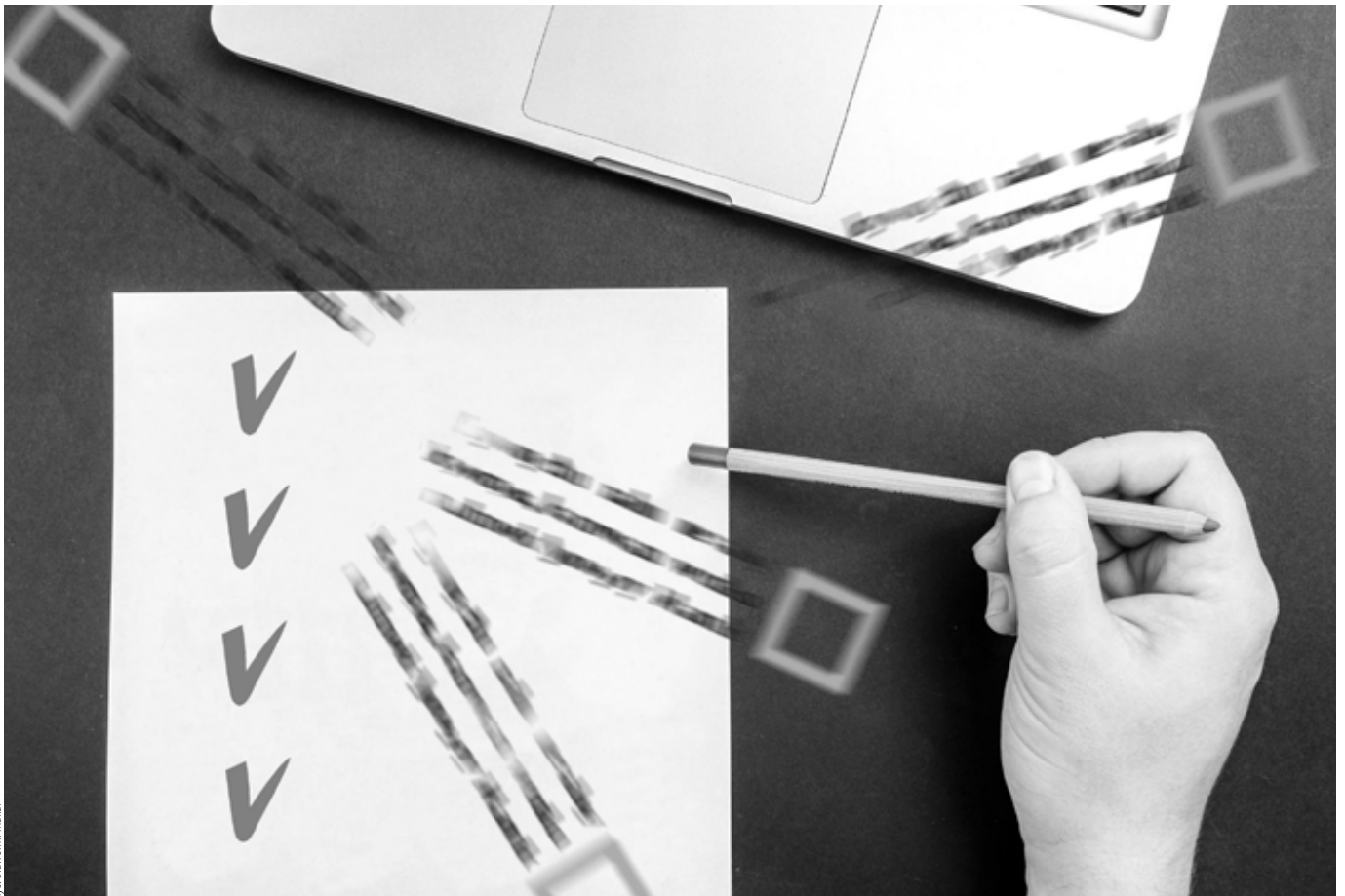
Upowszechnienie SETE przyczynia się do erozji profesjonalizmu wyrażanego poprzez osady oparte na zasadach i złożone rozumienie wynikające z doświadczenia, i promuje „performatywność” skupioną na osiągnięciu celów zapisanych w sylabusach, rozporządzeniach czy oczekiwaniach władz. Rola naukowców jako wewnętrznie zmotywowanych samodzielnie zarządzanych indywidualistów została zastąpiona przez „tyranię wskaźników”.

### Reguła wzajemności

Popularyzowanie na uczelniach kultury „oceni swojego wykładowcę” rodzi postawy roszczeniowe i nie poprawia jakości nauczania. Daje również nieuczciwym studentom narzędzie do karania (zemsty) za niską ocenę lub krytykę zachowań. Gdy w trakcie sprawdzania obecności na liście wpisano więcej osób niż było na sali, nie uznałem listy i zwróciłem studentom uwagę, że oszukując mnie, działają na własną szkodę, gdyż lista ma premiować uczęszczających na zajęcia, w ankiecie napisano: „zła atmosfera na zajęciach”. Gdy na pierwszych zajęciach zaprezentowałem efekt Dunninga-Krugera pokazujący, że osoby posiadające małą wiedzę prezentują bardzo wysoką pewność siebie i przestrzegalem, aby nie kończyli nauki na tym etapie, w ankiecie pojawił się komentarz: „Pierwszy wykład w większości poświęcony na pokazanie, że student jest głupi”. Gdy wspomniałem, że w marketingu istniało powiedzenie, iż „sex sprzedaje wszystko”, w ankiecie przeczytałem: „na zajęciach potrafił powiedzieć, że seksem w życiu się wszystko osiągnie”.

Praktyka oceniania wykładowców przez studentów negatywnie wpływa na skuteczność nauczania również poprzez

oddziaływanie na zachowania wykładowców, skłaniając ich do wykorzystywania reguły wzajemności. Zgodnie z teorią, wzajemność to reakcja behawioralna na postrzeganą życzliwość. Profesorowie jako „ludzie racjonalni” mogą oddziaływać na studenckie oceny, prezentując życzliwe intencje i konsekwencje w oczekiwaniu tego samego od studentów przy SETE. Może to podnieść wyniki studenckich ankiet, lecz negatywnie wpływać na skuteczność nauczania. Wzajemność może występować w pięciu formach. Trzy należące do grupy życzliwych intencji to: styl nauczania, wymagania dotyczące obecności, sposób realizacji, oraz dwie należące do grupy życzliwych konsekwencji to: ocenianie studentów oraz trudność kursu. Styl nauczania pokazuje bezpośrednio intencje profesora, czy chce on zachowywać się uprzejmie i dobrać formę, która uatrakcyjni zajęcia. Aby przypodobać się studentom, wykładowca może poluzować wymóg obecności na zajęciach. Sposób realizacji zawiera zajęcia w sali lub online. Łagodne ocenianie i wstawianie zbyt dużej liczby najwyższych ocen prowadzą do ich inflacji, osłabiając zarówno siłę wyróżniającą, jak i dyskryminującą ocen. Ostatnią formą wzajemności należącą do miłych konsekwencji jest trudność kursu. Studenci wybierają łatwiejsze kursy, które zwiększają prawdopodobieństwo uzyskania wysokiej oceny przy niższych nakładach nauki. Jibo He i inni w artykule *Reciprocity in college teaching: a big data study based on online student evaluation of 919,750 professors* wykazali, że w nauczaniu występuje wzajemność. Szczególnie silna jest ona w stylu nauczania oraz ocenianiu studentów i kwestii trudności kursu (w tej ostatniej korelacja jest ujemna). O ile dbałość o atrakcyjność przekazu, koncentrowanie się na studentach są zjawiskami pozytywnymi, o tyle korelacja pomiędzy ocenami studentów a ocenami SETE i ujemna korelacja pomiędzy trudnością kursu a SETE prowadzą do spadku efektywności nauczania i degradacji zajęć. Występowanie wzajemności prowadzi do przesunięcia celów.



Wykładowcy mogą przyjmować za ostateczny cel nauczania uzyskanie dobrej oceny SETE a nie rzeczywistą skuteczność nauczania. Koncentrują się na aktywnościach, które skłonią studentów do wystawiania wysokich ocen SETE bez względu na ich negatywny wpływ na jakość nauczania. W konsekwencji wykładowcy z najwyższymi ocenami są często kiepskimi nauczycielami, a ci z najniższymi są często lepsi od typowego wykładowcy. W polskich warunkach wzajemność można zaobserwować również na płaszczyźnie wyboru władz uczelni. Studenci w tej sytuacji są nie tylko traktowani jako klienci, ale są również wyborcami mającymi realny wpływ na wybór władz. W związku z tym kandydaci ubiegający się o stanowiska we władzach uczelni prezentują życzliwe intencje w zakresie pobłażania niewłaściwym zachowaniom studenckim czy spełnianiu ich nadmiernych i nieuzasadnionych roszczeń, w tym również w stosunku do wykładowców, w zamian oczekując ich przychylności w trakcie wyborów.

### Jeden obraźliwy i niesprawiedliwy wpis

Osobnym problemem są pojawiające się patologie związane z SETE, a w szczególności zjawisko „hejtu”. Internetowa forma SETE szczególnie mu sprzyja. Bardzo niekorzystnie oddziałuje to na wykładowców, zniechęcając ich do zaangażowania i wysiłku. Nawet jeden obraźliwy i niesprawiedliwy wpis może sprawić, że wykładowca straci szacunek do wszystkich studentów. Studenci na ogół nie zdają sobie sprawy z tego, jak wielki mają wpływ na sposób prowadzenia zajęć i zaangażowanie wykładowcy. Dobra grupa zainteresowana zajęciami uskrzydla wykładowców. Pasywna, opryskliwa i niezainteresowana potrafi zgasić największego pasjonata. Wielokrotnie obserwowałem szok, jaki przeżywali młodzi doktoranci, gdy pierwszy raz stanęli po drugiej stronie katedry i spojrzeli na studentów z innej perspektywy.

Podzielał pogląd, że studentów nie można traktować jak klientów uniwersytetu, gdyż aktywnie uczestniczą w procesie nauczania, jak również dlatego, że skutki ich nauczania ujawnia się dopiero w długiej perspektywie, podczas gdy ich oceny stawiane wykładowcom zdeterminowane są bieżącymi

problemami. Należy zachować alternatywne standardy, jakie dominowały przed neoliberalizmem. Zgodnie z nimi studenta należy postrzegać raczej jako produkt procesu nauczania, a nie klienta. Ostatecznym klientem jest gospodarka/społeczeństwo. Nie oznacza to, że należy zrezygnować z ankiet. Istotny jest kontekst i sposób korzystania z nich. Zachęcanie studentów do dzielenia się refleksjami na temat zajęć może dostarczyć informacji, jak poprawić efektywność nauczania, o ile nie będą one nacechowane władzą studenta wobec wykładowcy i wynikającym z tego oczekiwaniem bezwzględного spełniania ich sugestii i zastrzeżeń. Ważny jest także sposób korzystania z ankiet przez władze uczelni. W swojej długiej karierze wykładowcy oceniani byłem przez studentów prawie zawsze. Doświadczyłem generalnie trzech podejść do wyciągania wniosków z ankiet. Pierwsze polegało na uwzględnianiu tylko liczby najwyższych wskazań, przy założeniu, że są one najbardziej wiarygodne. Przy tego typu ocenianiu wielokrotnie udawało mi się zdobywać tytuł najlepszego lub wysoko ocenianego wykładowcy. Drugie podejście polegało na ekspozowaniu tylko negatywnych komentarzy. Przy tym podejściu stawiany byłem do raportu i musiałem się tłumaczyć, dlaczego niektórzy studenci tak źle o mnie napisali. Trzecie podejście, chyba najpospolitsze, polegało na pokazywaniu średniej z ocen. Rodziło ono najmniej emocji, gdyż było słabo wyróżniające. Średnie ocen wykładowców były zbliżone ze względu na różne kryteria, jakie stosowali studenci. Uważam, że najwięcej wiarygodnych informacji o odbiorze zajęć można otrzymać z komentarzy na forach studenckich. Studenci nie są tam zmotywowani władzą karania wykładowcy, lecz bezinteresowną chęcią podzielenia się z innymi studentami informacją o wykładach i kursach. Ujawniają przy tym swoje oczekiwania wobec wykładowcy, co pozwala na selekcję konstruktywnych komentarzy.

Tytuł artykułu wzięty z komentarza w ankiecie studenckiej dotyczącej zajęć prowadzonych przez autora.

Prof. dr hab. inż. Tadeusz Dudyc, Wydział Zarządzania Politechniki Wrocławskiej

## Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2024 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2024 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 250 zł; prenumerata numerów 1-6: 132 zł, a 7-12: 118 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 180 za cały rok i 90 zł za pół roku.

Redakcja



Justyna M. Bugaj

# Czy ocena zajęć dydaktycznych ma sens?

W obecnie prowadzonej formie ocena zajęć dydaktycznych nie daje oczekiwanych informacji. Czyli niekoniecznie da się na jej podstawie ewaluować zajęcia lub doskonalić programy kształcenia. . . a już na pewno nie da się ocenić pracy nauczyciela akademickiego.

*Czasem jest tak, że to, co się liczy, nie da się policzyć, a to, co daje się policzyć – nie liczy się.*

Albert Einstein

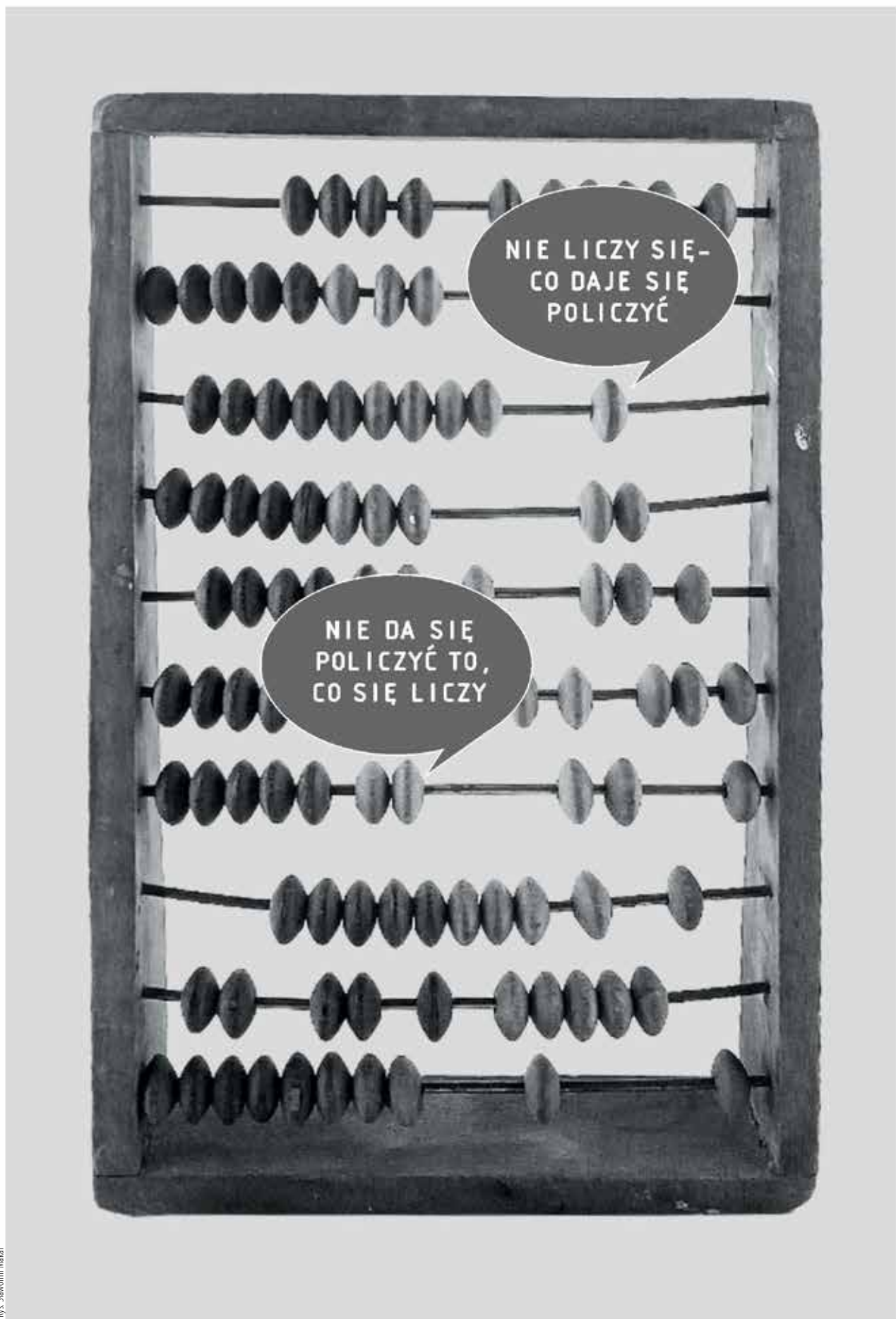
Przeprowadzane od 1999 roku ciągle zmiany w funkcjonowaniu europejskich systemów szkolnictwa wyższego doprowadziły do etapu, w którym opinia studentów ma coraz większe znaczenie. Ostatnio podstawą jej zbierania w Polsce jest konieczność systematycznej ewaluacji zajęć wynikająca z Ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym (2018). Jej celem jest określenie poziomu realizacji założeń programowych, projektowanie modyfikacji, przeciwdziałanie nieprawidłowościom itd. W jej efekcie powinniśmy móc sprawnie wprowadzać zmiany w programie studiów dostosowane do potrzeb studentów, potencjału nauczycieli akademickich i możliwości uczelni. Powinniśmy móc odpowiednio szybko reagować na pojawiające się niespodziewanie problemy, szczególnie po to, by móc im zapobiegać w przyszłości (czyli w kolejnym cyklu kształcenia). Głosy studentów liczą się podczas podejmowania decyzji w sprawie nowych kierunków studiów, w sprawie zmian programowych, akredytacji kierunków kształcenia czy awansu nauczycieli akademickich. Brane są pod uwagę podczas oceny okresowej pracowników, a nawet w sprawie nominacji dziekana lub rektora odpowiedzialnych za proces kształcenia. Jednak te opinie oraz sposoby ich zbierania są coraz częściej krytykowane przez wszystkie zainteresowane ich wynikiem strony. Podnoszona jest nie tylko kwestia celu i sensu ankietowania, ale i skutków dla zarządzania procesem kształcenia na uczelniach. Dlatego postawiłam sobie trzy pytania: 1. Po co oceniać zajęcia dydaktyczne? 2. Czy przeprowadzać jedną ocenę: zajęć i prowadzącego je nauczyciela akademickiego? 3. Jak zmienić ocenę zajęć dydaktycznych (OZD)? Przedstawiam

perspektywę nauczyciela akademickiego i osoby decydującej o systemie jakości kształcenia na dużym publicznym uniwersytecie oraz zajmującej się zarządzaniem jakością kształcenia od kilku lat. Studenci są rozumiani jako „wszystkie osoby będące w relacji z uczelnią poprzez uczestnictwo w dowolnym programie kształcenia, w dowolnym trybie i formie studiów (także studiów podyplomowych i w szkołach doktorskich)”.

## Po co oceniać zajęcia dydaktyczne?

Jest wiele powodów, dla których na różnych etapach studiowania zbieramy na uczelniach opinie studentów. Największe znaczenie mają te, które są związane z wewnętrznymi (uczelnianymi) i krajowymi aktami prawnymi, czyli dotyczącymi systemów jakości kształcenia i ewaluacji przedmiotów/kursów. Sam proces zbierania opinii studentów jest różny na różnych uczelniach i mimo licznych dostępnych dobrych praktyk nie został dotąd zestandaryzowany na poziomie prawnych regulacji krajowych. Stąd na naszych uczelniach funkcjonują różne kwestionariusze ankiet badające opinię studentów z różnym celem, dotyczą różnych kwestii i na różnym etapie ich studiowania. I tak na przykład raporty rekrutacyjne mówią o kompetencjach kandydatów na studia, badanie satysfakcji studentów przedstawia ich opinię najczęściej na temat całej uczelni i jej procesów, Uniwersytecki System Obsługi Studentów (USOS) prezentuje informacje o zaliczeniach, ankietę oceny pracowników administracji mówi o stanie pracy dziekanatów i sekretariatów obsługujących studentów. Do tego jeszcze biura karier zbierają swoje informacje wśród absolwentów i konfrontują je z informacjami z ELA (Ekonomiczne Losy Absolwentów, <https://ela.nauka.gov.pl/pl/major>).

Część informacji gromadzonych w ten sposób od studentów służy tworzeniu różnego rodzaju sprawozdań i kreowaniu



Rys. Sławomir Makal

informacji promocyjnych, część zasila wewnętrzny system jakości kształcenia. Część jest elementem informacji zarządczej dla dziekanów i rektorów, a część uczelnia sprawozdaje dalej, np. poprzez system POLON. Sposób zbierania danych od studentów najczęściej sprowadza się do elektronicznych ankiet (z wykorzystaniem różnych technologii), choć nadal można spotkać papierowe arkusze do wypełnienia.

Sama OZD jest procesem bardzo złożonym i nie powinna się sprowadzać tylko do uproszczonej analizy opinii studentów. Powinna brać pod uwagę przynajmniej:

- analizę możliwości uzyskania efektów uczenia przy zaplanowanych w przedmiocie metodach dydaktycznych;
- weryfikację realizacji efektów uczenia się przy zaplanowanych metodach sprawdzania postępów studentów;
- monitorowanie nakładu pracy studentów, w tym obciążenie ich pracą związaną z danym przedmiotem;
- analizę zaliczeń i ocen końcowych (przynajmniej rok do roku).

Informacje zbierane od studentów w ramach OZD rzeczywiście mogą być źródłem wniosków i rekomendacji dotyczących niezbędnych do wdrożenia zmian w programie kształcenia oraz w treściach przedmiotów lub kursów. W założeniu mają odpowiedzieć na pytanie: czy program kształcenia, który zaplanowaliśmy do realizacji, jest adekwatny, dobry, możliwy itd. Czyli mają służyć ewaluacji danego programu kształcenia oraz przedmiotów/kursów i ich doskonaleniu w przyszłości. Zatem oceniamy zajęcia dydaktyczne, by w kolejnej edycji mogły być równie dobre lub lepsze niż w poprzedniej.

### Czy przeprowadzać jedną ocenę: zajęć i prowadzącego je nauczyciela akademickiego?

Zdecydowanie nie, choć często na naszych uczelniach rzeczywiście OZD ma podwójną rolę. Z jednej strony dotyczy zajęć, z drugiej dotyczy prowadzącego te zajęcia nauczyciela akademickiego. Ma to swoje negatywne konsekwencje.

Po pierwsze jedno narzędzie nie oceni dobrze dwóch różnych kwestii mających tak odmienne cele. Zajęcia, szczególnie realizowane przez wielu nauczycieli, dużo trudniej ocenić niż te prowadzone przez jedną osobę. Nie tylko dlatego, że pamiętamy najlepiej tylko sytuacje skrajne (np. gdy nam się coś bardzo podoba lub nie podoba). Zajęcia oceniamy m.in. po to, by doskonalić i dostosowywać do grupy treść przedmiotu, doskonalić metody dydaktyczne, sprawdzać trafność metod weryfikacji efektów uczenia się, sprawdzać wartość nakładu czasu pracy studenta, wspierać proces kształcenia innymi sposobami itd. Nauczyciela akademickiego, w zależności od zajmowanego stanowiska na uczelni, oceniamy najczęściej w trzech obszarach: dydaktycznym, naukowo-badawczym oraz organizacyjnym. Tylko w obszarze dydaktycznym kryteriów oceny może być wiele, w tym m.in. poziom umiejętności organizacyjnych, komunikacyjnych i sposobu pracy z grupą studentów. A celem takiej oceny jest doskonalenie umiejętności dydaktycznych nauczyciela akademickiego, czyli tylko pośrednio doskonalenie przedmiotu.

Po drugie skuteczność ankiety elektronicznej w obu przypadkach nie jest wysoka. Wynika to nie tylko z jej niskiej zwrotności. Ale też wątpliwości dotyczących standaryzacji tego narzędzia jako ewoluującego różne typy zajęć: wykłady, ćwiczenia, laboratoria, seminaria, tutoriale itd. prowadzone w różnych formach i za pomocą różnych technologii wspierających kształcenie zdalne oraz dotyczące nauczycieli akademickich z różnym doświadczeniem (zarówno rozpoczynających karierę akademicką, jak i dojrzałych wykładowców). Czyli by OZD była skuteczna, powinna mieć warianty uwzględniające przynajmniej opisane zmiany, a wtedy musiałyby mieć znac-

nie więcej wariantów i pytań, przez co jej zwrotność byłaby jeszcze niższa, a odpowiedzi jeszcze mniej rzetelne. Dlatego ujednolicenie kwestionariusza ankiety nie jest dobrym pomysłem. Jednak jest niezbędnym i często stosowanym, by móc porównywać wyniki pracy nauczycieli w skali uczelni i brać je pod uwagę przy awansach czy nagrodach. Dobrze jest zatem posiadać grupę pytań ogólnouczelnianych i umożliwić kierującym jednostkami prowadzącymi kierunki kształcenia dołożenie swoich pytań uwzględniających specyfikę zajęć (i/lub dyscyplin).

Po trzecie konsekwencje ankietyzacji nie są jasne dla żadnej ze stron: ani studentów, ani nauczycieli akademickich. Studenci prezentujący w komentarzach swoje propozycje i potrzeby zmian w przedmiocie nie są w stanie sprawdzić, czy ich rekomendacje zostały wzięte pod uwagę w kolejnym cyklu kształcenia. Najczęściej nie powtarzają danego przedmiotu, a i z danym nauczycielem nie mają później zajęć (choć w przypadku „małych” zindywidualizowanych kierunków jest to możliwe nawet kilka razy, co dodatkowo negatywnie wpływa na wypełnianie ankiet, bo przecież student nie napisze negatywnej opinii nauczycielowi, z którym w kolejnym semestrze będzie miał znów zajęcia). Nauczyciele, nie widząc konsekwencji w stosowaniu lub niestosowaniu zaleceń z OZD związanych z doskonaleniem zajęć, na wszelki wypadek „robią jak zwykle”. A widząc bezkarność studentów w pisaniu szczególnie obraźliwych komentarzy, albo się nimi bardzo przejmują (co w efekcie wymaga interwencji psychologa), albo w ogóle ich nie czytają. Tylko część nauczycieli akademickich traktuje opinie studentów jako potencjalne źródło informacji o doskonaleniu przedmiotu.

Po czwarte nasze ankiety dotyczące zajęć dydaktycznych nie oceniają pracy nauczycieli akademickich. Liczne publikacje wskazują, że częściej badają zadowolenie studentów niż elementy związane z zajęciami. Na wyższą ocenę studencką wpływają między innymi charyzma, pasja, entuzjazm, a nawet ekspresja nauczyciela czy sposób jego/jej ubioru (rozumiany jako tradycyjny). Można znaleźć dowody na to, że mimo starań nauczyciela akademickiego OZD może silnie zależeć od składu grupy studentów, ich zachowania, motywacji do nauki a nie umiejętności dydaktycznych nauczyciela akademickiego. Na OZD wpływają także poczucie bezpieczeństwa studentów, warunki uczenia się i studiowania, harmonogram zajęć itd., ale też informacje na temat poprzednich akcji ankietowych i wdrożonych na uczelni ich efektów.

Z tych powodów wynik OZD jest często mocno subiektywny i zależy od zaangażowania samych studentów. W efekcie od tego zależy też sukces ich nauki i uczenia się. A studenci sami nie do końca wierzą w swoją moc sprawczą. Bo owszem, z jednej strony właściwie ciągle są pytani o opinię w sprawach różnych, od pierwszego roku studiów po ostatni, a nawet po ukończeniu studiów jako absolwenci również uczestniczą w wielu różnych aktywnościach na uczelni (np. w radach programowych, stowarzyszeniach absolwentów itd.). Jednak nie są przekonani o skuteczności swojego głosu i jego roli w doskonaleniu jakości kształcenia programów studiów.

Jest wiele dodatkowych problemów generowanych przez OZD. Np. im więcej ankiet studenci mają do wypełnienia, tym gorzej to robią. Przyznają się do tego, że zdarza im się nie czytać pytań, tylko do razu udzielać odpowiedzi. Czyli zdarza się, że nie wiedzą, kogo lub co oceniają i dlaczego. Z drugiej strony, jeśli wierzą w sens i korzyść płynące z wypełniania ankiet, robią to bardziej rzetelnie. Sprawdza się często powtarzane powiedzenie, że jeśli nauczyciel akademicki dużo wymaga, to oceny bywają niższe, oraz że kursy aktywne, promujące wyzwania mają wyższe oceny w stosunku do pozostałych. Dyskusyjny jest też termin przeprowadzania ankiet – na koniec

zająć, po ich zakończeniu czy w trakcie sesji. Niektóre uczelnie europejskie planują OZD w połowie semestru, po to by właśnie od razu zmienić sposób prowadzenia zajęć, jeśli się coś nie sprawdza.

Inną kwestią są możliwości technologiczne wykorzystywanego na uczelniach oprogramowania. Dotychczas najczęściej generuje się tyle ankiet, ilu jest prowadzących dany przedmiot. Jeśli ankietka ma oceniać zajęcia, to powinna być jedną do zajęć, bez względu na to, jaką formę te zajęcia przyjmują oraz ilu mają prowadzących (wyjątek może stanowić osobna forma do wykładów, ćwiczeń, laboratoriów itd., przy założeniu, że są osobne sylabusy). Jeśli jest wielu prowadzących jeden przedmiot, a ocena jest dokonywana przez studentów raz w semestrze, to jest ona całkiem nieadekwatna, i nie tylko z powodu tego, że student nie może pamiętać, kto prowadził pierwsze czy drugie spotkanie z piętnastu. I niewiele pomaga tutaj ustalenie, że oceny można dokonać w trybie ciągłym, czyli przez cały semestr po każdych zajęciach (tak jest na niektórych kierunkach medycznych).

Czyli ocena zajęć (OZD) i ocena prowadzącego zajęcia nie są tym samym. Dlatego na naszych uczelniach powinniśmy mieć do czynienia przynajmniej z dwoma rodzajami ankiet: osobno dotyczącymi zajęć oraz osobno dotyczącymi oceny pracy nauczycieli akademickich.

### Jak zmienić OZD?

Studenci powinni być od pierwszego roku uczeni wyrażania opinii, oceny i ewaluacji różnych sytuacji, także swoich zachowań. Powinni ucząć się poczucia sprawstwa. Szczególnie po to, by potrafili wyrazić swoje zdanie, nie obrażając drugiej strony, asertywnie. Krytyka wobec zachowania lub niezręcznej sytuacji wymaga ćwiczeń i konieczności wypracowania dobrych wzorców procesu oceniania. W efekcie przy OZD nie powinno być wątpliwości dotyczących zarówno anonimowości procesu, jak i informowania studentów o rezultatach poprzedniej oceny, w tym o efektach i zmianach wprowadzonych pod ich wpływem. Studenci powinni znać kryteria i standardy oceniania ustalone na danej uczelni. Na zajęciach prowadzący powinni wskazywać relacje ocenianego przedmiotu z innymi przedmiotami oraz omówić efekty uczenia się w kontekście ich przydatności w życiu zawodowym, w tym z możliwym ich rozwojem i wykorzystaniem na rynku pracy.

Nie sprawdza się system obligowania studentów do wypełniania OZD. Jeżeli się ich zmusza (np. poprzez blokowanie możliwości podglądu ocen z egzaminów, brak wpisu na kolejny semestr mimo zaliczenia wszystkich przedmiotów itd.), to wypełniają ankiety jeszcze mniej rzetelnie. Bardziej skuteczny jest system zachęt (np. drobne nagrody pieniężne, karnety do siłowni, bony na książki), który w połączeniu z zaangażowaniem samorządu studenckiego przynosi wymierne efekty w postaci zwiększonej zwrotności rzetelnie wypełnionych ankiet.

Narzędzia wykorzystywane do OZD powinny być sprawdzone pod kątem rzetelności (a więc mieć m.in. możliwość powtórnego zmierzenia tego samego obiektu w ten sam sposób i przynieść ten sam wynik) i trafności (narzędzie powinno mierzyć to, do czego zostało zaprojektowane). Mimo to często można zauważyć obserwowalne różnice w wynikach OZD między tymi samymi przedmiotami prowadzonymi na różnych wydziałach tej samej uczelni przez tę samą osobę. Stąd systematycznie (raz na kilka lat) powinno się sprawdzać zarówno rzetelność, jak i trafność pytań wykorzystywanych w OZD. Jak również korzystać z innych narzędzi i metod oceny zajęć dydaktycznych.

Jeżeli naszym celem jest sprawdzenie tylko skuteczności lub efektywności uczenia prowadzącego zajęcia i uczenia się wpisanych na zajęcia studentów, to wystarczy przeanalizować wartości ocen końcowych. Badanie zadowolenia studentów powinno mieć swój czas i miejsce oraz swoje narzędzie inne niż OZD. Jeśli z kolei chodzi o ocenę pracy, to lepszymi metodami są np. obserwacja koleżeńska oraz hospitacje zajęć.

W efekcie na wyniki końcowe OZD często ma wpływ cała oferta edukacyjna uczelni, z różnymi jej elementami, takimi jak np. jakość materiałów edukacyjnych, literatura przedmiotu, zaangażowanie nauczycieli i samych studentów, poziom motywacji studentów i nauczycieli, klimat w grupie, infrastruktura techniczna i technologiczna. W komentarzach do OZD pojawiają się uwagi studentów o konieczności wypracowania dobrych wzorców procesu oceniania, by nie było wątpliwości dotyczących zarówno anonimowości procesu, jak i informowania studentów o rezultatach poprzedniej oceny, w tym o efektach i zmianach wprowadzonych pod ich wpływem.

Dlatego OZD powinna odbywać się w trakcie semestru lub kilkakrotnie w ciągu roku akademickiego. Jest wtedy ważnym źródłem informacji dla każdego nauczyciela, pozwalając mu na szybkie wprowadzanie korekt w treściach kształcenia. Również odpowiadający za programy studiów mogą dzięki OZD doskonalić procedury i metody pracy, a w rezultacie doskonalić poziom jakości kształcenia na uczelni. W ten sposób studenci mają wpływ na decyzje dotyczące realizacji programów studiów, wyboru wykładowcy oraz zmniejszenia lub zwiększenia liczby godzin przedmiotu, który jest dla nich szczególnie interesujący itd.

W efekcie oceny zajęć dydaktycznych należy:

- publikować zanonimizowane wyniki lub podsumowania poprzedniej OZD na stronach wydziałowych, zespołów ds. jakości kształcenia, czyli informować o nich na różne sposoby studentów i nauczycieli akademickich;
- przeprowadzać ją jedynie w grupach dużych, najlepiej wykładowych, mając na uwadze to, że oceniane są wyżej kursy opcjonalne niż obligatoryjne, zaawansowane niż wprowadzające;
- zrezygnować z ankiet w małych grupach (poniżej 15 osób) na korzyść innych metod i narzędzi, np. panelu, obserwacji;
- zrezygnować z oceny seminariów dyplomowych, szczególnie w trakcie trwania seminarium;
- zastanowić się nad zmianą narzędzia wykorzystywanego do OZD (w tym zrezygnować z kwestionariusza ankiety na rzecz np. dyskusji ze studentami o zajęciach);
- świadomie wykorzystywać wyniki OZD, mając na uwadze, że związek satysfakcji z jakością nauczania nie jest wcale oczywisty. Student może być usatysfakcjonowany z zajęć marnej jakości i niezadowolony z zajęć naprawdę dobrych. Czyli różnice w ocenach mogą być skutkiem składu osobowego grupy, a nie lepiej lub gorzej prowadzonych zajęć.

Rola OZD cały czas rośnie i coraz częściej jej wyniki mają wpływ na zatrudnienie lub przedłużenie umowy o pracę nauczycielowi akademickiemu szczególnie na uczelniach niepublicznych. Potraktujmy OZD jako element wsparcia w rozwoju kompetencji dydaktycznych nauczyciela akademickiego, a nie element kontroli. Stresu mamy na uczelniach i tak za dużo. Przemyślimy, czy rzeczywiście w tej postaci OZD ma sens. Życzę Państwu i sobie studentów, których ciekawość i pasja będą nas dopingować do pracy i rozwoju nad doskonaleniem prowadzonych przedmiotów.

*Dr hab. inż. Justyna M. Bugaj, prof. AWSB, Katedra Zarządzania Akademią WSB w Dąbrowie Górniczej*

Kamila Puppel, Jan Słószarz, Justyna Więcek

# Istotne narzędzie, mimo ograniczeń

## Ankiety studenckie wspierają doskonalenie procesu nauczania

Nowa ankieta wprowadzona w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie przyniosła znaczące korzyści dla oceny jakości zajęć i pracy nauczycieli akademickich. Jej struktura oparta na trzech sekcjach umożliwia studentom wyrażenie opinii dotyczących różnych aspektów nauczania.

W środowisku akademickim doskonalenie jakości procesu dydaktycznego jest nieustannym wyzwaniem, uczelnie coraz powszechniej wykorzystują różne narzędzia weryfikacyjne. Jednym z najczęściej stosowanych i istotnych instrumentów jest ankietowanie studentów. W niniejszym kontekście warto rozważyć jednak nie tylko samo przeprowadzanie ankiet, ale także ich znaczenie, wykorzystanie w procesie doskonalenia dydaktyki, kwestie reprezentatywności zebranych danych oraz potencjalne implementacje. Ankiety studenckie stają się nieodłącznym elementem procedur ewaluacyjnych, umożliwiając gromadzenie opinii uczestników procesu dydaktycznego. Współczesne wyzwania stawiane przed uczelniami wymagają holistycznego spojrzenia na skuteczność procesu uczenia, co czyni ankiety jednym z kluczowych narzędzi analizy i doskonalenia.

### Przydatność ankiet w doskonaleniu procesu dydaktycznego

Ankiety studenckie, będące nieodłącznym elementem procesu oceny jakości uczenia na współczesnych uniwersytetach, pełnią kluczową rolę w doskonaleniu procesu dydaktycznego. Ich przydatność można ukierunkować na kilka istotnych aspektów. Ankiety umożliwiają precyzyjne określenie obszarów wymagających ulepszeń. Gromadzenie opinii studentów na temat przebiegu zajęć, materiałów dydaktycznych czy metod nauczania dostarcza cennych wskazówek dotyczących potencjalnych obszarów wymagających skorygowania. To narzędzie pozwala skoncentrować wysiłki doskonalące na konkretnych aspektach, co może prowadzić do skutecznego podnoszenia jakości procesu dydaktycznego. Analiza danych zebranych z ankiet może sugerować potrzebę modyfikacji programów studiów. Natomiast dostosowywanie treści do oczekiwań i potrzeb studentów przekłada się na zwiększenie ich satysfakcji z nauki oraz efektywności przyswajania wiedzy. Działania

te wpisują się w dążenie do tworzenia programów bardziej adekwatnych i dostosowanych do zmieniających się potrzeb studentów. Wyniki ankiet stanowią podstawę do podejmowania skonkretyzowanych działań doskonalących. Zarówno na poziomie indywidualnym wykładowców, jak i instytucjonalnym, informacje z ankiet mogą być używane do opracowywania planów doskonalenia, uwzględniając konkretne sugestie i oczekiwania studentów. Działania te mogą obejmować rozwijanie kompetencji nauczycieli akademickich, doskonalenie metod dydaktycznych oraz tworzenie bardziej atrakcyjnych i angażujących form zajęć.

### Ograniczenia ankietowania a reprezentatywność wyników

Ankiety studenckie stanowią integralny element procesu oceny jakości kształcenia na współczesnych uniwersytetach, a ich rola w doskonaleniu dydaktyki jest niezaprzeczalnie kluczowa. Jednakże istnieje kilka istotnych ograniczeń, które warto uwzględnić, aby skutecznie wykorzystać potencjał tego narzędzia. Po pierwsze, niska liczba zwrotów ankiet może zniekształcać reprezentatywność zebranych danych. To zjawisko ogranicza wiarygodność wyników, gdyż trudno uzyskać obiektywny obraz ogólnych opinii, bazując jedynie na niewielkiej próbie respondentów. Kolejnym wyzwaniem jest brak jednolitego podejścia do motywowania studentów do wypełniania ankiet. Różnice w podejściu do procesu ankietowania mogą skutkować niskim odzewem, co wpływa negatywnie na jakość zebranych danych. Dodatkowo istnieje problem niejednoznaczności, czy ankietowane są konkretnie zajęcia, czy ocena ogólna prowadzącego. To wprowadza subiektywizm do wyników, ponieważ studenci mogą oceniać na podstawie emocji związanych z danym przedmiotem, a niekoniecznie rzeczywistą jakością nauczania. Ocenianie przygotowania wykładowcy to kolejna kwestia podlegająca subiektywności. Opinie studentów w tej sprawie mogą

być subiektywne i zależne od indywidualnych oczekiwań, co nie zawsze odzwierciedla rzeczywiste kompetencje nauczyciela akademickiego. Ważnym zagadnieniem jest także jasne określenie celu ankiety. Brak precyzyjnych wytycznych co do tego, czy ankietowane są jedynie subiektywne odczucia studentów, czy też ma to służyć doskonaleniu procesu nauczania, może prowadzić do nieścisłości w interpretacji wyników. Warto również zastanowić się nad efektywnością wykorzystania zebranych danych. Brak skutecznej analizy i wykorzystania wyników może sprawić, że sam proces ankietowania staje się jedynie formalnością, a nie skutecznym narzędziem doskonalenia procesu dydaktycznego.

### Ocena zajęć czy prowadzącego?

Decyzja o tym, czy ankieta studencka powinna skupić się na ocenie samej formy zajęć, czy też na ocenie prowadzącego, stanowi istotne wyzwanie dla skutecznego wykorzystania tego narzędzia w doskonaleniu dydaktyki. Ocena zajęć ma swoje zalety, gdyż umożliwia studentom wyrażenie opinii na temat struktury, organizacji oraz ogólnej wartości merytorycznej przedmiotu. To podejście pozwala na identyfikację mocnych i słabych stron, co może skutkować konkretnymi działaniami doskonalącymi, takimi jak dostosowywanie treści programowych czy modyfikacja metod nauczania. Z drugiej strony ocena prowadzącego skupia się na osobie, która przekazuje wiedzę. Studenci w tym przypadku mogą oceniać kompetencje, sposób prowadzenia zajęć, zrozumiałość przekazywanych informacji oraz ogólną jakość nauczania. To podejście pozwala na skonkretyzowanie działań doskonalących na poziomie indywidualnym, zwracając uwagę na rozwijanie umiejętności pedagogicznych danego wykładowcy. Decydując się na jedno z podejść, warto jednak zdawać sobie sprawę z pewnych ograniczeń. Oceniając jedynie zajęcia, można nie dostrzec specyficznych umiejętności i cech charakterystycznych dla danego prowadzącego, które wpływają na efektywność procesu nauczania. Z kolei ocena prowadzącego może nie uwzględniać pewnych elementów strukturalnych zajęć, które również wpływają na jakość kształcenia. Ostateczny wybór między oceną zajęć a oceną prowadzącego zależy od celów instytucji edukacyjnej, preferencji studentów oraz stopnia, w jakim chce się uwzględnić obie perspektywy

w doskonaleniu procesu dydaktycznego. Optymalnym rozwiązaniem może być zastosowanie zrównoważonego podejścia, które uwzględni obie strony oceny, dostarczając kompleksowego obrazu skuteczności nauczania.

### Wpływ ankiety na doskonalenie programów kształcenia

Ankiety studenckie, mimo że są cennym narzędziem do oceny jakości kształcenia, niosą ze sobą pewne wyzwania i ograniczenia, które mogą wpłynąć na skuteczność doskonalenia procesu dydaktycznego. Zastosowanie wyników ankiet w doskonaleniu dydaktyki jest niezaprzeczalne. Informacje zebrane od studentów stanowią solidny fundament do identyfikacji obszarów wymagających korekty i wprowadzenia modyfikacji. Doskonalenie procesu nauczania może obejmować modyfikację programów nauczania, dostosowywanie metod do preferencji studentów oraz rozwijanie umiejętności pedagogicznych prowadzących. Jednakże wyzwaniem jest utrzymanie reprezentatywności wyników. Niska frekwencja w ankiecie może prowadzić do niepełnej reprezentatywności danych, gdy odpowiedzi pochodzą od ograniczonej liczby studentów, co może zniekształcić obraz grupy. Istnieje również ryzyko, że studenci z ekstremalnymi doświadczeniami (bardzo pozytywnymi lub negatywnymi) są bardziej skłonni do udziału w ankiecie, co może wprowadzić pewne zniekształcenia. Ocena zadowolenia z zajęć nie zawsze jest adekwatnym wskaźnikiem efektywności kształcenia. Studenci mogą być zadowoleni z atmosfery zajęć, ale to nie zawsze przekłada się na ich rzeczywiste umiejętności wyniesione z zajęć. Konieczne jest uwzględnienie zarówno aspektów związanych z satysfakcją, jak i oceną efektywności procesu nauczania. Wpływ ankiet na kształtowanie programów nauczania może być pozytywny, dostosowując treści do aktualnych potrzeb i oczekiwań studentów. Jednakże istnieje ryzyko, że zbyt silne skoncentrowanie się na bieżących trendach studentów może prowadzić do utraty pewnych elementów kluczowych dla danego kierunku studiów. Skuteczność doskonalenia dydaktyki wymaga holistycznego podejścia, dlatego istotne jest uzupełnianie wyników ankiet o inne metody ewaluacji. Hospitacja zajęć, czyli bezpośrednia obserwacja, stanowi cenne narzędzie w ocenie skuteczności nauczania. Integracja wyników z ankiet

i obserwacji zajęć pozwala uzyskać pełniejszy obraz jakości kształcenia, eliminując jednostronne podejście i zwiększając obiektywność oceny. Hospitacje umożliwiają także identyfikację praktyk pedagogicznych, które mogą wymagać doskonalenia, oraz dostarczają konstruktywnej informacji zwrotnej dla prowadzących zajęcia. Kombinacja różnych metod ewaluacji stanowi solidne fundamenty do podejmowania skutecznych działań doskonalących, skierowanych zarówno na aspekty



rys. Sławomir Mela

związane z zadowoleniem studentów, jak i na poprawę efektywności procesu nauczania. Ta kompleksowa analiza pozwala na skoncentrowanie wysiłków doskonalących na konkretnych obszarach, co może przekładać się na realne polepszenie procesu dydaktycznego.

### Ankieta studencka w SGGW w Warszawie

W marcu 2022 r. wprowadzony został ujednoczony wzór ankiety studenckiej dotyczącej oceny nauczycieli akademickich Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Wzór ten został załączony do Zarządzenia Nr 12 Rektora SGGW z dnia 8 marca 2022 r. w sprawie wprowadzenia wzoru ankiety studentów dotyczącej dokonania oceny nauczyciela akademickiego w zakresie wypełniania przez niego obowiązków związanych z kształceniem. Ankieta składa się z trzech głównych sekcji pytań, które pozwalają studentom wyrazić opinię w sposób zrozumiały i jednolity. Pytania dotyczą ogólnej oceny zajęć, stopnia zgody ze stwierdzeniami oraz pozostawienia komentarza dotyczącego osoby prowadzącej zajęcia. Zestawienie pytań ankietowych obejmuje:

1. Jak ogólnie oceniasz zajęcia? Oceń je posługując się skalą od 1 do 5, gdzie: 1 – bardzo źle, 2 – raczej źle, 3 – ani dobrze, ani źle, 4 – raczej dobrze, 5 – bardzo dobrze. /How do you assess the class level using the scale from 1 to 5: 1 – very bad, 2 – rather bad, 3 – neither good, nor bad, 4 – rather good, 5 – very good.

2. Oceń, na ile zgadzasz się z danym stwierdzeniem, posługując się skalą od 1 do 5, gdzie: 1 – zdecydowanie nie, 2 – raczej nie, 3 – ani tak, ani nie, 4 – raczej tak, 5 – zdecydowanie tak. /Do you agree with the following statements using the scale from 1 to 5: 1 – strongly disagree, 2 – rather disagree, 3 – neither agree, nor disagree, 4 – rather agree, 5 – strongly agree.

3. Twój komentarz pod adresem osoby prowadzącej zajęcia (poniższe uwagi anonimowo zostaną przekazane do dziekana oraz osoby prowadzącej zajęcia). Your remarks for the teacher/lecturer (they will be passed on to the dean and to the teacher anonymously).

### Większe zaangażowanie studentów

Nowa ankieta wprowadzona w SGGW przyniosła znaczące korzyści dla oceny jakości zajęć i pracy nauczycieli akademickich. Jej struktura oparta na trzech sekcjach umożliwiła studentom wyrażenie opinii dotyczących różnych aspektów nauczania. Pierwsza sekcja, oceniająca ogólny poziom zajęć, zapewnia klarowny system ocen od 1 do 5, ułatwiając standaryzację wyników. Obejmując zakres od „bardzo źle” do „bardzo dobrze”, ta skala pomaga w porównaniu wyników między różnymi przedmiotami i wykładowcami. Ankieta nastawiona jest na proaktywne pozyskiwanie informacji, zachęcając studentów do aktywnego wyrażenia opinii. Sekcje z pytaniami wymagającymi zgody lub niezgody oraz możliwością dodania komentarzy sprzyjają bardziej wszechstronnemu udziałowi w ocenie. Gwarancja anonimowości komentarzy pozwala studentom na swobodne dzielenie się spostrzeżeniami, co jest kluczowe dla uzyskania rzetelnych informacji o jakości nauczania. Dodatkowo zapewnienie, że informacje przekazywane do dziekana i prowadzących zajęcia pozostaną anonimowe, wzmacnia uczciwość i bezpieczeństwo uczestników. Zmiany w ankiecie miały na celu zwiększenie transparentności procesu oceny jakości kształcenia, jednocześnie umożliwiając szybką reakcję na potrzeby studentów. Wprowadzenie nowej ankiety przyniosło zauważalny wzrost liczby studentów biorących udział w badaniach jakości kształcenia. Dane statystyczne odzwierciedlają dynamiczny wzrost z 12 553 studentów, którzy uczestniczyli w poprzednim systemie ankietowym, do 21 571 obecnych respondentów. Ten znaczący wzrost może być interpretowany jako pozytywny sygnał świadczący o większym

zaangażowaniu społeczności studenckiej w proces oceny jakości kształcenia. Nowa ankieta skutecznie zachęca studentów do aktywnego uczestnictwa, co może być rezultatem ulepszeń w samym kwestionariuszu, bardziej dostosowanym do oczekiwań i preferencji studentów. Aby skutecznie zachęcić studentów do aktywnego uczestnictwa w wypełnianiu ankiet, można zastosować kilka strategii. Przede wszystkim warto podkreślić znaczenie ich opinii dla doskonalenia jakości kształcenia na uczelni. Zapewnienie anonimowości ocen pozwala studentom śmiało wyrażać swoje rzeczywiste opinie. Natomiast ułatwienie dostępu do ankiet poprzez platformy online, z regularnymi przypomnieniami i komunikatami przed zakończeniem terminu, sprawi, że proces wypełniania będzie bardziej dostępny i zintegrowany z ich codziennym rytmem studiów. Warto również wykorzystać wcześniejsze sukcesy wynikające z ankiet, pokazując, że opinie studentów mają realny wpływ na wprowadzane zmiany i ulepszenia. Personalizacja komunikatów oraz wsparcie ze strony przedstawicieli studentów mogą sprawić, że studenci zobaczą konkretne korzyści płynące z ich udziału w ankietach. Ostatecznie zapewnienie przejrzystości wyników ankiet i pokazanie, jakie konkretne zmiany zostały wprowadzone na podstawie wcześniejszych opinii, buduje zaufanie i zwiększa motywację do aktywnego uczestnictwa w procesie oceny jakości kształcenia.

Działania w zakresie jakości kształcenia na Wydziale Hodowli, Bioinżynierii i Ochrony Zwierząt są zgodne z aktualną Strategią Rozwoju Uczelni oraz wytycznymi Strategii Bolońskiej i opierają się na przepisach prawa, regulacjach wewnętrznych oraz rekomendacjach dotyczących jakości kształcenia zawartych w *Standardach i wskazówkach dotyczących jakości kształcenia w Europejskim Obszarze Szkolnictwa Wyższego ENQA* oraz innych wytycznych uznanych za dobre praktyki w globalnej przestrzeni edukacyjnej. Jakość kształcenia jest planowana, wdrażana, weryfikowana i doskonalona za pomocą Wewnętrznego Systemu Zapewniania i Doskonalenia Jakości Kształcenia. Badanie efektywności Systemów Zarządzania Jakością Kształcenia prowadzone jest przez dziekana wydziału. Natomiast za opracowanie narzędzi, gromadzenie opinii studentów i opracowanie wyników m.in. ankiet odpowiada koordynator dziekana ds. jakości kształcenia. Poprzez analizę ankiet studenckich typowane są osoby poddawane procesowi hospitacji, co stanowi formę bezpośredniej weryfikacji jakości procesu dydaktycznego. Hospitacja dostarcza konkretnych danych i obserwacji, które uzupełniają wyniki ankiet, przyczyniając się do skutecznego doskonalenia procesu nauczania. Zarówno wyniki ankiet, jak i hospitacje zajęć dydaktycznych wykorzystywane są do doskonalenia Systemów Zarządzania Jakością Kształcenia i zwiększania ich efektywności poprzez wdrażanie rekomendacji oraz podejmowanie działań usprawniających, korygujących i naprawczych opracowanych na podstawie ich wyników. Ankiety studenckie, mimo pewnych ograniczeń, stanowią istotne narzędzie w ocenie i doskonaleniu procesu dydaktycznego. Skuteczne ich wykorzystanie wymaga jednak zrozumienia ich roli, przemyślanych strategii motywacyjnych oraz konsekwentnego podejścia do analizy i implementacji uzyskanych wyników. Integracja ankiet z procesem hospitacji pozwala uzyskać kompleksowy obraz jakości nauczania i stanowi solidne fundamenty dla skutecznych działań doskonalących.

*Dr hab. Kamila Puppel, prof. SGGW,  
koordynator dziekana ds. jakości kształcenia*

*Dr inż. Jan Słószarz,  
prodziekan Wydział Hodowli, Bioinżynierii i Ochrony Zwierząt SGGW*

*Prof. dr hab. Justyna Więcek,  
dziekan Wydział Hodowli, Bioinżynierii i Ochrony Zwierząt SGGW*

# Jeszcze gotowi pomyśleć, że to my jesteśmy dla nich

Trudno uwierzyć, że uczelnie stosują narzędzia badania opinii studentów, które są bezwartościowe, a interpretując je, zapominają o elementarnych zasadach rygoru metodologicznego. Dlatego chyba problem nie leży w narzędziu, ale w wiarygodnym systemie, który z tego narzędzia może zrobić pożądany użytek.

Tytułowe słowa wygłosił aktor grający dziekana wydziału w słynnej polskiej komedii *Chłopaki nie płaczą*, wyrażając dezaprobatę dla zachowania pewnego studenta i niechęć do uwzględnienia szczególnych okoliczności, które tego studenta dotknęły. Te słowa powinny rozbrzmiewać donośnie przy każdej debacie na temat ankiet studenckich oceniających nauczycieli akademickich. Zaskakująco trafnie nazwano nasz zawód w rodzimych aktach prawnych, nie jesteśmy bowiem akademikami (to raczej domy studenckie), a początki uniwersytetów nie są związane z badaniami naukowymi, tylko ze społeczną potrzebą wyższej edukacji. Uczelnie spełniają tę ważną potrzebę społeczną, którą zgłaszają konkretni studenci. Dlatego krytycznie istotne znaczenie ma rozpoznanie tej potrzeby, kompetentne zarządzanie procesem jej zaspokajania, a w kolejnych krokach doskonalenie zarówno trafności rozpoznania potrzeby jak i jakości procesu kształcenia. Wydawać by się mogło, że to truizmy, tym bardziej intryguje głośna w ostatnich numerach „Forum Akademickiego” polemika odnośnie do ankiet studenckich.

W 1982 roku ukazała się niezwykle wpływowa książka W. Edwardsa Deminga zatytułowana *Out of the Crisis*. Zarówno rok wydania, tytuł, jak i osoba autora mają głębokie znaczenie. Otóż liberalna gospodarka USA przeżywała na początku dekady lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku głęboki kryzys, którego wyrazem były nie tylko dwucyfrowa inflacja i bezrobocie, ale także znaczne i ujemne saldo obrotów handlowych z Japonią. Dalekowschodnia konkurencja wypchnęła producentów samochodów, elektroniki i wielu innych wyrobów przemysłowych z kieszeni amerykańskich klientów, co kosztowało USA, według różnych szacunków, od 1 do 2 milionów miejsc pracy. Na ironię zakrawa fakt, że firmy z ojczysty marketingu okazały się znacznie gorsze w odczytywaniu potrzeb klientów i dostarczaniu im tego, czego potrzebują. W.E. Deming to w Japonii postać sławna, bowiem wprowadził w ramach powojennej odbudowy gospodarki metody statystycznej kontroli jakości, a dalej zarządzania jakością. Tak skutecznie, że japońska gospodarka osiągnęła wyżyny dominacji, a zarządzanie jakością stało się synonimem japoń-

skiego zarządzania. By odzyskać wiodącą rolę, menedżerowie amerykańskich firm musieli od nowa nauczyć się zarządzania, co uczynili m.in. dzięki książce *Out of the Crisis*, która rozbudziła zainteresowanie zarządzaniem jakością, znormalizowanymi systemami zarządzania czy nagrodami za doskonałość.

## W zgiełku ginie student

Analogia do konkurencyjności gospodarek, branż i przedsiębiorstw jest tylko z pozoru odległa. Edukacja stanowi ważny element każdego rozwiniętego społeczeństwa, a system szkolnictwa wyższego ma ogromny wpływ na gospodarkę. Niedawno ogłoszony raport rektorów polskich uczelni ekonomicznych wskazuje, że każda złotówka zainwestowana w naukę przynosi gospodarce aż 13 złotych. Dlatego instytucje szkolnictwa wyższego mają powody, by wiarygodnie odpowiadać na potrzeby społeczne, po to by przyciągać środki publiczne i prywatne. Powinny także mieć świadomość, że dla polskiego studenta otwarta jest oferta szkolnictwa wyższego całej Unii Europejskiej, a dla wielu studentów także najlepsze uczelnie świata. Mam świadomość krytycznych głosów wobec menedżeryzmu na uczelniach, czemu wyraz dałem we wcześniejszych artykułach publikowanych na łamach „Forum Akademickiego”. Ale mam też świadomość, że to nie jest zwykła debata o takim czy innym narzędziu, tylko fundamentalny problem relacji pomiędzy uczelnią, uczonymi a uczącymi się.

Trudno zrozumieć powody, dla których pojęcie klienta wywołuje tak pejoratywne skojarzenia w dyskusji o szkolnictwie wyższym. Jedni podnoszą krytyczne argumenty związane z klientelizmem, czyli bezmyślnym, krótkowzrocznym spełnianiem potrzeb czy nawet kaprysów klientów dla zapewnienia sobie pozycji społecznej i ekonomicznej. Inni protestują przeciwko pojęciu „klient”, ponieważ zrównuje ono szlachetną misję edukacji z przyziemną misją handlu wystandaryzowanym produktem. Dawałem wyraz temu stanowisku, piętnując krótkowzroczność makroedukacji nauki. Jeszcze inni przypisują, nie bez powodu zresztą, edukacji misję wyższą i szczególną, odzegnując się od codzienności transakcji zawieranych

między ludźmi. Łącznie poglądy te stwarzają dogodny sztyld opponentom menedżeryzmu w uczelniach, koncepcjom uniwersytetu przedsiębiorczego czy ewolucji szkolnictwa wyższego w ogóle.

W tym donośnym zgiełku krytyki jakoś ginie student. A przecież młodzi ludzie mają swoje oczekiwania, marzenia i dążenia, których realizacji szkolnictwo wyższe ma służyć. Rozwinięty sektor studiów podyplomowych i uczenia się przez całe życie trafia do jeszcze bardziej wymagających odbiorców. Takich, którzy nabyli doświadczenie, chcą zmieniać swoje życie i wierzą, że szkolnictwo wyższe jest w tym dążeniu instrumentalne. A także takich, którzy potrzebują potwierdzenia już nabytych kompetencji praktycznych. Potrzeb naszych studentów jest bardzo wiele, są różnorodne. Tak samo jak różnorodne są uczelnie – badawcze, praktyczne czy zawodowe. I nie ma innej możliwości, by się dowiedzieć, jakie są te potrzeby, niż zapytać samych zainteresowanych. Nawet eksperci, czy ci, którzy za takich chcą uchodzić, opierają swoje tezy na pytaniach zadanych zainteresowanym. Nie dostrzegam przestrzeni dla odmowy zainteresowanym, czyli studentom, głosu w najważniejszej dla nich decyzji. To dorośli ludzie, którzy czegoś poszukują. W tym właśnie miejscu znajduje się rozdroże, miejsce wyboru drogi, którą będą podążały instytucje szkolnictwa wyższego: albo pójdą drogą szacunku dla studenta, by lepiej spełniać swoją społeczną misję i będą poszukiwać odpowiedzi na pytanie o oczekiwania, albo pójdą w stronę samotni, przekonani o własnych racjach i braku potrzeby spełniania czyichkolwiek potrzeb.

### Nie narzędzie, lecz system

Jeśli fundamentalne pytanie znajdzie odpowiedź pierwszą, to otwiera się pole do dyskusji technicznej o tym, jak pytać, o co pytać, kiedy pytać, a także jak dalek interpretować odpowiedzi. Z dotychczasowej debaty wyłania się obraz krytyczny, pełen

wątpliwości odnośnie do obciążeń odpowiedzi związanych z osobą prowadzących, ich wymaganiami, momentem przeprowadzania ankiet, ze wskaźnikiem odpowiedzi itd. Nieświadczy czytelnik mógłby dojść do przekonania, że to zupełnie bezprecedensowy wysiłek ankietyzacji, że nie ma żadnych praktyk, wzorców, wiedzy ani metod badania opinii. Ale czytelnicy „Forum Akademickiego” wiedzą przecie, że narzędzia badawcze należy walidować, wiedzą, jak to czynić, potrafią odróżnić deklaracje od zachowań, a zachowania od wyników. Trudno zatem uwierzyć, że wszystkie uczelnie stosują narzędzia badania opinii studentów, które są bezwartościowe, a interpretując je, zapominają o elementarnych zasadach rygoru metodologicznego. Dlatego chyba problem nie leży w narzędziu, ale w wiarygodnym systemie, który z tego narzędzia może zrobić pożądaną użytek.

I znów warto sięgnąć do doświadczeń innych organizacji, które przed tym samym dylematem stanęły. Otóż w organizacjach przemysłowych pracownicy zwykle są od siebie współzależni, co oznacza wpływ jednych pracowników na efekty uzyskiwane przez innych, a także na komfort ich pracy czy ogólny klimat organizacyjny. Transakcja rynkowa kupna-sprzedaży pomiędzy pracownikami nie zachodzi, a zatem nie ma mowy o ekonomicznych podstawach wymiany ani o kategorii klienta. Wobec tego wprowadzono pojęcie klienta wewnętrznego, dające powody do wzajemnego szacunku po pierwsze dlatego, że to klient, a po drugie dlatego, że wewnętrzny klient jest nam bliższy niż zewnętrzny. Przede wszystkim jednak, skoro w organizacji pojawiło się pojęcie klienta wewnętrznego, to potrzebne jest monitorowanie poziomu satysfakcji, który osiąga, zgodności otrzymanych produktów z oczekiwaniami, a także stabilności tej zgodności w czasie. Nie chodzi więc o proste kategoryzowanie członków organizacji do takiej lub innej „szufladki”, ale o skutki dla sposobu zarządzania relacją zachodzącą pomiędzy nimi.

Poszczególne argumenty krytyczne odnośnie do ankiet studenckich, fragmentaryczne, ale interesujące, rzucają światło na to, co wymaga troski i doskonalenia. Słowem kluczem jest tu bowiem doskonalenie, wprowadzone do praktyki przedsiębiorstw produkcyjnych przez W.E. Deminga właśnie. Długotrwały, systematyczny, uporczywy proces doskonalenia doprowadził japońskie firmy do bardzo wysokiego poziomu jakości, nieosiągalnego dla nikogo, kto takiego procesu nie prowadził. Kluczem do doskonalenia jest systematyczność wprowadzania zmian na podstawie stwierdzonych odchylenia od stanów poświadczonych. Każde słowo tej tezy ma istotne znaczenie.



## Ideal staje się ciężarem

Ankiety studenckie stają się fasadowym artefaktem wszędzie tam, gdzie podejmowane na ich podstawie działania nie służą doskonaleniu kształcenia. Warto więc rozważyć użyteczność tego narzędzia. A nie jest nią selekcja pracowników ani plebiscyt na najlepszego prowadzącego. Do takich celów służą inne narzędzia, stosowane zresztą w rozbudowanych konfiguracjach. Ocena ankietowa nie jest też narzędziem oceny sposobu realizacji przedmiotu, które prowadzi do jakiegoś rankingu popularności. Powinna natomiast przyczyniać się do doskonalenia procesu kształcenia. W rezultacie większą wartość poznawczą ma wariancja ocen niż wykazywane gdzieś tam maksymalne noty. Pozwala bowiem identyfikować to, co w ocenie klienta jest niedoskonałe, a to przecież warunek podjęcia działań korygujących. Ponadto jednorazowa diagnoza jest znacznie bardziej wrażliwa na czynniki zniekształcające niż regularne powtarzanie. Chodzi więc o stosowanie regularne, w długim okresie, po to by doskonalic proces kształcenia nawet małymi, ale za to częstymi krokami.

Odchylenie stwierdzić można jedynie względem ustalonego wzorca. Temu zadaniu nie służy sama ankieta, ale szerszy system monitorowania oczekiwań studentów, kandydatów, rynku pracy, pracowników naukowych i innych interesariuszy. Punkt odniesienia, niezbędny do interpretacji ankiet, warto formalnie ustalić, a także monitorować. Często słyszy się bowiem o tym, że potrzebna jest doskonałość w procesie kształcenia, ale gdy już taki doskonały prowadzący się pojawi, to się okazuje, że zarówno oczekiwania względem studentów, pracodawcy oraz wydziału są niemożliwe do spełnienia. Ani studenci na najwyższy poziom nauki nie są gotowi, ani pracodawca nie jest gotów na najwyższy poziom wynagrodzenia, ani wydział na najlepsze możliwe warunki prowadzenia dydaktyki. Tymczasem chodzi o dopasowanie, a nie powierzchownie i lekko zgłaszane postulaty doskonałości. Ideal staje się ciężarem nie dlatego, że jest nieosiągalny, ale wręcz przeciwnie: dlatego że jest osiągalny, bo gdy zostanie osiągnięty, to się okazuje, że nie tego oczekiwał klient. Otwiera się zatem droga do monitorowania segmentacji oczekiwań klientów, a także otwarcia na innych klientów niż tylko sam student. A wyrazem poprawnej segmentacji są wyraźne różnice pomiędzy segmentami rynku, a także wyraźne wyróżniki każdego z nich. Mam świadomość, że język marketingu może razić niektórych czytelników ze względu na skojarzenia z komercjalizacją i komodytyzacją edukacji wyższej. Jednak ten aparat językowy dobrze opisuje różnice pomiędzy oczekiwaniami studentów, dobrze opisuje różnorodność oferty edukacyjnej kierowanej do nich przez uczelnie, a także zawiera w sobie zobowiązanie spełniania ich potrzeb. Oferta edukacji praktycznej adresowana jest do konkretnych odbiorców, a oferta edukacji uniwersyteckiej do innych. Miejsce ankiet w tych decyzjach to identyfikacja potrzeb, monitoring ich spełnienia, a dalej wysiłek w kierunku doskonalenia tego spełnienia. Oznacza to zatem, że ankietę trzeba opracować dla prawidłowo zidentyfikowanego segmentu studentów.

## Niezrozumienie roli niedoskonałości

Gdy stan pożądaný jest określony, nie ma przeszkód, by prowadzić systematyczny monitoring odchyleń od tego stanu. Warto się zastanowić, dlaczego uważamy, zarówno jako oceniający, oceniani, przełożeni odpowiedzialni za kierunek kształcenia czy nawet jako audytorzy, że ocena niższa niż doskonała wyraża jakiś problem. Przecież to ocena niższa niż doskonała pozwala spełnić ankiecie rolę doskonalenia. Wydaje się, że splatają się tu dwa odrębne zjawiska: (braku) zaufania oraz (nie) zrozumienia. Gdy spodziewamy się negatywnych konsekwencji np. w postaci obniżenia prestiżu, skutków materialnych w postaci obowiązkowego skierowania na szkolenia, obniże-

nia wynagrodzenia albo nawet utraty pracy, wówczas ocena studencka jest źródłem stresu. Tymczasem to zadaniem władz jednostki (wydziału, instytutu czy katedry) jest zbudowanie zaufania do oceny studenckiej. Służyć temu mogą takie rozwiązania jak procedury oceny komisyjnej, procedury odwoławcze czy korzystanie z dodatkowych źródeł danych prócz samej oceny studenckiej. Budowaniu zaufania służyć może również kultura organizacji zorientowana na doskonalenie, oparta na takich uniwersalnych wartościach akademickich jak dążenie do prawdy czy szacunek dla każdego członka społeczności. Wreszcie, budowaniu zaufania służy postawa samego kierownictwa, bowiem filarem zarządzania jakością jest odpowiedzialność najwyższego kierownictwa. Przykład płynie z samej góry, a dopiero po pewnym czasie przenika całą organizację. A powinien dotrzeć także do studentów, by i oni chętniej wypełniali ankiety. Na skłonność do wypełniania ankiet wpływa zarówno kultura wzajemnego szacunku, dążenie do doskonalenia, jak i poczucie sprawczości. Właśnie przez przytamt braku zaufania do ankiet studenckich odczytuję krytykę tego narzędzia. Niedoskonałość w warunkach zaufania jest wyzwaniem, które mobilizuje do poprawy, natomiast ta sama niedoskonałość w warunkach nieufności postrzegana jest jako problem i wstęp do poszukiwania winnych, by spotkała ich kara.

Drugim zjawiskiem wpływającym na niechęć do ankiet studenckich jest niezrozumienie roli niedoskonałości w zarządzaniu procesem kształcenia. Jeśli doskonałość jest przymiotem boskim, to trudno oczekiwać doskonałości w organizacjach. Niedoskonałość rozumiana jako odchylenie od wzorca ma przecież swoje identyfikowalne źródła. W zarządzaniu jakością stwierdzenie występowania odchyleń to pierwszy krok. Następnie stosowane są narzędzia służące określeniu przyczyn odchyleń. Niektóre przyczyny mają bowiem charakter incydentalny, pojawiają się samoistnie, a potem równie nieprzewidywalnie znikają. Ale inne przyczyny noszą znamiona błędów systematycznych. Powszechnie znany w zarządzaniu jakością tzw. diagram rybich ości nakazuje poszukiwać przyczyn odchyleń w pięciu obszarach: ludziach, metodach pracy, wyposażeniu technicznym, materiałach i zarządzaniu. Splot tych pięciu grup przyczyn pozwala wyjaśnić odpowiedzialnie i kompletnie, dlaczego pojawiły się odchylenia od wzorca. A to otwiera drogę do doskonalenia procesu, przejawiającą się zmniejszaniem tych odchyleń poprzez usuwanie systematycznie występujących przyczyn odchyleń. To elementarz statystycznej kontroli procesów w organizacjach gospodarczych. Warto z niego korzystać, bowiem okazał się skuteczny.

Spojrzenie na ankiety studenckie z perspektywy zarządzania uświadamia, że organizacje mogą być postrzegane jako miejsce fasadowych rytuałów, w którym ocena studencka ma istotną wartość symboliczną, ale nie ma żadnej wartości treściowej. Organizacje mogą też być postrzegane jako miejsce opresyjne, wręcz toksyczne. Wówczas ankiety studenckie stają się narzędziami przemocy instytucjonalnej wobec pracowników naukowych. Ale organizacje mogą także być miejscem postrzeganym pozytywnie, funkcjonującym sprawnie, dającym poczucie dumy z przynależności. Budowanie klimatu organizacyjnego jest ważnym zadaniem kierownictwa, podobnie jak budowanie kultury organizacji. Te same narzędzia zarządzania będą lub nie będą spełniały przypisywanej im roli, w zależności od sposobu, w jaki postrzegamy nasze organizacje. Nie w narzędziu tkwi zatem problem, ale w kulturze organizacji, dalej w systemie zarządzania, a na obydwie kluczowy wpływ ma kierownictwo.

*Prof. dr hab. Wojciech Czakon, dr h.c.,  
kierownik Katedry Zarządzania Strategicznego,  
Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie*

# OPI stawia na sztuczną inteligencję

Sztuczna inteligencja to już nie przyszłość, ale teraźniejszość. Także w Polsce wiele branż z sukcesem wykorzystuje ją w swojej działalności. Biorąc pod uwagę plany polskiego rządu, aspirujemy do tego, aby w zakresie sztucznej inteligencji Polska weszła do wąskiej grupy 20–25 państw budujących AI na świecie. Ośrodek Przetwarzania Informacji (OPI) jako jeden z liderów rozwoju AI w Polsce podejmuje innowacyjne inicjatywy, które wspierają nie tylko rozwój polskiej nauki, ale i całej branży IT.

## Innowacyjne technologie dla rozwoju medycyny

W OPI utworzono Centrum Innowacji dla Medycyny Cyfrowej (CIMC). Nowe centrum ma przede wszystkim wspierać integrację zespołów badawczych, a tym samym wzmacniać rozwój opieki zdrowotnej w Polsce za pomocą innowacyjnych technologii cyfrowych. Będzie ono łączyć środowisko naukowe i medyczne oraz aktywnie przyczyniać się do transformacji cyfrowej w kraju.

– Misja Centrum Innowacji dla Medycyny Cyfrowej to wsparcie polskich zespołów badawczych, a jego wizja związana jest z pracą nad transformacją cyfrową w Polsce i poprawą opieki zdrowotnej dla wszystkich mieszkańców kraju. Właśnie stąd zrodziła się idea powstania naszego centrum – mówi dr inż. Piotr Sobecki, kierownik Centrum Innowacji dla Medycyny Cyfrowej. – Warto podkreślić, że w centrum stawiamy na współpracę polskich zespołów badawczych, dlatego zachęcamy wszystkich naukowców zajmujących się daną dziedziną do dołączenia do Partnerstwa dla Innowacji Technologicznych w Ochronie Zdrowia – podkreśla kierownik centrum.

Przyłączając się do tej inicjatywy, zespoły badawcze nie tylko otrzymają wsparcie na płaszczyznach związanych z rozwojem interdyscyplinarnej współpracy, ale także zyskają okazję do rozszerzenia sieci kontaktów poprzez budowanie relacji z kluczowymi instytucjami i przedsiębiorstwami technologicznymi. Korzystają przy tym z kompetencji ekspertów CIMC, którzy specjalizują się w zastosowaniu sztucznej inteligencji w medycynie.

## Polskie neuronowe modele języka od AI Lab

Medycyna to nie jedyna branża, w której OPI widzi olbrzymi potencjał do wdrożenia rozwiązań opartych na sztucznej inteligencji. W instytucie niedawno powstało również nowoczesne laboratorium – AI Lab.

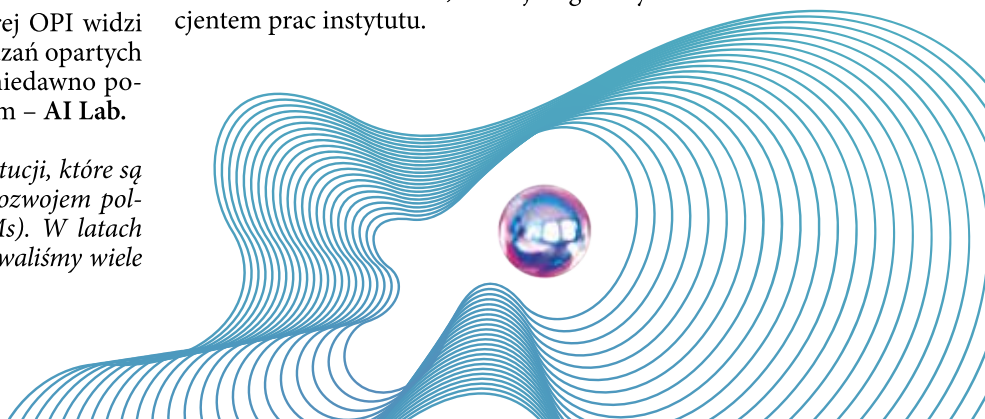
– OPI jest jedną z niewielu polskich instytucji, które są bardzo zaangażowane w badania nad rozwojem polskich neuronowych modeli języka (NLMs). W latach 2020–2023 w naszym instytucie opublikowaliśmy wiele

modeli opartych na sieciach neuronowych typu Transformer, takich jak m.in. Polish RoBERTa, Bart i GPT-2, które są dedykowane językowi polskiemu. Warto podkreślić, że Polish RoBERTa jest wg rankingu KLEJ najlepszym modelem reprezentacyjnym dla naszego języka – mówi dr inż. Marek Kozłowski, kierownik AI Lab w OPI. – Nasze modele udostępniamy za darmo na stronie internetowej OPI. Dodatkowo w listopadzie 2023 roku opracowaliśmy też najlepsze obecnie neuronowe modele wyszukiwania informacji dedykowane dla języka polskiego (wg PIRB benchmark) oraz dodatkowo najlepsze neuronowe enkodery polskich tekstów ogólnego przeznaczenia (wg MTEB benchmark) – dodaje doktor M. Kozłowski.

Warto podkreślić, że chociaż AI Lab istnieje zaledwie kilka miesięcy został już członkiem ważnego konsorcjum, które pracuje nad modelem PLLuM – polskim odpowiednikiem modeli GPT4 stojących za sukcesem ChatGPT. Nowa jednostka OPI współpracuje także z Centrum Informatycznym TASK i Politechniką Gdańską, w celu badania i opracowywania nowoczesnych neuronowych modeli języka i ich zastosowań (w tym nowatorskich modeli wyszukiwania informacji, ogólnego zastosowania enkoderów, a także dużych, polskich generatywnych modeli językowych).

Dodatkowo eksperci AI Lab przygotowali m.in. innowacyjne systemy oparte na sztucznej inteligencji dla UOKiK i Vive Textile Recycling.

Podsumowując, Ośrodek Przetwarzania Informacji nie porzeka na ostatnich sukcesach. Wciąż nawiązuje nowe partnerstwa i zdobywa klientów z różnych branż. OPI oczywiście zaprasza do współpracy także środowisko akademickie, które jest głównym beneficjentem prac instytutu.



# Jak się w nauce administruje?

Potrzebna jest siła urzędnicza, która potrafi np. samodzielnie wykonać przegląd literatury, nakreślić harmonogram projektu badawczego, policzyć koszty projektu, wykonać korektę tekstu naukowego, sporządzić skorowidz do książki, prowadzić ze zrozumieniem terminarz spraw, zaprotokołować główne punkty przebiegu fachowej dyskusji i posiedzeń rad naukowych itp. Może warto rozważyć utworzenie zawodu wykwalifikowanego specjalisty administratora nauki?

Nasuwa się nieodparcie wnioski, że obciążanie naukowców, a więc pracowników o kwalifikacjach tak trudno i tak dużym kosztem społecznym zdobywanych, czynnościami administracyjnymi jest czymś wołającym o kryminał, czymś, za co zlecający takie zadania powinien być dyscyplinarnie usunięty ze stanowiska za niegospodarność!

W systemie nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce można wyróżnić kilka rodzajów administracji (stosując definicje projektujące): ministerialną, dziekańską, dyrekcyjną, zakładową, pracownianą.

Administracja ministerialna obejmuje nie tylko ministerstwa, ale wszelkie organy rządowe zawiadujące instytucjami naukowymi, a także te, od których instytucje naukowe zależą w pewnym stopniu lub które pełnią rolę ich petentów. W relacjach między tą administracją a światem nauki można zauważyć brak równorzędności. Mówiąc o tym, mam na myśli sytuację, w której administracja nakłada na instytucje naukowe różnorodne obowiązki, nie zobowiązując się jednocześnie do niczego w stosunku do nich. Na temat tej relacji napisano już wiele, choćby na łamach „Forum Akademickiego”, toteż pozwolę sobie pominąć ten wątek.

Administracja dziekańska obejmuje agendy urzędnicze przy kierowniku podstawowej jednostki organizacyjnej, tj. dziekanie. Można by wysunąć wątpliwość, kogo ta administracja ma obsługiwać: administrację ministerialną, dyrekcję instytutów i zakładów czy pracowników naukowych?

Administracja dyrekcyjna i zakładowa obejmuje urzędników w poszczególnych instytutach i zakładach instytutu.

Administracja pracowniana i laboratoryjna obejmuje... Nie, taka nie istnieje realnie, jedynie nominalnie. W pracowniach naukowych i laboratoriach nie ma żadnego personelu administracyjnego. Naukowców nikt nie obsługuje, aby im się w głowach nie przewracało.

Sprawa stosunków między administracją i nauką stoi u nas na głowie. Olbrzymia obsada urzędnicza przy dziekanie, niewielka w instytutach i zakładach. Żadnej w pracowniach i laboratoriach naukowych.

Koszty, godziny, efekty, punkty, sloty, protokoły, sprawozdania itp. – sytuacja, zdawałoby się, jasna. Tę administracyjną robotę wykonują pracownicy administracyjni. Ale czy tylko oni? Nie tylko, ponieważ w regulaminach pracy uczelni można spotkać zapis mówiący o tym, że czynności administracyjne nie mogą przekraczać np. 20 proc. całego czasu pracy nauczyciela akademickiego w grupie pracowników dydaktycznych i 10 proc. całego czasu pracy nauczyciela akademickiego w grupie pracowników badawczo-dydaktycznych. A jak wyglądała rzeczywistość? Ano, to tylko zapis, rzeczywistość pozostaje bez zmian, czynności administracyjnych nie ubywa, tylko nadwyżkę ponad owe 10 albo 20 proc. dopisuje się do czasu użytego na prace naukowe i dydaktyczne. Bo przecież naukowcom czas przecieka przez palce. Nieuczciwość? Z czyjej strony? Naukowcy nie wymyślili sobie przecież sami tej zmyry, jaką dla nich są wszelkie czynności administracyjne.

Czy urzędnicy wędrują do naukowców i zbierają potrzebne im informacje? Skądże znowu! Najpierw pojawia się formularz, dalej instrukcja jak wypełniać poszczególne rubryki i oczywiście pismo okólne podpisane przez dziekana nakazujące „w terminie do dnia...”, i wszystko to razem rozsyłane jest po instytutach i zakładach instytutu, ewentualnie pracowniach i laboratoriach. Dalej funkcyjni pracownicy rozsyłają to do podwładnych, tworząc pozory realizacji funkcji kierowniczych i jednocześnie niepotrzebnie wydłużając tor sterowniczy.

## Jestem zajęty badaniami i dydaktyką

Otrzymałszy ten elaborat, naukowiec musi rzucić w kąć wykonywane właśnie badania albo zajęcia dydaktyczne i zabrać się do jego lektury, potem skopiować wzór formularza, wynotować istotne zdania z instrukcji, zebrać dane, sprawdzić ich poprawność i wysłać, ale to jeszcze nie koniec. Po tygodniu naukowiec otrzymuje formularz z powrotem jako źle wypełniony. I jeszcze raz to samo!

Problem polega na tym, że urzędnik, pierwotnie przeznaczony do wykonywania zadań administracyjnych w celu odciążenia naukowców (łac. administrare – być pomocnym, obsługi-

wać, zarządzać, ministrare – służyć), sam staje się tym, który je na nich nakłada. Wydaje polecenia i zadaniuje zgodnie z własnymi wytycznymi i solipsystycznym „widzimi się”, odrzucając wszelkie działania niezgodne z nimi (nieważne, czy są sensowne, czy nie). W efekcie pełni rolę przełożonego, posiadającego priorytetowe uprawnienia, ponieważ zadania administracyjne zawsze mają ściśle określony termin wykonania („na wczoraj”), poparty ważnym podpisem. Niemożliwe jest, aby naukowiec mógł odpowiedzieć: „Nie mam czasu, jestem zajęty badaniami i dydaktyką”.

Czy można spotkać się z sytuacją, gdy urzędnik z administracji przyszedł do pracowni naukowej, aby coś załatwić dla naukowców? Urzędnik „urzęduje” za swoim biurkiem i „przyjmuje” interesantów. Naukowcy to interesanci, a raczej petenci przemierzający biurokratyczne szlaki i odmęty nastrojów, dzwoniący, korespondujący, poszukujący odpowiedzi, przypominający o istotnych kwestiach do załatwienia, angażujący, sprawiający kłopoty, gdy potrzebują czegoś. Praca urzędnika mogłaby być znacznie łatwiejsza, gdyby nie było naukowców.

...formularz jest źle wypełniony.  
I jeszcze raz to samooo!



Rys. Sławomir Makal

Czy można się spotkać z sytuacją, żeby dziekan skierował jakiegokolwiek urzędnika do pomocy przeciążonym naukowcom, choćby do zrobienia poprawek korektorskich w tekście? Natomiast do reguły należą sytuacje odwrotne. Urzędnicy nie mogą zdążyć z rozliczeniem grantu albo działalnością promocyjną? Nie ma zmartwienia, są przecież pracownicy na dole administracyjnego łańcucha pokarmowego, już leci okólnik dziekana: „Skierować pracownika do... na okres...” itd. Naukowcy to przecież rezerwy pracownicze dla administracji.

Należy zauważyć, że wśród urzędników można znaleźć osoby autentycznie zaangażowane, sumienne, sprawne i skuteczne. To jednak dotyczy jedynie tych, którzy posiadają rzeczywiście wysokie kwalifikacje urzędnicze i zamiłowanie do wykonywanej pracy. Niestety ta zaangażowana postawa ma swoje konsekwencje – ci urzędnicy są nieustannie zagonieni, ponieważ tylko oni zdolni są do podejmowania działań, co sprawia, że cały ciężar pracy spoczywa na ich barkach.

Lakonicznie opisana doktryna administrowania w nauce wynika z nieporozumienia polegającego na dążeniu do stosowania poleceń administracyjnych tam, gdzie nie mogą one wchodzić w grę. Wydawanie poleceń jest sensowne wtedy i tylko wtedy, gdy są one wykonalne, a rozkazodawca potrafi wskazać sposób ich wykonania. Dzięki temu będzie mógł również skontrolować wykonanie rozkazu. Na przykład prawnik może żądać od asystenta prawidłowego przygotowania dokumentów, gdyż potrafi zweryfikować ich zgodność z obowiązującymi normami i przepisami. Kucharz może nakazać pomocnikowi odpowiednie przygotowanie potrawy, gdyż zna specyfikę dania i wie, jakie kroki są konieczne do uzyskania oczekiwanego smaku. Architekt może wymagać od rysownika precyzyjnego przedstawienia projektu, ponieważ posiada umiejętność oceny zgodności z założeniami estetycznymi i funkcjonalnymi. Jednakże podobne postępowanie nie jest możliwe w nauce z samej jej istoty. Nie można nakazać wykrycia nieznanego nikomu faktu, właściwości lub związków, ponieważ nie można wskazać, jak to zrobić, a nawet nie wiadomo, czy one istnieją.

### Przyczyny tkwią w nieufności

Problemy związane z nieprzewidywalnością badań naukowych przypisywano brakowi skutecznego nadzoru nad działalnością jednostek naukowych oraz pracującymi tam naukowcami. W odpowiedzi na to przekonanie wprowadza się coraz bardziej rygorystyczną kontrolę. Kontrola jednak kosztuje. Okólniki, instrukcje, zestawienia, protokoły, sprawozdania itp. tworzą istną rzekę dokumentów, których odbieranie, czytanie, opracowywanie, powielanie, przechowywanie i wydawanie wymaga legionu pracowników administracyjnych (jawnych i ukrytych, na pełnych etatach administracyjnych i nauczycieli akademickich na zasadzie dodatkowych obowiązków). Nie ma nic dziwnego w tym, że dziekan otacza się rozbudowaną administracją. Na niższych szczeblach, na poziomie poszczególnych instytutów i zakładów, administracja jest już bardziej skondensowana, a w pracowniach naukowych i laboratoriach zazwyczaj nie istnieje administracja, gdyż naukowcy samodzielnie zajmują się przygotowaniem wszelkich dokumentacji i wykazów. Przecież każdy może zrobić takie wykazy! Szach, mat i koniec, naukowcom daje się do zrobienia to, co może zrobić ktokolwiek.

Przyczyny takiej kultury organizacji tkwią w nieufności do zdrowego rozsądku naukowców, w lęku, że przy osłabieniu kontroli efektywność badań naukowych i dydaktyki w jednostkach naukowych, dotychczas bynajmniej nie za duża, zmalałaby jeszcze bardziej. Przyczynia się do tego również brak należytego zrozumienia źródeł obecnego stanu. Albowiem można sprawdzić stan gotówki w kasie, ilość chleba i masła w sklepie albo

czy nie brakuje amunicji w składzie broni. Jednakże nie da się skontrolować myśli w ludzkim mózgu i narzucić na siłę odpowiedniego sposobu myślenia (motywacji poznawczych). W tym przypadku nie ma skutecznych środków kontroli ani regulacji, które zlikwidują konieczność właściwego doboru kadrowego, zaufania do naukowca i jego zdrowego rozsądku. Bez zaufania nie istnieje solidna podstawa dla systemu szkolnictwa wyższego i nauki.

Skutkiem psychologicznym natomiast jest przyuczanie naukowców do robienia tylko tego, co jest nakazane, a potem egzekwowanie, osłabianie poczucia odpowiedzialności, skoro to, co nakazane, dzieje się na odpowiedzialność nakazujących, i tłumienie inicjatywy, jako że zdolny do niej jest człowiek czujący się jak „lokomotywa” wyposażona we własny silnik, a nie jak ciągnięty wagon. Gdy wzrasta kontrola, maleje samokontrola. Wartościowy naukowiec to naukowiec samodzielny (o tym mówi również art. 187 ust. 1 ustawy z dnia 20 lipca 2023 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce), a wyrabianiu samodzielności sprzyja zwiększanie swobody decyzji, a nie jej zmniejszanie.

### Zawód administratora nauki?

Nie można się zatem dziwić, że działalność naukowa staje się w takich warunkach organizacyjnych sprawą marginesową. To naukowcy zajmują się obowiązkami administracyjnymi, zamiast być w odwrotnej roli. Czy w takiej sytuacji można oczekiwać od nich „wielkiego przełomu”, napływu nowych idei i innowacyjnych koncepcji, czy nawet zaangażowania w walkę o postęp? Czy naprawdę można się spodziewać, że w takiej atmosferze staną się pionierami w rewolucji naukowej i motorem rozwoju technicznego? To tak, jak gdyby żądać rekordów szybkości od biegaczy w ołowianych butach albo wymagać od słonia ruchów baletnicy.

W organizacji nauki konieczne jest rozwiązanie sprawy personelu administracyjnego pełniącego rolę pomocniczą dla pracowników naukowych. Potrzebna jest siła urzędnicza, która potrafi np. samodzielnie wykonać przegląd literatury, nakreślić harmonogram projektu badawczego, policzyć koszty projektu, wykonać korektę tekstu naukowego, sporządzić skorowidz do książki, prowadzić ze zrozumieniem terminarz spraw, zaprojektować główne punkty przebiegu fachowej dyskusji i posiadać rad naukowych itp. Może warto rozważyć utworzenie zawodu wykwalifikowanego specjalisty administratora nauki?

Prawdopodobnie w trybie ekspresowym będzie można usłyszeć koronny argument: „Nie możemy sobie na to pozwolić, nie stać nas na to”. Na co? Na organizację efektywnej pracy? Czy może lepiej pozostawić wszystkie te zadania samym naukowcom? Czas naukowca jest cenny z dwóch powodów. Po pierwsze, poniesione koszty społeczne związane z jego edukacją są znacznie wyższe niż w przypadku innych zawodów. Po drugie, zajmowanie czasu naukowca zajęciami jałowymi, które odciągają go od badań naukowych, prowadzi do utraty korzyści, jakie te badania mogłyby przynieść społeczeństwu. Samo to już wystarcza jako argument za tym, aby naukowiec miał pomocników do wykonywania zadań jałowych, zamiast zajmować się nimi samodzielnie.

Tekst opracowałem na podstawie pracy Mariana Mazura pt. *Historia naturalna polskiego naukowca*, Warszawa 1970 r. oraz własnej obserwacji uczestniczącej i eksperymentów uczestniczących.

Parte proxima res continuetur.

Dr Paweł Kawalerski, Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie, sekretarz Rady Dyscypliny Naukowej „Nauki o Bezpieczeństwie” WAT

Marek Wroński

# Polowanie na nieistniejącego plagiatora

Trudno mi zarzucić, że bronię plagiatorów na łamach mojego cyklu „Z archiwum nieuczciwości naukowej”, zatem jeśli zabieram głos „w obronie plagiatora”, to z tego powodu, że w tym przypadku uważam taki zarzut za niesprawiedliwy i bezpodstawny.

Na polskim blogu „Science Watch” 9 września br. ukazał się artykuł jego założycielki, dr Joanny Gruby, zatytułowany *Czy prof. Bogusław Śliwerski spadnie z drabiny akademickiej?* Poinformowano w nim, że 18 lipca 2023 r. Sąd Okręgowy w Warszawie wydał wyrok z powództwa dr. Józefa Wieczorka z Krakowa, założyciela pisanego od lat blogu „Niezależne Forum Akademickie”. Ukaranym był prof. Bogusław Śliwerski, znany pedagog, wieloletni członek Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów, a obecnie Rady Doskonałości Naukowej. Napisano, że został on sędziem ukarany za plagiat rysunku dr. Józefa Wieczorka. Podkreślono, że osoby ukarane za naruszenie własności intelektualnej nie mogą być członkami RDN.

O sprawie powiadomił 19 lipca 2023 r. (już następnego dnia po wyroku) sam poszkodowany – 74-letni emerytowany doktor geologii Józef Wieczorek. Na swoim blogu podał we wpisie zatytułowanym *Doskonały profesor [prof. dr hab. dr h.c. multi] Bogusław Śliwerski przegrywa sprawę o zabór mojej własności intelektualnej*. Co więcej, na jego stronie „Blog akademickiego nonkonformisty – Józefa Wieczorka” przytoczono audiowizualny zapis (jest na YouTube) ponad godzinnej rozprawy oraz sentencję wyroku.

W wyroku (nieprawomocnym) sąd zobowiązał Bogusława Śliwerskiego: po pierwsze, „do zamieszczenia w terminie 7 (siedmiu) dni od dnia uprawomocnienia się niniejszego wyroku, na prowadzonym przez pozwanego blogu PEDAGOG (pod adresem <https://sliwerski-pedagog.blogspot.com/>) przez okres 10 (dziesięciu) następujących po sobie dni przeprosin, w postaci nowego wpisu, o treści ujętej poniżej, przy użyciu czcionki Georgia 14 pkt »Prof. Bogusław Śliwerski przeprasza dr. Józefa Wieczorka za wykorzystanie bez jego zgody rysunku o nazwie *Dr(h) ab. ina akademicka* bez podania autorstwa, umieszczonego po raz pierwszy przez Józefa Wieczorka na swoim blogu <https://blogjw.wordpress.com/2009/01/15/drh-ab-ina-akademicka/>, to jest za naruszenie autorskiego prawa osobistego do oznaczania utworu swoim nazwiskiem, które to wykorzystanie nastąpiło przez umieszczenie przez Bogusława Śliwerskiego rysunku na swoim blogu pod adresem [https://sliwerski-pedagog.blogspot.com/2021\\_01\\_03\\_archive.html](https://sliwerski-pedagog.blogspot.com/2021_01_03_archive.html)«. Po drugie: „zasądza od B. Śli-

werskiego na rzecz J. Wieczorka kwotę 1.000 zł (tysiąca złotych) tytułem zadośćuczynienia pieniężnego za doznaną krzywdę z powodu naruszenia autorskiego prawa osobistego”. Po trzecie: „oddala powództwo w pozostałym zakresie”. Po czwarte: „zasądza od B. Śliwerskiego na rzecz J. Wieczorka kwotę 1.600 zł (tysiąca sześciuset złotych) tytułem zwrotu kosztów procesu, znosząc je między stronami w pozostałym zakresie”.

## Kroki sądowe

Sam pozew został początkowo złożony 5 maja 2021 r. w Sądzie Rejonowym w Krakowie i po perturbacjach przeniesiono go do jedyne w Polsce, nowo powstałego wtedy XXII Wydziału Własności Intelektualnej Sądu Okręgowego w Warszawie, którego przewodniczącym jest obecnie sędzia Krzysztof Kurosz.

Trzeba dodać, że w pozwie dr Wieczorek zażądał także „zasądzenie od Pozwanego na rzecz Powoda kwoty 20.000 zł tytułem zadośćuczynienia za doznaną krzywdę związaną z nieuprawnionym wykorzystaniem przez Pozwanego rysunku jako dzieła twórczości artystycznej należnego do Powoda, przy czym kwota ta ma zostać przeznaczona na cel społeczny – wydanie kolejnego tomu *Plag akademickich* w ramach walki – *pro publico bono* – Powoda z patologiami akademickimi”. Żądano też „upoważnienia Powoda do opublikowania przez niego na łamach tygodnika „Gazeta Polska” 3-krotnie (cotygodniowo) oraz miesięcznika „Kurier WNET” 3-krotnie (comiesięcznie) na koszt Pozwanego przeprosin w przypadku, gdyby nie wykonał on tego obliwu (tj. wydrukowania na swoim blogu – MW) w określonych w pkt. 1 terminach” oraz pokrycia kosztów procesu.

W odpowiedzi na pozew prof. Śliwerski wniósł o oddalenie powództwa w całości, alternatywnie w razie nieuwzględnienia tego wniosku o oddalenie powództwa w pkt. 2 i 3 petitum oraz o zasądzenie od powoda na rzecz pozwanego kosztów zastępstwa procesowego według norm przypisanych. W uzasadnieniu wskazał, że przedmiotowy rysunek pobrał z portalu społecznościowego Facebook, na którym to portalu nie wskazano jego autora ani pochodzenia. Wskazał również, że skorzystał z rysunku w granicach prawa cytatu, jak również że docho-

dzone roszczenie z pkt. 1) zostało sformułowane nieprawidłowo, zawiera błędy ortograficzne [poprawiamy je, nie będziemy upowszechniać błędów – red.] oraz nie określono precyzyjnie miejsca publikacji żadanego oświadczenia. Podkreślił również, że pozew jest reakcją na skrytykowanie przez pozwanego książki powoda *Plagi akademickie*.

Odsłuchałem i obejrzałem relację z rozprawy (gorąco polecam wszystkim zainteresowanym czytelnikom), którą sfilmowano za zgodą sądu. Muszę dodać, że sędzia Krzysztof Kurosz na samym początku rozprawy poinformował, że jest adiunktem na Wydziale Prawa UŁ, ale obwinionego nie zna i o nim nie sły-

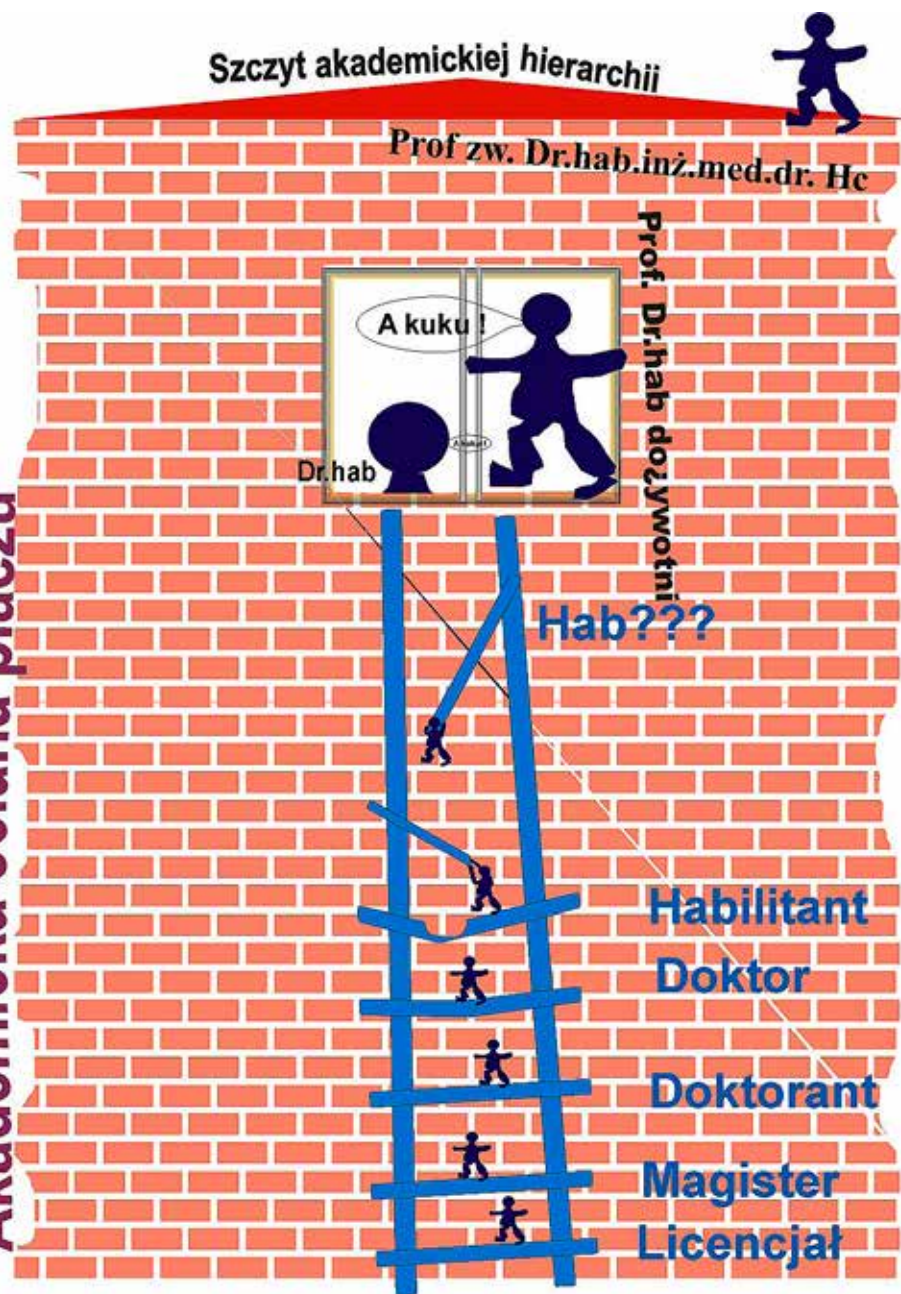
szął. Zapytał, czy zostanie złożony wniosek o jego wyłączenie, ale takiego nie było... Drugą ciekawą sprawą jest fakt, że dr Wieczorek nigdy nie zwrócił się bezpośrednio do prof. Śliwerskiego z zarzutem braku oznaczenia grafiki jego nazwiskiem. Trzecią, że na rozprawie nie zjawił się pozwany prof. Śliwerski (był na dawno planowanym urlopie). Reprezentował go pełnomocnik.

### Sygnaly pozasądowe

Więć o „plagiacie Śliwerskiego” szybko do mnie dotarła i poprosiłem obu znanych mi osobiście naukowców o dokumenty sprawy, które niezwłocznie mi przesłali. Jak się też dowiedziałem, dr Joanna Gruba wysłała listy o podobnej treści z informacją o wyroku do siedmiu rektorów tych uczelni, które formalnie popierały kandydaturę B. Śliwerskiego do własnie wybieranej we wrześniu br. RDN drugiej kadencji. Ktoś także, już na początku sierpnia, poprosił rektora Uniwersytetu Łódzkiego, prof. Elżbietę Żądzińską, o wydanie polecenia wszczęcia dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego wobec pracującego na UŁ profesora, co ta wykonała 9 sierpnia. Nie było jeszcze wtedy uzasadnienia wyroku.

Dowiedziałem się także, że dr Joanna Gruba powiadomiła o sprawie RDN, wnioskując o usunięcie prof. Śliwerskiego ze składu Rady z powodu wyroku Sądu Okręgowego w Warszawie zapadłego wobec tego „plagiatora”. O ile wiem, RDN zwróciła się do SO o informację i odpis wyroku, wyjaśniając, że jest on potrzebny do działań ustawowych. W odpowiedzi sędzia Krzysztof Kurosz, który prowadził sprawę, poinformował RDN (poprzez wydanie zarządzenia 28 września 2023 r.), że wyrok jest nieprawomocny i nie upłynął termin do złożenia apelacji. Jednocześnie m.in. stwierdził: „Przepis art. 115 ust. 1 u.p.a.p.p. dotyczy jedynie przywłaszczenia autorstwa (plagiat) albo wprowadzenia w błąd co do autorstwa (np. sytuacje posługiwania się pracami napisanymi przez kogoś innego za jego zgodą – tzw. Ghostwriting). Nie obejmuje natomiast przypadków innych naruszeń autorskich praw osobistych, w tym naruszenia prawa do oznaczenia utworu swym nazwiskiem lub pseudonimem (poprzez wykorzystanie np. cudzej grafiki bez zezwolenia autora i w konsekwencji nieoznaczenia utworu nazwiskiem twórcy). Nie każdy akt eksploatacji utworu bez zgody twórcy jest równoznaczny z przywłaszczeniem autorstwa lub wprowadzeniem w błąd co do autorstwa.

Jak wynika z uzasadnienia wyroku, Sąd wyraźnie odmówił



## Dr(h)ab.ina akademicka

Grafika wykonana przez dr. Józefa Wieczorka do tekstu na jego blogu. Wykorzystana przez prof. Bogusława Śliwerskiego na jego blogu do tekstu krytycznego wobec jej autora, stała się powodem sporu sądowego, który opisujemy.

JW

uznania zachowania pozwanego za plagiat. Nie stwierdził też przywłaszczenia autorstwa. Nie doszło zatem do naruszenia prawa do autorstwa utworu od strony negatywnej. Doszło jednak do naruszenia prawa osobistego twórcy do oznaczenia utworu swoim nazwiskiem lub pseudonimem. Tego typu sytuacja, pomijając już fakt, że w niniejszej sprawie orzekł sąd w sprawie cywilnej, a nie karnej, a wyrok nie jest prawomocny, nie odpowiada znamionom z art. 115 ust. 1 u.p.a.p.p.”.

Oznacza to, że obwiniony profesor nie popełnił żadnego plagiatu sensu stricto, a jedynie użył nie swojego rysunku (znalezionego w internecie) do ilustracji swojego tekstu bez wyraźnego oznaczenia autorstwa tej grafiki. Naruszało to prawo do oznaczenia dzieła swoim nazwiskiem oraz ewentualnie autorskie prawa majątkowe Józefa Wieczorka. Sędzia wskazał też, że tylko wyrok karny może być podstawą do usunięcia członka RDN z jej składu.

Jak napisałem ostatnio w komentarzu na blogu czasopisma „Lege Artis”, gdzie przypadek ten jest diskutowany: „Niewątpliwie poprzez umieszczenie czyjegoś rysunku bez jasnego oznaczenia, że to rysunek dr. Józefa Wieczorka, prof. Śliwerski dopuścił się zaniedbania. Można było go przywołać do porządku jednym e-mailem i wtedy usunąłby albo podpisał rysunek. Tego dr. Wieczorek nie zrobił. Sądzę, że gdyby prof. Śliwerski wiedział, że ten dowcipny rysunek jest pióra J. Wieczorka, to by go pewnie nie umieścił... To pokazuje pole wzajemnej niechęci! Tak więc moim zdaniem trudno zarzucać mu plagiat, bo go nie było!”. Dodam jeszcze, że parę lat wcześniej prof. Śliwerski krytycznie się wypowiadał o „pretensjach i żalach” dr. Wieczorka do Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którego ten ostatni został zwolniony w 1987 r., zaś już w demokratycznej Polsce odmówiono mu powrotu na uczelnię. Wypowiadał też krytyczne uwagi o działalności dr. Joanny Gruby, której habilitacja w dziedzinie nauk pedagogicznych (logopedia) dwukrotnie nie przebiła się przez „mur niechęci” różnych recenzentów i kilku rad wydziałów. Zapoznałem się w swoim czasie ze wszystkimi dokumentami i recenzjami i na tej podstawie uważam, że dr. Gruba ma prawo czuć się skrzywdzoną nie zawsze obiektywną oceną powoływanych recenzentów/recenzentek. Ale tak to jest przy wszelkich ocenach, jakim jesteśmy poddawani w życiu, nie zawsze są sprawiedliwe...

Bogusław Śliwerski został wybrany na członka RDN drugiej kadencji znaczną liczbą głosów, mimo „trąbienia” w Internecie jaki to z niego „plagiator”, który powinien wreszcie spaść z „drabiny awansowej”.

Na początku października br. mecenas Michał Klimaszewski, reprezentujący pozwanego profesora, wniósł apelację od obecnego wyroku. Czytałem ją i sądzę, że argumenty są celne, jednak wyroków sądów i pogody nie przewidzisz, stąd o sądowym finale powiadomimy po fakcie.

Rzecznik dyscyplinarny ds. nauczycieli akademickich UŁ, dr hab. Robert Kulski, 8 listopada br. wszczął postępowanie wyjaśniające wobec B. Śliwerskiego. Dowiedziałem się też, że dr. Wieczorek złożył doniesienie o „plagiacie Śliwerskiego” do prokuratury krakowskiej. O dalszym rozwoju sytuacji będę informować.

## Komentarz

Osobiście uważam, iż zarzut, że Śliwerski „splagiatował rysunek” dr. Wieczorka, jest niewłaściwy, profesor nie podpisał rysunku swoim nazwiskiem ani skrótem „BŚ”. Widnieje tam natomiast skrót „JW”. Jasno o tym napisano w uzasadnieniu do wyroku Sądu Okręgowego. Sądzę, że prof. Śliwerskiemu rysunek po prostu się spodobał, dlatego zilustrował nim swój tekst. Jednak z powodu braku staranności i lekkiego potraktowania sprawy autorstwa nie sprawdził i nie dociekał, kto jest jego auto-

rem. Podobna sprawa ostatnio miała miejsce 3 listopada br. wieczorem w telewizyjnych „Wiadomościach”, których prezenterka i redaktorka naczelna, red. Danuta Holecka, musiała przeczytać formalne przeprosiny wobec fotografa Bartosza Sadowskiego. Wykonana przez niego fotografia niezjącego dr. Jana Kulczyka posłużyła „Wiadomościom” jako kilkunastosekundowa ilustracja do krótkiej informacji czytanej przez spikerkę w dwóch wydaniach dziennika telewizyjnego w dniach 21 i 22 lutego 2020 r. Telewizja nie podała, kto jest autorem zdjęcia ani nie zapytała fotografa, czy może go użyć, w dodatku pejoratywnie w stosunku do J. Kulczyka. Proces trwał kilka lat i w marcu 2023 r. Sąd Okręgowy uznał prawomocnie, że TVP naruszyła jego autorskie prawa osobiste. Przyznano mu odszkodowanie i prawo do formalnych przeprosin na wizji, co w końcu się stało. Ale nikt nie utrzymywał, że TVP popełniła plagiat.

„Skromność” dr. Wieczorka też ma tutaj znaczenie, gdyż ten nie podpisuje też nad rysunkami pełnym nazwiskiem, a jedynie inicjałami „JW”. Nie rozumiem, dlaczego nie zaprotestował bezpośrednio w stosunku do Śliwerskiego: „To mój rysunek. Podpisz Pan albo z bloga zrzuci!”.

Przy niewątpliwiej winie „Pedagoga” braku staranności w oznaczeniu autorstwa wykorzystanej ilustracji wytykanie go palcami jako „plagiatora” jest przekroczeniem granic nie tylko kultury akademickiej, ale zapewne i prawnej jako naruszenie dóbr osobistych. Plagiatorów w Polsce nie brakuje i niech będą publicznie piętnowani, ale na pewno nie zalicza się do nich prof. Bogusław Śliwerski. Przesadził Pan, doktorze Wieczorek!

## Toruńskie plagiaty

Opisana przed dziewięćmioma miesiącami bulwersująca środowisko archeologów i historyków sprawa splagiatowania artykułu z 1975 r. prof. Macieja Salamona, wybitnego emerytowanego profesora UJ, przez adiunkta Instytutu Archeologii Wydziału Nauk Historycznych UMK, dr. Jacka Rakoczego do dzisiaj nie została przez władze rektorskie UMK załatwiona. Szczegóły podałem w dwóch artykułach: *Plagiatowe wykopalisko w Toruniu* (FA 4/2023) oraz *Plagiatowe dopowiedzenia* (FA 6/2023).

Powołany przez rektora Andrzeja Sokalę rzecznik dyscyplinarny, dr hab. Paweł Nowicki, prof. UMK, postępowanie wyjaśniające wszczął 23 marca 2023 r. Dysponował już wtedy najważniejszymi dokumentami (konkordancją zapożyczeń i opinią biegłego), które już w końcu lutego br. przesłałem rektorowi. Mimo tego do końca listopada 2023 r. nie przesłuchał żadnego ze świadków poza samym sprawcą. Co więcej, na początku lipca br. formalnie zawiesił na trzy miesiące postępowanie wyjaśniające, motywując to... wakacjami. Kodeks postępowania karnego, na podstawie którego jest prowadzone postępowanie dyscyplinarne, nie pozwala na „wakacje”, co wie każdy prawnik karnista. W związku z „wakacjami” termin zakończenia tego postępowania prof. Nowacki przesunął z 24 września na 24 grudnia 2023 r.

Dr Jacek Rakoczy jest adiunktem w Katedrze Starożytności i Wczesnego Średniowiecza Instytutu Archeologii UMK, którym kieruje prof. Wojciech Chudziak, równocześnie szef tej katedry. Jednak w instytucie o sprawie plagiatów się nie mówiło, a publicznie obwiniony o plagiaty adiunkt i prodziekan prowadzi normalne zajęcia ze studentami. To nie jest korzystny wpływ na młodych ludzi. W czasie posiedzenia Rady Dyscypliny Archeologia w dniu 9 maja 2023 dr Rakoczy stwierdził, że dotąd nie otrzymał żadnych zarzutów, zaś treści przedstawione w publikacji miesięcznika „Forum Akademickie” w jego opinii „są zmanipulowane i nie będzie się do nich odnosił, szanując nasze regulaminy”. Podkreślił, że plagiat jest przestępstwem, ale dotąd nikt prokuratury nie zawiadomił. Nie będzie dekla-

rował, czy jest winny, czy niewinny, bo „od tego są powołane inne organy”. Podkreślił, że sprawa dotyczy kwestii warsztatowych, a nie naruszenia praw autorskich. Zwrócił się do zebranych o poszanowanie zasady domniemania niewinności. Prof. Krystyna Sułkowska-Tuszyńska zaapelowała do niego o jak najszybsze dojście do prawdy, co dr Rakoczy skomentował, że „będzie się starał”.

Na przekazaną mu 10 października emailem prośbę o wyjaśnienie, gdzie w moim artykule jest „manipulacja”, o której mówił na Radzie Dyscypliny, nie doczekałem się odpowiedzi.

Natomiast we wrześniu br. zapytałem dr. hab. Jacka Gackowskiego, prof. UMK, redaktora naczelnego toruńskiego rocznika AUNC „Archeologia”, czy podjął kroki retrakcyjne wobec kolejnego nierzetelnego artykułu J. Rakoczego, o którym wspominałem w czerwcowym artykule *Plagiatowe dopowiedzenia*. Otrzymałem pisemną odpowiedź, że nie zrobi niczego bez polecenia prof. Chudziaka, dyrektora Instytutu Archeologii. Tak wygląda u nas samodzielność naukowa, a już zwłaszcza „samodzielna i niezależna” rola redaktora naczelnego czasopisma naukowego uniwersytetu badawczego.

Dopiero po mojej pełnej oburzenia odpowiedzi, wysłanej do wiadomości kierownictwa UMK, prof. Gackowski napisał w październiku br. do mgr. Artura Kurpiewskiego, byłego doktoranta UMK, z prośbą o potwierdzenie zarzutów autoplgiatu i plagiatu z jego publikacji o wykopaliskach w Perkwie. Ten potwierdził owe zarzuty, zatem nic już nie stało na przeszkodzie, aby ukazała się retrakcja, którą redakcja tak opóźniła. 22 listopada br. prof. Jacek Gackowski powiadomił mnie, że jego decyzją jako redaktora naczelnego artykuł został unieważniony.

### Kolejne retrakcje

Tymczasem 9 października br. Łódzkie Towarzystwo Naukowe jako wydawca rocznika „Acta Archaeologica Lodzensis” unieważniło drugi już artykuł Jacka Rakoczego wydrukowany w tym periodyku. Wcześniej zwróciłem się do prof. Antoniego Różalskiego, prezesa ŁTN, o retrakcję artykułu pt. *Monety brązowe w rzymskich prowincjach nad dolnym Dunajem w połowie III wieku*, AAL, 2015, tom 61, str. 49-61. W artykule przynajmniej 5 stron (50 do 54) jest plagiatem treści z książki rumuńskiego profesora archeologii, dr. Cristiana Gazdaca, wydanej po angielsku w roku 2010 r. pod tytułem *Monetary circulation in Dacia and the provinces from the Middle and Lower Danube from Trajan and Constantine I (AD 106-337)*. Wydawcą jest Mega Publishing House, Cluj-Napoca, Rumunia.

Na początku października 2023 r. poprosiłem dr. Antoniego Grabowskiego, adiunkta w Instytucie Historii PAN w Warszawie, o opinię na temat zapożyczeń w artykule J. Rakoczego, o którego retrakcję wystąpiłem. To on wykrył ten plagiat wiosną br. Pisząc opinię, dr Grabowski odkrył, że jego wcześniejsze, przedwakacyjne ustalenia w sprawie tego artykułu są niedokładne. Niewątpliwym faktem jest to, że artykuł jest „upakowany” tłumaczeniami z angielskiego tekstu dr. Cristiana Gazdaca. Grabowski początkowo odkrył, że znaczna część polskiego tekstu jest przejęta z książki wydanej w 2010 w Rumunii. Porównanie obydwu tekstów wykazało, że ten polski miał fragmenty bez zapożyczeń, a próba wypełnienia „niesplagiatowanych dziur” okazała się bezowocna. Jednak podczas pisania opinii pod koniec października br. Grabowski niespodziewanie znalazł „pierworodne źródło” natchnienia naukowego J. Rakoczego. Okazała się nim książka *Roman coins outside the Empire* wydana w 2008 roku przez belgijskie wydawnictwo numizmatyczne Moneta in Wetteren. Są to materiały z konferencji zorganizowanej we wrześniu 2005 r. w Nieborowie przez wybitnego profesora archeologii starożytnej rzymsko-greckiej i numizmatyka Aleksandra Bur-

schę'a z Uniwersytetu Warszawskiego, obecnego kierownika Katedry Numizmatyki i Muzealnictwa. Znajduje się tam rozdział *Aspects of coin circulation in Roman Dacia* (strony 269-294) autorstwa dr. Cristiana Gazdaca. Okazało się, że prawie cały tekst artykułu J. Rakoczego to dokładne tłumaczenie – zdaniem – tego tekstu. Plagiat pokazujemy na koncordancji wykonanej przez dr. A. Grabowskiego, którą razem z jego opinią przytaczamy w formie PDF-a pod tym artykułem na stronie internetowej „Forum Akademickiego”. Sama retrakcja została uzupełniona o „Addendum”, gdzie powyższą informację dodano.

Kolejną nierzetelną publikacją dr. Rakoczego, co wiosną br. także odkrył J. Grabowski, był artykuł *Monetary series PRO-VINCIA DACIA in the Roman coinage* opublikowany w roczniku „Studia Historica Gedanensia” Vol. IX (2018), str. 15-25. W połowie października br. zwróciłem się o jego retrakcję do prof. Tadeusza Stegnera, historyka z Uniwersytetu Gdańskiego i redaktora naczelnego czasopisma. Po dwóch tygodniach, 28 października 2023 r., zostałem poinformowany, że redakcja podjęła decyzję o retrakcji z powodu obszernych zapożyczeń z angielskich portali numizmatyczno-historycznych. Konkordancja wykonana przez dr. A. Grabowskiego jest przedstawiona pod artykułem na portalu FA.

Tymczasem pod koniec października br. dziekan Wydziału Nauk Historycznych UMK prof. Stanisław Roszak ponownie wystąpił do rektora Andrzeja Sokali o odwołanie J. Rakoczego ze stanowiska prodziekana ds. nauki, które ten zajmował od marca br. jako „zawieszony”. Tym razem rektor nie oponował i z dniem 1 listopada dr Rakoczy został odwołany. Jednocześnie sam zrezygnował z bycia członkiem Rady Dyscypliny Archeologia.

Rektor polecił też dziekanowi dokonanie oceny śródrokresowej dr. Rakoczego. Powołana siedmioosobowa komisja, z udziałem dziekana i dyrektora Instytutu Archeologii UMK, 5 grudnia 2023 r. negatywnie oceniła dotychczasową działalność adiunkta J. Rakoczego. Aczkolwiek organizacyjnie oceniono go na „5” (wysoka ocena), zaś dydaktycznie na „4” (ponadprzeciętnie), to jednak jego działalność badawcza wypadła na „1” (niska – negatywna). Adiunkt przedstawił do oceny jeden artykuł, który w 2023 r. okazał się plagiatem. Ponieważ kilka artykułów z poprzedniej oceny także było plagiatami, a w swoich badaniach naukowiec „wykazał brak należytej staranności, brak profesjonalizmu, brak sumienności”, co stanowi nieuczciwość badawczą, a jego badania „wpływają negatywnie na wizerunek Uniwersytetu”, ocena całościowa jest negatywna. Zwróciłem uwagę na to, że komisja w swej opinii ani razu nie użyła słowa „plagiat” na nierzetelne prace, z których cztery zostały formalnie retraktowane z powodu naruszenia praw autorskich innych osób.

Z końcem grudnia br. dr hab. Paweł Nowicki, rzecznik dyscyplinarny UMK, powinien wreszcie po 9 miesiącach „leniwego” procedowania złożyć wniosek dyscyplinarny o ukaranie nierzetelnego naukowca. Czekam z zapartym tchem, jak to się potoczy, gdyż pięć plagiatów, w tym rozdział w prestiżowym niemieckim wydawnictwie grupy Brill, którego UMK praktycznie nie chce retraktować, to poważna sprawa. Patronuje temu ostatniemu prof. Andrzej Radziwiński, historyk i prezes Toruńskiego Towarzystwa Naukowego, który współredagował pechowy tom i dawno powinien zareagować. Ale przecież nie będzie kocioł garnkowi przyganiał, kiedy sam smoli...

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego. Zajmuje się patologią nauki od 25 lat.

Grzegorz Filip

# Polonistyka, czyli kim jesteśmy?

## Kilka myśli, co nienowe

Odpowiedź na pytanie co robić jest taka: starać się pisać ciekawe, atrakcyjne, syntetyczne książki i to jest niezależne od tego, co się dzieje na uniwersytetach. Zadaniem humanisty jest pisanie listów do świata, zamykanie ich w butelce i wrzucanie do oceanu.

W ramach Festiwalu Rymkiewiczowskiego „Dziady, upiory, przodkowie” jego organizatorzy zaprosili 9 listopada 2023 do warszawskiego Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza na debatę „Po co nam polonistyka?”. „Zapytamy o to – pisano na plakacie – dlaczego i po co zajmujemy się polonistyką – jak uprawia się ją dziś, a jak uprawiali ją wielcy zmarli badacze polskości – a także o to, kim jest i kim być powinien nauczyciel języka polskiego”. W dyskusji udział wzięli: Krzysztof Koehler, Wawrzyniec Rymkiewicz, Andrzej Waśko i Mateusz Werner.

Spróbuję przytoczyć te opinie i myśli dyskutantów, które mnie pociągnęły, uderzyły, zaskoczyły bądź po prostu uznałem je za warte upowszechnienia. Czasem cytuję, częściej jednak parafrazuję wypowiedzi, skracając je i destylując to, co było dla mnie ważne. A zaczęło się od ostrej reakcji prof. Andrzeja Waśki na plakatowe pytanie o sens istnienia polonistyki.

**A. Waśko:** Nikt nie pyta, po co jest historia sztuki, muzea, wystawy albo odnowa zabytków. Często natomiast pojawiają się pytania, po co nam literatura. Pewne elementy dziedzictwa narodowego uznaje się za wartość, która powinna być konserwowana i rewaloryzowana, na podstawie oczywistości, z którą nikt nie dyskutuje. Ale nie dotyczy to dziedzictwa literackiego. To pokazuje, jak została przeorana świadomość polskiej inteligencji w ciągu ostatnich 50 lat, jaki dystans czy rodzaj podejrzliwości wypracowano w naszych umysłach w stosunku do tej części dziedzictwa narodowego, która jest najbogatsza i najświetniejsza. Polonistyka musi uzasadnić swoje istnienie w kontekście społecznym, chociaż inne dyscypliny nie muszą, a także w obiegu wewnętrznym, w ramach dyskusji o jej kształcie, która się toczy od końca lat 90. Toczy się wewnętrzny spór pomiędzy partią przebudowy polonistyki, ufundowaną na formule humanistyki, która wychodzi z wielkiego sukcesu a potem rozczarowania do teorii literatury, i starą szkołą filologiczno-historyczno-edytorską.

Tu krakowski historyk literatury odwołał się do prezentacji nowego wydania krytycznego *Dziadów*, która miała miejsce tuż przed dyskusją. Edycję opracował KUL-owski badacz prof. Wojciech Kruszewski, przedstawiciel owej starej szkoły filologicznej.

Redaktor naczelny „Twórczości” Mateusz Werner był jednak za tym, żeby się skonfrontować z pytaniem, po co jest polonistyka, bo żyjemy w czasach praktycznych, kiedy takich pytań się nie pomija. Szukał przy tym powodów zagubienia wszelkich filologii, znajdując je w globalizacji.

**M. Werner:** Są dwie polonistyki, jedną zobaczyliśmy przed chwilą w prezentacji prof. Kruszewskiego, ona nie zastanawia się nad tym, po co jest. Jej istnienie emanowało z tej sceny przed chwilą, było oczywistością, której nie sposób odeprzeć. I jest druga polonistyka, która się zagubiła, jest w konfuzji, przeżywa frustrację, zwątpiła w siebie, próbuje odszukać pewność, którą miała do 1989 roku. Studiowałem na polonistyce w okresie przełomu, byłem beneficjentem z jednej strony tej siły istnienia, którą czerpała jeszcze z czasów PRL-u, z drugiej strony korzystałem z wolności słowa, braku cenzury, swobody rozmowy.

Ta druga polonistyka, oficjalna, uniwersytecka, która ustala kanon, listy lektur, przygotowuje pytania na egzamin, jest zagubiona z dwóch powodów. Z powodu lokalnego: w 1989 roku Polacy uwierzyli na swoją zgubę, że są już wolni, w związku z tym pytania Mochnackiego, jakiej literatury Polacy potrzebują, jaką postawę powinien przyjąć pisarz, aby zaakceptowała go wspólnota, wydawały się nieaktualne. To przekonanie najlepiej sformułowała Maria Janion w tekście o końcu paradygmatu romantycznego. Ale jest także drugi powód zagubienia, pozalokalny. Globalizacja spowodowała na całym świecie utratę ważności filologii jako miejsca, w którym skupia się refleksja nad tożsamością kulturą daną zbiorowością na rzecz antropologii kulturowej, która wygryzała na uniwersytecie filologię. W Polsce te dwa procesy nałożyły się na siebie.

## Zawód historyka literatury

Kto wie, czy nie mocniej, choć w łagodnych słowach, sformułował przyczyny podziału polonistyki prof. Krzysztof Koehler, historyk literatury staropolskiej z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

**K. Koehler:** Być może konkursy grantowe nie dowartościowały badań typowo polonistycznych tylko te idące w kierunku antropologicznym. Dlaczego to robimy? Żyjemy w okresie, kiedy tożsamość wspólnotowa, narodowa stała się z powodu atmosfery czasów, w których żyjemy, przestrzenią podejrzaną, dlatego zajmowanie się literaturą polską było skazane albo na podążanie ścieżką badaczy owadzich nóg (będziemy przygotowywać kolejne edycje i wchodzić coraz głębiej w szczegóły, ale będziemy nieśli ten dawny sposób myślenia o funkcjach i znaczeniu historyków literatury), albo na tych, którzy mówiąc brutalnie wyczuli koniunkturę i też być może z własnych przyczyn ideowych przenosili się na poziom badania kwestii mało literackich a bardziej antropologiczno-kulturowych. Dlatego przeżyliśmy tak wiele zwrotów, to dowód na bezradność kierunku, który myśli o tym, żeby jak najmniej mówić o literaturze, szukać bezpieczniejszych formuł uprawiania zawodu.

Zawód historyka literatury jest w odwrocie, nie uczy się historii w szkołach tak jak kiedyś jej uczono, literatura jest ukazywana poza kontekstem historycznym, w związku z tym zajmowanie się historią literatury jest dzisiaj może nie samobójstwem, ale ścieżką wiodącą do niszy.

\*

Tu, przysłuchując się debacie, pomyślałem sobie, że być może warto by bronić niektórych literaturoznawczych zwrotów. Wtedy mianowicie, gdy przychodzi nam badać przejawy kultury popularnej, takie jak na przykład komiks, murale. No ale mam świadomość, że to jednak margines, a główny korpus tekstów współczesnych daje się badać wypracowanymi przez literaturoznawstwo metodami, bez historycznego poszukiwania zwrotów.

Gdy mówimy o polonistyce, która zajmuje się literaturą polską, nasuwa się w naturalny sposób perspektywa narodowa. Próbował ją w dyskusji poszerzać Mateusz Werner, mówiąc o innych filologiach i ich zagubieniu, natomiast prof. Wawrzyniec Rymkiewicz, filozof kultury z Uniwersytetu Warszawskiego, zaproponował perspektywę społeczną.

**W. Rymkiewicz:** Argumentacja Marii Janion z lat 90. wyglądała tak, że literatura polska była zaangażowana narodowo, patriotycznie. Teraz Rosjanie sobie poszli, Niemcy są przyjaciółmi, sprawa narodowa jest *passé*. Czytając Trentowskiego, dostrzegamy, że filozofia polska lat 40. XIX wieku jest ideologią inteligentką. Libelt, który kontynuuje Trentowskiego, wymyśla słowo inteligent. Wszyscy oni, także Cieszkowski, są przekonani, że naród jest czymś do zrobienia, trzeba go stworzyć, ma być wspólnotą wolnych ludzi, przy czym konstrukcja narodu zakłada emancypację społeczną. Polonistyka, poza funkcją narodową, miała zawsze wyraźną funkcję społeczną. Chodziło o to, żeby człowiek wykształcony na uniwersytecie pojechał na wieś, nauczył dzieci dobrze mówić po polsku, bo wtedy staną się nie tylko Polakami i obywatelami, staną się wolnymi ludźmi. Projekt inteligentki był inkluzywny, inteligentem mogło zostać zarówno dziecko szlacheckie jak i chłopskie. Po 1989 roku widzimy proces zanikania, marginalizacji inteligencji. Powstaje szereg zawodów nieinteligentkich, menedżer, specjalista od reklamy. Z drugiej strony Polacy są społeczeństwem awansu, ale mamy do czynienia z awansem bez paradygmatu inteligentkiego. Obserwujemy cofanie się polonistyki, która była, mówiąc po marksistowsku, ideologią i formacją edukacyjną pewnego projektu społecznego.

## Ale przecież istnieje zainteresowanie...

I znów mocno zaprotestował Andrzej Waśko, podając przykład umasowienia inicjatywy czytelniczej.

**A. Waśko:** Nic się nie cofa, nie jest tak, że ta pieśń straciła swoją moc nad ludźmi. To nie jest prawda, że rezultatem procesów globalizacyjnych, cywilizacyjnych, związanych np. z kryzysem czytelnictwa, jest cofanie się naszej narodowej filologii. Od 2014 r. Kancelaria Prezydenta organizuje Narodowe Czytanie. W 2014 roku 91 placówek wzięło w nim udział, w tym roku do czytania *Nad Niemnem* zgłosiło się ponad 6 tys. podmiotów. Przez kilkadziesiąt lat tak próbowano uzasadniać obcinanie list lektur, że żyjemy w XXI wieku, świat idzie do przodu, w związku z czym nie powinniśmy czytać *Dziadów* czy *Nad Niemnem*. Czy nasze społeczeństwo jest inteligentkie, czy nie, to zawsze się znajdzie kilkanaście procent osób zainteresowanych, które żywią takie potrzeby intelektualne, mają potrzebę słuchania tej pieśni i nie mają nic przeciwko temu, żeby ktoś ją



zanuścił. I to jest szansa, której polonistyka uniwersytecka nie wykorzystuje. Bo otoczenie społeczne wcale o niczym nie przesądziło. Być może działają takie mechanizmy, że dziewczyna, która z małego ośrodka przyjeżdża do Krakowa studiować filologię polską, widzi, że dobrze jest studiować jakiś modny zwrot, bo będzie uwodzicielska, jeśli stanie się ekokrytykiem albo zajmie się geopoetyką czy performatyką. To są proste mechanizmy, trzeba myśleć, jak je odwracać. Cała ta antropologia nie jest zresztą bezprzedmiotowa, pytanie tylko, jaką metodą podchodzimy. Opracowanie tych tematów na gruncie polonistyki wymaga dokładnej, sumiennej lektury wielu tekstów, ogarnięcia szerokich kontekstów, opracowania wielkiej ilości zróżnicowanego materiału, czyli trzeba iść do biblioteki, archiwum, trzeba coś przeczytać z innej dziedziny, może nie wszystko jest po polsku, więc trzeba się nauczyć jakiegoś języka... Zrobić taką antropologię literatury w zgodzie z badaniami empirycznymi klasycznego typu jest bardzo trudno. Tymczasem, jeżeli odrzucimy całą sferę dokumentacji realiów kulturowych, to rozwijamy sobie ręce i tworzymy jakieś instalacje retoryczne, które się sprzedaje jako prace na stopień.

\*

Andrzej Waśko poruszył w ten sposób problem kryzysu uniwersytetu, problem, który rozwinął po chwili redaktor „Twórczości”. Zwrócił także uwagę na rolę elit w tłumieniu dyskursu publicznego.

**A. Werner:** Pewne potrzeby duchowe są nieredukowalne. Już na początku lat 70. Leszek Kołakowski odkrył, że od mitu nie da się uciec (potrzeba metafizyczna). To samo dotyczy pytania kim jestem, kim jesteśmy. Polonistyka jest gałęzią wiedzy humanistycznej, która wskazywała na literaturę jako źródło odpowiedzi na to pytanie. Natomiast te potrzeby można stłumić w obszarze dyskursu publicznego. Tak było np. z pytaniem o historię. W latach 90., dopóki nie powstało Muzeum Powstania Warszawskiego, w debacie publicznej dominowało wyrażane na milion sposobów przekonanie, że historia nikogo nie interesuje, że wszyscy myślą o przyszłości. Gdy w pierwszym roku działalności do muzeum przyszło milion ludzi, to fakt ten empirycznie unieważnił tamten dyskurs, który nas hipnotyzował przez piętnaście lat po 1989 roku. To samo dotyczy literatury polskiej. Patrzymy ze zdziwieniem na fenomen filmu *Chłopi*, który w ciągu pierwszych trzech tygodni obejrzało milion ludzi. Jakiś Reymont? Przecież to ramota! Kogo to interesuje? Można stworzyć pozór, stłumić potrzebę i elity będą to grzecznie powtarzać. Wróć do pytania o emancypację. To też jest powód, dla którego warto rozszerzyć horyzont myślenia o polonistyce i spojrzeć szerzej, w kontekście globalnym czy międzynarodowym. To co Karol Libelt zrobił z inteligencją, wiąże się z humboldtowskim projektem uniwersytetu. Każda filologia narodowa na uniwersytecie humboldtowskim, czyli takim, w którym nauczyciel akademicki razem ze swoimi uczniami przeżywa przygodę wolności, poszukując prawdy, odgrywała rolę emancypacyjną. Była narzędziem, za pomocą którego nowoczesna wspólnota narodowa wydobywała spoza swojej gromady kolejne jednostki, włączając je w obowiązki obywatelskie, republikańskie, w konkurencji z innymi narodami. Uniwersytety były w XIX w. głównym silnikiem rywalizacji narodowej, np. między Francuzami i Niemcami. W Narodowym Centrum Kultury wydaliśmy w 2017 r. książkę *Uniwersytet w ruinie* Billa Readingsa, który na początku ery globalizacji pokazywał, jak rozpada się paradygmat uniwersytetu humboldtowskiego. Nauczyciel akademicki, który jest inteligentem i wciągał ludzi do tej pory wykluczonych w orbitę kodu kultury narodowej, teraz zamienia się w hybrydę menedżera i biurokraty. Przychodzi Balcerowicz i mówi do niego: Pan nie

jest żadnym inteligentem, pan dostarcza usługę edukacyjną na rynku, nie ma pan etosu ani obowiązków, wycenia pan usługę, dokonuje się transfer wiedzy i pan idzie do domu. To zupełnie inny sposób myślenia o kulturze, obowiązkach inteligentów. I z tym się mierzymy od trzydziestu lat. To, co się stało z polonistyką, jest pochodną tego, co się stało z uniwersytetem.

### Być wiernym tekstowi

Tak redaktor Werner podsumował swoją wypowiedź, a ja się zastanawiałem, czy przyrodnicy lub technicy podobnie przeżywają rozpad paradygmatu uniwersytetu. Tymczasem prof. Koehler zauważył, że uniwersytet to ludzie, autorytety, a polonistyka to także studenci zafascynowani tekstem, lubiący czytać.

**K. Koehler:** My wszyscy pamiętamy inne uniwersytety. Kiedy nie było jeszcze sylabusów i punktacji, uniwersytet stanowiły takie osoby, do których się miało zaufanie jako do liderów intelektualnych, rzetelni badacze. Zaliczali się do nich Jarosław Marek Rymkiewicz, Ryszard Przybylski i Śródwiśko, które w Warszawie budowało niezwykłą zupełnie polonistykę. Tacy ludzie dawali nam szansę, żebyśmy jako adeptci weszli na tę ścieżkę. Gdzieś tam jest pytanie o emancypację i szansę, mówi się o kryzysie polonistyki, tak jest faktycznie – młodzież idzie na kulturoznawstwo czy studia antropologiczne. Na polonistykę idą tacy, którzy chcą czytać. Mam zajęcia na pierwszym roku i pytam o motywacje: „A, bo lubię czytać”, odpowiadają. To jesteśmy w domu! Naszym zadaniem jest to, żeby takich ludzi, którzy chcą czytać i o swoim czytaniu rozmawiać, wprowadzać w arkana obcowania z tekstem. To jest elita elit. Jest ich mało. A to jest takie proste! Tekst autora z XVII czy XVIII wieku trzeba przeczytać, opanować warsztat czytania, nauczyć się pewnych zasad pracy i potem takiego człowieka wyuczonego tych technik wpuszcza się w rzeczywistość rozumienia i interpretowania. Uczy się przywiązania do tekstu i bycia mu wiernym. Mimo sytuacji kryzysowej ciągle się pojawiają oczy fascynatów literaturą, nawet mimo szkoły, która z literaturą robi dziwne rzeczy i raczej uczy tego, co czujesz, gdy czytasz. Być może ta elitarność się odwróci, być może ci historycy literatury, którzy uczą warsztatu, też będą mieli uczniów i nie będzie tak źle, jak to sobie wyobrażamy.

\*

Optymistycznie brzmiącą wypowiedź Koehlera skontrował Wawrzyniec Rymkiewicz, mówiąc o przejściu uniwersytetów przez międzynarodowy system korporacji.

**W. Rymkiewicz:** Literatura w głębokim sensie jest czymś bardzo naturalnym, ponieważ naturalny jest śpiew. Ta nowa sytuacja jest czymś głęboko nienaturalnym. Uniwersytety są



dziś nastawione na produkcję niższej kadry korporacyjnej: mobility, flexibility, multitasking. Student, zbierając punkty, przyzwyczajają się do tego, że w firmie nie będzie żadnej hierarchii autorytetu, tylko podliczanie punktów. Są nisze, ale w zasadzie to są instytucje bardzo ukierunkowane. Miejsce polonistyki jest nieprzypadkowe, nie przypadkiem została zmarginalizowana. Obaj z Mateuszem chodziliśmy na zajęcia na polonistycę na początku lat 90. jako młodzi ludzie. Nie rozumieliśmy, co się dzieje i nasi ówcześni nauczyciele także nie rozumieli, służyli wielkim korporacjom. Maria Janion twierdziła, że jest lewicową marksistką. Patrząc na nią dzisiaj jako na apostoła niszczenia polonistyki i wprowadzania turboliberalnych reform na uniwersytetach. Demobilizacja, dekonstrukcja, dekoncentracja polonistyki otwierały drogę rządowi międzynarodowych korporacji. Uniwersytet funkcjonuje tak, że trzeba zdobywać punkty, a uczelnie płacą wielomilionowe sumy za publikacje w czasopiśmie międzynarodowych korporacji, po to żeby uczeni mogli robić kariery. Uniwersytety zostały przejęte przez międzynarodowy system korporacji. Polonistyka to być może ostatnie miejsce, z którego może buchnąć płomień, jedyne i ostatnie.

\*

Za chwilę padnie w tej relacji pojęcie, którego nienawidziłem, od kiedy zaczęły się dyskusje o wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej: dostosować się. Nie mówiono wówczas o niczym innym, tylko o konieczności dostosowania. Były w tym: brak szacunku do swojego kraju i jego historii, brak wiary we własne możliwości, samoponiżenie, ojkofobia, naiwność, kapitulacja, nie wiem, co jeszcze.

**A. Waško:** Pamiętam konferencję w Jachrance w latach 90. poświęconą reformie studiów polonistycznych i docenta Mariana Płacheckiego z Łodzi, który mówił: wybijcie sobie z głowy tę polonistykę, to rzemiosło, tego Pigionia, Kleinera, bo teraz polonistyka będzie kształciła sekretarki i musicie się dostosować, żeby zaspokoić potrzeby rynku. Więc wszystko to było jakoś zaplanowane. Nie jest tak, że na polonistycę nie powstają interesujące prace. Nie jest to tylko nowy paradygmat i pogoń za zwrotami. Klasyczna historia literatury zeszała z piedestału na zaplecze i jest w wąskim, elitarnym obiegu, ale to może wcale nie jest takie złe. Jeśli coś ma wartość, to ma także moc odradzania się i reprodukcji. Jeśli nasza dyscyplina ma przetrwać tę rewolucję, o której mówiliśmy, to trzeba spełnić jeden warunek, przypomnieć sobie, że pisarstwo historyczno-literackie jest gatunkiem pisarstwa, może użytkowego, ale jednak pisarstwa, które należy do szeroko rozumianej dziedziny literatury. Trzeba dokładać starań, żeby pisać w taki sposób,



żeby to było pożyteczne, ale też w jakimś sensie przyjemne. Tego nas uczy jako nasz mistrz, takiego zwrotu od szkolarkstwa do pisarstwa, Jarosław Marek Rymkiewicz. *Juliusz Słowacki pyta o godzinę, Aleksander Fredro jest w złym humorze, Żmud* nie byłyby czytane, gdyby JMR nie był świetnym pisarzem. Odpowiedź na pytanie co robić, jest taka: starać się pisać ciekawe, atrakcyjne, syntetyczne książki i to jest niezależne od tego, co się dzieje na uniwersytetach. Zadaniem humanisty jest pisanie listów do świata, zamykanie ich w butelce i wrzucanie do oceanu.

## Listy w butelce

Ładne, pomyślałem. Wyławialiśmy te butelki z Fredrą, Słowackim i Mickiewiczem w środku, będąc na studiach i zaraz po. To było inne pisanie, polonistyczna sztywnota prychała: esseistyka! Prychali, ale czytali. Myślę, że czegoś się z książek Rymkiewicza nauczyli. Wracajmy do debaty, do autoagresji i słów wstydlivych.

**A. Werner:** W słowie polonistyka kryje się słowo Polska, polskość. To nie tylko sama umiejętność pisania i czytania, lecz także pisanie po polsku o Polsce, czytanie po polsku o Polsce i myślenie o tym, co to znaczy dla nas, którzy jesteśmy tu razem ze sobą i doświadczamy tego samego. W świecie globalizacji pojętej jako utrata suwerenności ekonomicznej państw narodowych, gdy większość przepływów finansowych nie jest kontrolowana przez państwa, uniwersytety tak samo się odmiejscawiają, Cambridge jest w Dubaju i Kapsztadzie. Tam filologia angielska nie jest potrzebna, tam jest potrzebna antropologia kulturowa, która będzie relatywizować kulturę, pokazując, że wszystkie mają w sobie coś ciekawego, a nie zastanawiać się, na czym polega wartość tej jednej, którą w tym Cambridge studiowały kolejne pokolenia Anglosasów. Żyjemy w czasach, w których refleksja nad polskością staje się czymś wstydlivym i nic dziwnego, że polonistyka, która ma w nazwie zaszyte to wstydlive słowo, próbuje się usprawiedliwić przed opinią publiczną autoagresją, atakując swoją własną misję, pokazując dystans do niej, stając się swoją odwrotnością, własnym przeciwieństwem.

\*

Znów mamy uciekać? – pomyślałem, gdy usłyszałem to, co za chwilę zacytuje. Po to budowaliście instytucje, by je opuszczać i obok budować nowe? Może i tak. Może bardziej niż konserwatywne istotne jest to, co republikańskie?

**W. Rymkiewicz:** Filozofia przestaje być filozofią, polonistyka przestaje być polonistyką. Trzeba wymyślić jakieś formy organizacyjno-instytucjonalne poza murami uniwersytetu. Na uniwersytetach rutyna, punkty, studenci przymuszani do nauki. Jak można zmuszać kogokolwiek do uczenia się filozofii? Filozofia i polonistyka, nauki wolnych ludzi, muszą opuścić uniwersytety.

**K. Koehler:** Mocna teza, ale historycznie sprawdzona. Tak się zaczynał renesans. Humanizm renesansowy zaczynał się na pograniczu czy obok ówczesnego uniwersytetu. Akademia nie była miejscem, gdzie humaniści odbywali spotkania, uczyli Cyserona, Arystotelesa. Robili to w kursach koło akademii zdominowanej wówczas przez późną scholastykę. Jest więc w tym natura, która powraca. Ja powracam do idei, o której wspominał Andrzej Waško. Filologia jest pasją, fascynacją aktem czytania i rozumienia siebie w czytaniu. Poza postulatami Andrzeja, żeby pisać ciekawe książki, i Wawrzyńca, żeby się wynosić poza uczelnię, są jeszcze ważne osoby. Oddajmy hołd Rymkiewiczowi, z jego zupełnie innym pisaniem niż np. pisanie Henryka Markiewicza, otwierającym horyzonty. Więc to nie tylko warsztat literacki czy dobre opanowanie sztuki pisania tekstów, chodzi o odwagę intelektualną, osobowość...



\*

Ciekawe były pytania z sali, krytyczne. Jeden głos tylko z braku miejsca przytoczę. Należał do warszawskiej polonistki szkolnej, **Agnieszki Czachowskiej**: Pytanie, po co nam polonistyka, jest pytaniem, po co nam Polska. Dzisiaj bardzo wiele osób uważających się za należące do elit zadaje to pytanie w formie o wiele bardziej wulgarnej niż na plakacie. Jeśli będziemy wiedzieli po co nam Polska, to nie będziemy mieli powodów, by dyskutować po co nam polonistyka.

Na pytanie nauczycielki odpowiedział...

**W. Rymkiewicz**: Zasadniczym błędem polonistyki już w PRL-u było przekształcenie się w naukę w duchu Henryka Markiewicza czy strukturalistów z IBL-u. Stracono z oczu centralne zadanie polonistyki, którym jest wychowywanie nauczycieli polskiego, ponieważ nauczyciel polskiego w szkole

może naprawdę zmienić życie człowieka. Może go nauczyć czytać literaturę, obudzić do niej miłość. To jest prawdziwe zadanie polonistyki. Po co nam Polska? Wśród różnych słów, które zostały odrzucone, splugawione, najważniejszym jest słowo mesjanizm. Dlaczego? Mówiąc społecznie, klasowo, to była ideologia inteligentka, która miała do tego formułę religijną. Religijna idea społeczna. Najkrócej: chodziło o samodzielność, samoistność. To jest celem człowieka. Każdy, czy to Polak, czy Brytyjczyk, czy Hindus

w Kalkucie, z własną tradycją, własnym językiem szuka swojej niezależności, samodzielności. Po to jest nam Polska, żebyśmy byli samoistni i samodzielni, żebyśmy byli wolni.

\*

Tyle Wawrzyniec Rymkiewicz. Dyskusja o Polsce i polonistyce, w chwili gdy atakowana jest z dużą siłą nasza suwerenność, podważany sens utrzymania suwerenności, to dobry pomysł, tkwią w nim odwaga i mądrość. Trwała dłużej, słuchałem do końca, potem jeszcze rozmawialiśmy o tych sprawach z przyjaciółmi. Odniosłem wrażenie, że wiemy, co robić. Więcej, że zawsze to robiliśmy. Może tylko trzeba by zdwoić wysiłki?

Zdjęcia ze strony <https://festiwalyrymkiewiczowski.pl/galeria-debata-2/>



# Czas rozliczeń

W zapisach dotyczących kadry akademickiej wyraźnie przesunięty został akcent z roli profesorów tytularnych w badaniach naukowych na role doktorów i doktorów habilitowanych w kształceniu studentów. W efekcie otrzymali oni „prezent”, jakim jest możliwość zajmowania uczelnianych etatów bez mocnego angażowania się w prowadzenie badań.

Wybory do parlamentu RP zakończyły się porażką polityków sprawujących władzę przez ostatnich osiem lat. Nie będę jednak podejmował próby odpowiedzi na pytanie, co było sukcesem, a co niepowodzeniem w prowadzonej przez nich polityce krajowej i zagranicznej. Swoje wskazania ograniczę do życia akademickiego. Istotny wpływ na to życie miało w tym czasie zarówno przyjęcie nowych regulacji prawnych dotyczących funkcjonowania nauki i szkolnictwa wyższego, jak i decyzje ministerialne.

## Rozliczenie polityków

Osiem lat to wystarczająco długi okres, aby zrobić zarówno sporo dobrego, jak i złego nie tylko w polityce krajowej, ale także w akademickim życiu. Nie jest ono zresztą samotną wyspą, która pozostaje bez wyraźnych związków z szerszym otoczeniem społecznym oraz z poczynaniami polityków. Aspiracje polityków do dyrygowania tym życiem były szczególnie widoczne w ostatnich kilku latach. Mieli je jednak również w mniejszym lub większym stopniu ich poprzednicy. Co więcej, posiadali takie siły i środki, które pozwalały im z lepszym lub gorszym skutkiem odgrywać taką rolę. Przede wszystkim były to środki finansowe z budżetu państwa, znajdujące się w dyspozycji ministra edukacji i nauki oraz szefów kilku innych ministerstw. W ocenianym okresie zmieniono nazwę przyznawanych uczelniom środków finansowych z „dotacji” na „subwencje” oraz zaniechano ich sztywnego podziału na cele dydaktyczne i badawcze. Ta ostatnia zmiana została zresztą dobrze przyjęta na uczelniach, bowiem pozwoliła nie tylko na bardziej samodzielne gospodarowanie środkami, ale także na unikanie takiej sytuacji, że nie posiadały one już środków finansowych na jedne cele, ale miały je na inne, jednak nie mogły ich wykorzystać, bowiem oznaczałoby to naruszenie obowiązujących regulacji prawnych. Poprawiony został również tzw. algorytm, według którego te środki były dzielone. Nie zmieniało to oczywiście wysokości nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe, a te były i są nadal zbyt małe w stosunku do potrzeb.

Warto przypomnieć, że w 2016 r. rząd przyjął *Plan na rzecz odpowiedzialnego rozwoju*, w którym zakładany był wzrost nakładu na badania naukowe i rozwój (B+R) z ówczesnego 0.8% na 2% PKB. W międzyczasie pojawiło się szereg gruntownych analiz, z których jasno wynikało, co daje wzrost każdego miejsca po przecinku nie tylko nauce w naszym kraju, ale także społeczeństwu. I co? A no to, że mamy koniec 2023 r.

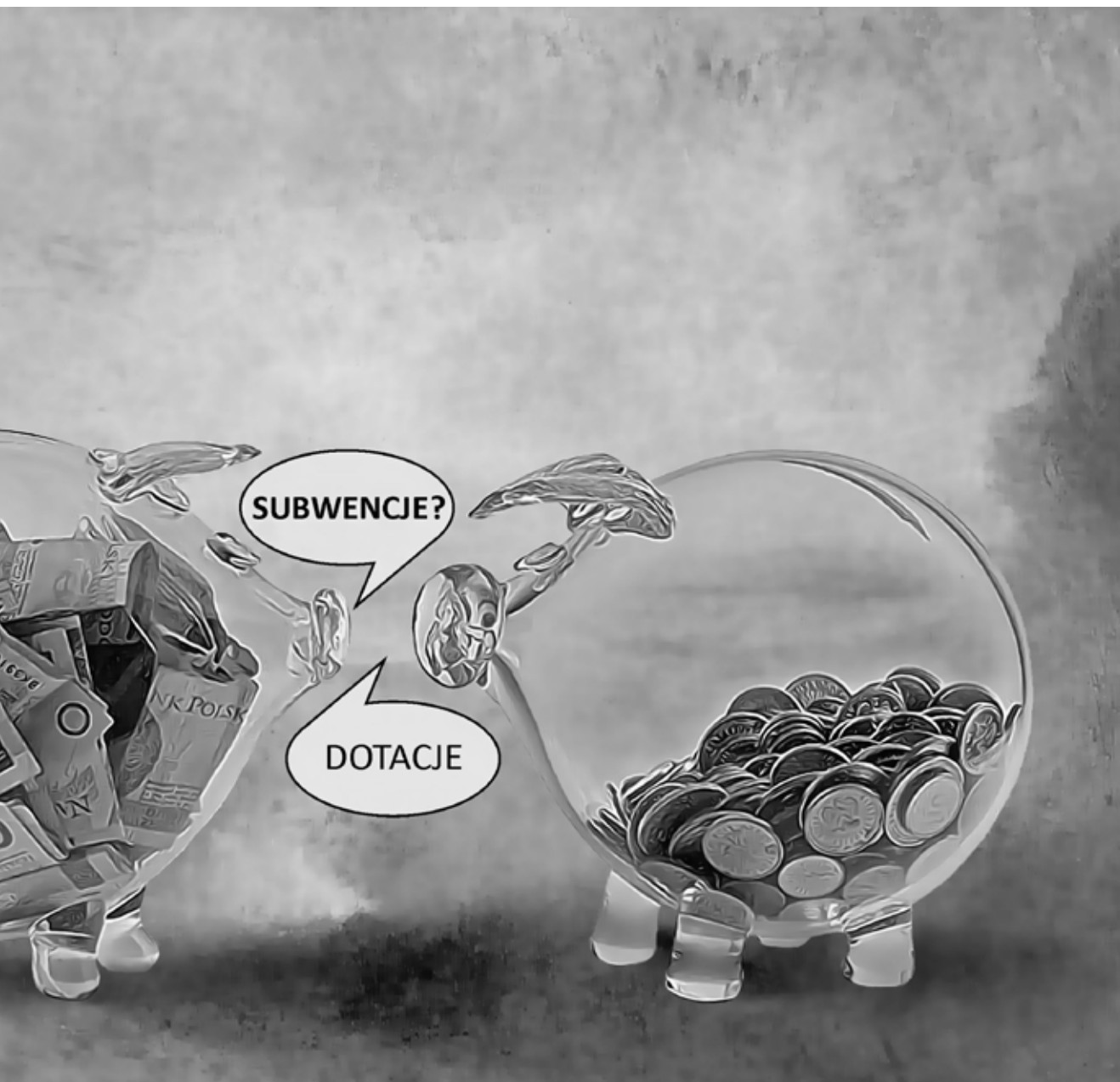
i ciągle wiele brakuje do tego wskaźnika. Wprawdzie wzrósł on do nieco ponad 1%, jednak ten wzrost nie przekłada się na wyraźną poprawę kondycji finansowych ani uczelni, ani też ich pracowników. Co więcej, następuje ich wyraźna pauperyzacja. Jeśli miałbym pokusić się o wskazanie przyczyn, to powiedziałbym, że przyczyniała się do tego m.in. polityka ministerialna tzw. wyrównywania szans mniejszych ośrodków akademickich w konfrontacji z większymi. Z twierdzeniem szefostwa naszego resortu, że te pierwsze mają również spore potrzeby finansowe i aspiracje naukowe trudno byłoby polemizować. Skłonny jestem jednak polemizować z twierdzeniem, że zatrudniona jest w nich równie wysoko kwalifikowana i mobilna kadra badawcza co w dużych ośrodkach akademickich. Gdyby tak było, to nic nie stałoby na przeszkodzie, aby któryś z nich stał się polskim Harvardem czy Cambridge lub przynajmniej zmierzał w tym kierunku. Natomiast ujmowanie środków finansowych bardziej znaczącym w badaniach naukowych i w kształceniu studentów i dawanie ich tym słabszym na razie nie oznacza zwiększenia szans na zbliżanie się któregoś z nich chociażby do europejskich akademickich średniaków. Rzecz



jasna nie myślę tutaj o takich wskaźnikach jak wzrost liczby osób zatrudnionych w sektorze nauki i szkolnictwa wyższego. Pod tym bowiem względem wypadamy dobrze, jeśli uznać, że zajmowanie piątego miejsca w UE pod względem liczby osób mających status pracownika naukowego jest dobrym miejscem.

Ta ostatnia kwestia wiąże się bezpośrednio z takim osiągnięciem przegranych w wyborach formacji, jakim było przyjęcie w 2018 r. regulacji prawnej nazywanej Ustawą 2.0 lub Konstytucją dla Nauki, a potocznie „ustawą Gowina”, bowiem ten minister dawał jej nie tylko „twarz”, ale także swoje preferencje. Wprawdzie później stracił on miejsce w gronie politycznych decydentów, jednak regulacja obowiązuje. Wprowadzonych zostało w niej kilka istotnych dla akademickiego życia zmian, takich m.in. jak wykreślenie progu wiekowego 67 lat dla osób ubiegających się o funkcje kierownicze na uczelniach czy przywrócenie kolokwium habilitacyjnego w procedurze osób ubiegających się o stopień doktora habilitowanego. Dobre i to. Problem jest jednak znacznie szerszy. W zapisach dotyczących kadry akademickiej wyraźnie przesunięty został akcent z roli profesorów tytularnych w badaniach naukowych na role doktorów i doktorów habilitowanych w kształceniu stu-

dentów. W efekcie otrzymali oni „prezent”, jakim jest możliwość zajmowania uczelnianych etatów bez mocnego angażowania się w prowadzenie badań. Wcześniej takim osobom ze stopniem doktora groziło zwolnienie po przekroczeniu określonego w regulacjach prawnych czasu na uzyskanie stopnia doktora habilitowanego. Dla ułatwienia im wywiązania się z tego obowiązku wprowadzono okres przejściowy, w którym mogli oni skorzystać z bardziej liberalnych wymagań w procedurze habilitacyjnej. Niejeden z nich z tego skorzystał, o czym świadczy swoiste „pospolite ruszenie”, które zgłosiło się po ten stopień naukowy przed 30 kwietnia 2019 r. Wielu tych, którym się udało przebrnąć procedurę, uzyskało później stanowisko profesora uczelnianego. Dzisiaj na niejednym wydziale jest więcej uczelnianych profesorów niż doktorów. Mało kiedy przekładała to się na podwyższenie poziomu prowadzonych badań naukowych i dokumentowania ich wyników m.in. w formie publikacji w znaczących czasopismach i wydawnictwach. Niejeden taki profesor zdaje się być przekonany, że po uzyskaniu stanowiska jest już zwolniony z obowiązku prowadzenia badań naukowych i chciałby w spokoju ducha do emerytury lub nawet jeszcze dłużej konsumować swoją „profesorskość”.



Rys. Sławomir Makal

Problem poziomu prowadzonych badań i dokumentowania ich wyników wiąże się bezpośrednio z mającymi miejsce w czasie tych ośmiu lat dwiema parametryzacjami: w 2017 r. wyników badawczych jednostek uczelni i PAN, natomiast w 2022 r. dyscyplin naukowych. Do każdej z nich zgłaszane były przez środowisko akademickie zastrzeżenia. Dotyczyły one m.in. podstawy tych ocen, jaką stanowiła ministerialna lista czasopism naukowych i wydawnictw publikujących recenzowane monografie naukowe. Nie można powiedzieć, że ministerstwo nic w tym zakresie nie zmieniało. Jestem jednak skłonny twierdzić, że zmieniało nie na lepsze, a na dużo gorsze. Potwierdzeniem tego jest pojawienie się na liście czasopism, które punktacją nie ustępują najlepszym na świecie. Problem nie tylko w tym, że nie pojawiają się w nich publikacje znaczących na świecie uczonych, ale także w tym, że ci, którzy w nich publikują, są znani i cenieni najwyżej na krajowym „podwórku”, a czasami jedynie w najbliższym akademickim otoczeniu. Problem również w tym, że na liście z wysoką punktacją pojawiały się czasopisma, które chętnie oferowały swoje łamy, ale za spore pieniądze, i niejedyn z naszych uczonych skorzystał z tej oferty, w znaczącym stopniu zwiększając dochody tych czasopism, ale uszczuplając fundusze swojego pracodawcy.

### „Sieroty” po przegranych

Wygrana opozycyjnych formacji miała wielu „ojców”, a przegrana sprawujących władzę pozostawiła na placu boju niejedną „sierotę”, tj. tych, którzy korzystali z łaskawości władzy. Ich sytuacja jest jednak dosyć mocno zróżnicowana. W najgorszej są zapewne ci, którzy postawili „wszystkie pieniądze” na wspieranie tych formacji i ich przegrane są również ich wielką przegraną. Takich w środowisku akademickim nie jest aż tak wielu jak np. w sądownictwie. Są oni jednak na tyle liczni, aby powiedzieć o nich chociażby kilka słów. Niektórzy z nich byli zresztą wskazywani w kampanii wyborczej przez opozycję, żeby tylko tytułem przykładu przypomnieć przyznawanie przez szefostwo naszego resortu różnego rodzaju fundacjom i centrom środków finansowych, których wysokość nijak się miała do uzyskiwanych w ich działalności efektów. Jeśli formacje zwycięskie w tych wyborach dotrzymają w jakiejś mierze obietnicę, że to, co zostało dane przez ich poprzedników, nie zostanie odebrane, to niektóre z nich być może przetrwają kilka „zimnych” lat, ale raczej nie będzie to triumfalne „zeglowanie” po wielkich wodach. Być może w gronie szczęśliwców znajdują się niektóre nowe instytucje, które w statutach mają wpisana godną wsparcia przez nowe władze polityczne działalność prospołeczną. Jeśli jednak nawet dostaną one swoje szanse na jej realizację, to jednak raczej już nie siłami tych nominatów, których nawet lider największej z przegranych w wyborach formacji nazwał „tłustymi kotami”. Są wśród nich takie, które mają w swoich statutach wpisana działalność gospodarczą. Jeśli przetrwają one w niezmiennym składzie personalnym, to ten personel będzie musiał się jednak wykazać ponadprzeciętnymi umiejętnościami menedżerskimi, bowiem na taryfę ulgową ze strony nowych politycznych decydentów raczej nie powinien liczyć.

Problemem szerszym – bo nie tylko personalnym, ale także instytucjonalnym – jest podniesienie do rangi akademii tych uczelni, które wcześniej miały status wyższych szkół zawodowych, oraz podniesienie do rangi uniwersytetów tych, które wcześniej występowały pod szyldem akademii. Jest to również pochodną zliberalizowania w tym zakresie ustawowych wymagań. Dzisiaj trudno jest powiedzieć, jaka będzie przyszłość tych, które mają już dobry szyld, ale jeszcze im brakuje dobrej kadry badawczej i dydaktycznej. Ponoć Napoleon miał

pytać swoich marszałków i generałów o to, czy mają szczęście i czy mają armaty. Można powiedzieć, że uczelnie z takimi brakami szczęście już miały, bowiem „załapały się” na liberalne przepisy prawne dotyczące używania nazw „akademia” i „uniwersytet”. Teraz czas na „armaty”. W akademickim życiu stanowią je nie ci, którzy „spieszą się” tak powoli w badania naukowych, że jakoś nie można się doczekać ich co bardziej znaczących wyników, lecz ci, którzy osiągną je w takim czasie, że budzi to u jednych uznanie, a u innych być może nawet zastanowienie, czy nie poszukać sobie mniej stresującego miejsca niż uczelnia czy instytut badawczy. W gronie ulubieńców przegranych w ostatniej batalii parlamentarnej znalazły się nie tylko niektóre uczelnie świeckie, ale także kościelne. Nie chciałbym tutaj ich wymieniać. Problem nie sprowadza się jednak do jednej z toruńskich uczelni. Można generalnie powiedzieć, że im większym wzięciem cieszyły się one przed parlamentarną zmianą, tym trudniej im będzie stawiać czoło w nowych realiach politycznych. Mam jednak nadzieję, że nie powrócimy do tych czasów, w których między religijnością i nienaukowością stawiano znak równości. Nie jestem osobą religijną. Jednak z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że na uczelniach kościelnych zatrudniony jest niejedyn uczoney, u którego „prof.” przed nazwiskiem nie jest jedynie ozdobnikiem, lecz również wskazaniem uzyskania wysokich kwalifikacji naukowych.

### Kilka sugestii

Sugestie te traktuję jako głos w dyskusji nad zmianami w akademickim życiu, które w moim przekonaniu są niezbędne do poprawienia jego naukowej i dydaktycznej kondycji. Pierwsza z nich dotyczy efektywności tych dyskusji. Jakąs przestrogą może być organizowanie przez władze ministerialne przed przyjęciem Ustawy 2.0 spotkań ze społecznością akademicką, na których wprowadzicie przedstawiano autentyczne problemy akademickiego życia, a nawet zgłaszano różne propozycje ich rozwiązywania, jednak gdy przyszło co do czego, to się okazało, że władze biorą pod uwagę jedynie te z nich, które są zgodne z ich poglądami oraz poglądami ich najbliższych doradców. Druga moja sugestia dotyczy krytykówek poczynanych władz ministerialnych, którzy uważają, że najlepiej byłoby „zrównać z ziemią” przynajmniej niektóre ich dokonania i zaproponować w to miejsce coś zupełnie innego. Takie propozycje dotyczą m.in. ministerialnej listy czasopism i wydawnictw. Rzecz jasna listy te można zmienić, a nawet jednym ministerialnym rozporządzeniem zlikwidować. Pojawia się jednak pytanie: co to oznaczałoby dla kolejnej parametryzacji osiągnięć naukowych? Raczej poza dyskusją jest to, że nie można mieć wielkiego zaufania do wyników parametryzacji ogłoszonych w 2022 r. Ich następstwem jest bowiem m.in. uzyskanie uprawnień do doktoryzowania i habilitowania przez szereg rad naukowych, których członkami są m.in. osoby o wątpliwych kompetencjach naukowych. Można oczekiwać, że ministerialna lista czasopism z 17 lipca 2023 r. będzie skutkowałą kolejnymi anomaliami. Sugerowałbym zatem anulowanie tej listy (włącznie z uzupełnieniami z 3 listopada b.r.) i skorygowanie poprzedniej w taki sposób, aby miało to przełożenie na faktyczny poziom zamieszczanych w nich publikacji. Taka korekta wymaga jednak wypracowania lepszych od poprzednich zasad oceniania tego poziomu. Na to potrzeba czasu, a najbliższa parametryzacja już za rok. Sugerowałbym zatem przedłużenie terminu. Trzeba jednak pilnie podjąć prace nad lepszymi zasadami parametryzacji osiągnięć naukowych i przedstawić ich wyniki w takim terminie, który da szansę na prowadzenie tych uczelni i instytutów badawczych odpowiedniej polityki kadrowej i finansowej.

Rozmowa z prof. Robertem Kają, dziekanem Wydziału Rzeźby i Intermediów Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku

# Dotknięcie dłoni?

Generalnie młodzież jest coraz mniej manualna i wszystkie wydziały rzeźby mają z tym problem. Kandydatów na studia jest mniej niż było kiedyś, widać też, że kontakt z prostymi narzędziami do wykonywania prostych czynności technicznych nie jest tak powszechny jak dawniej. Na rzeźbie musimy się zmagać z tym, żeby studenci chcieli wejść w pracę techniczną, manualną, brudną, ale w wielu przypadkach to bardzo wciąga młodych ludzi, jakby było im potrzebne.

## Jak zmieniły się pracownie rzeźby w gdańskiej ASP od czasu pana studiów w pracowni prof. Franciszka Duszeńki?

Jesteśmy w trakcie tych zmian, które zachodzą ewolucyjnie. Gdy studiowałem, kończyła się właśnie era gipsowej rzeźby, kiedy to było wiadomo, że na dyplom robi się akt, portret i płaskorzeźbę, i że to jest porównywalne. Tymczasem pojawiły się takie osoby jak Grzegorz Kłaman, Zdzisław Pidek, Katarzyna Józefowicz, które później zostały na uczelni, a na dyplomach można już było zobaczyć inne niż dotychczas materiały: ceramikę, kamień, wateę czy papier. Grzegorz Kłaman ze swoją pracownią intermedialną wraz z Witosławem Czerwonką wprowadzili rzeźbę w pewne zderzenie z mediami. Potem weszło moje pokolenie, które posługiwało się takimi mediami jak telewizor i wideo. Telewizor jako obiekt był tematem mojego dyplomu. Zajmowałem się nim, począwszy od prostego zabiegu odlania go w gipsie, jako pewnego fetysza, poprzez nagranie sekwencji obrazów, które współgrały z moimi rzeźbami. Oczywiście przykładów działań z elektroniką było więcej: Marek Targoński czy Jacek Niegoda działali w mediach elektronicznych połączonych z obiektami, co później wyewoluowało w stronę instalacji.

## Czy prowadzono w tych czasach dyskusje na temat granic rzeźby?

Tak, przez cały czas toczyły się spory. Byli tacy artyści, którzy uważali, że trzeba zachować kanon rzeźby, i inni, którzy chętnie wchodzili w relacje ze zmieniającą się rzeczywistością. I tutaj – o dziwo! – właśnie profesor Franciszek Duszeńko, najstarszy spośród profesorów, był bardzo otwarty na różne eksperymenty. Te wszystkie osoby, które wcześniej wymieniłem, wraz z Dorotą Nieznalską czy Julią Wójcik, studiując rzeźbę wybierały pracownię dyplomową prof. Duszeńki, gdyż wiedziały, że komunikacja między nią a pracownią intermedialną będzie dobra. Natomiast później intermedia się rozdzieliły, poszły bardziej w stronę filmu, performansu i sztuki krytycznej.

## W każdym razie wyrosły z rzeźby.

Tak, podobnie jak na innych uczelniach. Tak się stało np. w Krakowie i w Warszawie, a w Poznaniu twórczość Jana czy Marcina Berdyszaków także była przejściem z rzeźby do nowych mediów.

## Czy możemy mówić o skokowym postępie w związku z wprowadzeniem nowych technologii w edukacji artystycznej? Jak postrzega pan ich rolę? Czy są tylko udoskonalonymi narzędziami, czy może w jakiś sposób wpływają na istotę procesu twórczego?

Rzeczywiście kolejnym przełomem stało się modelowanie 3D, a więc wejście w trzeci wymiar, jednak nie realny. I tutaj muszę powiedzieć, że niektórzy rzeźbiarze, którzy wywodzili się z klasycznego rdenia, jak np. Tomek Skórka, z całym swoim багаżem umiejętności manualnych i doświadczeniem widzenia trójwymiarowego, bardzo ładnie potrafili się przenieść w wirtualną rzeczywistość. W pracowni, którą prowadziłem, jako pierwsi weszliśmy w programy do modelowania 3D, potem doszedł VR, więc pojawiła się możliwość prezentowania aneksów do dyplomów właśnie w tej technologii, przy użyciu okularów VR. Można było przenosić się i chodzić po zaprojektowanym placu z jakimiś rozwiązaniami rzeźbiarskimi i przyglądać się im z różnych stron. To jest bardzo dobre narzędzie, zwłaszcza w kontekście działań związanych z architekturą. Planujemy obecnie, aby na bazie naszej pracowni utworzyć specjalność, która będzie przygotowywała studentów do projektowania rzeźby w przestrzeni publicznej, z tymi narzędziami, które daje współczesna technika. Oprócz technologii 3D i VR korzystamy z drukarek komputerowych, dzięki którym modele można zmaterializować, mamy także frezarki CNC, plotery do styropianu i inne narzędzia. Nie spotykamy się przy tym z oporem ze strony osób, które się wywodzą z tradycyjnego sposobu myślenia o rzeźbie, bo bardzo dobrze jest zamiast starej punktownicy użyć skanera. Przy pomocy skanera można przenieść obiekt w rzeczywistość wirtualną, a potem dalej dopracowywać. Według mnie korzystanie z nowych technologii jest takim przełomem dla rzeźby, jakim była fotografia dla malarstwa w czasie przed impresjonizmem.

## Wieszczono wówczas śmierć malarstwa, która jednak nie nastąpiła.

Okazało się, że fotografia stała się dla malarstwa bardzo przydatnym narzędziem, wyrósł z niej – najprościej rozumując – hiperrealizm. Myślę, że jesteśmy w podobnym momencie.

### **A jak wygląda etapowość pracy, czy pewne procesy się nie odwróciły? Niegdyś ostateczna wizualizacja następowała w momencie stworzenia obiektu rzeźbiarskiego...**

Diametralnie się nie odwróciły, ale kiedyś trzeba było przygotować model w glinie, odlać go w gipsie, potem sfotografować i wkleić w zdjęcie np. placu, na którym rzeźba ma funkcjonować. Teraz możemy tę rzeźbę przenieść na dwa sposoby: albo zrobić z dowolnej materii model, który da się zeskanować i w ten sposób przenieść go do świata wirtualnego, gdzie całe otoczenie możemy także zbudować wirtualnie, następnie wykonać rendering i wydrukować sobie widok, albo możemy też ten obiekt od początku modelować w odpowiednim programie. Tu pojawia się problem, bo jednak tracimy trójwymiarowe widzenie. Jeżeli w czasie projektowania korzystamy z monitora, jesteśmy wówczas skazani na pojedyncze widoki, a nie mamy oglądu całościowego, który daje nam para oczu, w czasie gdy projektujemy. Natomiast w VR, poprzez okulary, można już bardziej kontrolować trójwymiarowość czy plastyczność obiektu.

### **VR stosuje się już na etapie projektowania, a nie tylko końcowej wizualizacji?**

Tak, VR można zaimplementować do modelowania 3D i wówczas na bieżąco, jeszcze przed przeniesieniem do realnego świata, np. w postaci wydruku 3D, możemy zająć się projektowaniem. I tak właśnie staramy się pracować. Nawet jeżeli wstępny projekt robimy patrząc tylko na ekran, to potem można wejść w etap VR i pewne rzeczy dokończyć czy poprawić. Te narzędzia współgrają ze sobą – dopiero przy technologii VR mamy szansę w pełni kontrolować wirtualną rzeczywistość.

### **Praca twórcza rzeźbiarza kojarzyła się zazwyczaj z pokonywaniem oporu materii. Teraz, jak rozumiem, można utworzyć obiekt rzeźbiarski w rzeczywistości 3D i VR, po czym zmate-**

### **rializować go za pomocą drukarki 3D bez dotknięcia materii rzeźbiarskiej...**

Tak, na tym etapie jesteśmy, co ma swoje zalety i wady. Opór materii jest twórczy, samo dotknięcie gliny, sama sensualność procesu rzeźbiarskiego są dosyć istotne. Wystarczy się odnieść do *Mysłacej dłoni* Juhaniego Pallasmaa, który wskazuje, że proces projektowania z użyciem ręki wiąże się z większym bogactwem interakcji, a tutaj skazani jesteśmy na klawisze i nie odczuwamy tego oporu czy ciężenia materii, tylko doświadczamy pewnej nieważkości i niematerialności. Jednak nowe technologie na pewno są narzędziami, których trzeba się nauczyć, które mogą uzupełnić nasze możliwości, zwłaszcza w przypadku prac bardzo złożonych, strukturalnych, trudnych do ręcznego wykonania. Na pewno dojdziemy za jakiś czas do projektowania z użyciem sztucznej inteligencji, a pewne zainicjowane procesy same będą się działy – tak jak roślina rośnie i rozwija się sama czy stado ryb samo porusza się według jakiegoś porządku. To jest wyzwanie, żeby wejść w kolejny poziom generowania formy rzeźbiarskiej.

### **Jesteśmy więc w momencie przełomowym. Niegdyś kandydatów na rzeźbę zniechęcała czasami perspektywa wspomnianego zmagania się z materią, połączonego z wysiłkiem fizycznym. Czy obecnie wśród kandydatów są osoby, które zakładają, że wejdą w rzeczywistość wirtualną i od początku do końca będą kreować w niej swoje światy, które potem niejako same się zmaterializują? Czy edukacja zmierza do tego, żeby przeprowadzać studenta z rzeczywistości realnej do wirtualnej, czy niekoniecznie?**

To są dwa złożone problemy. Generalnie młodzież jest coraz mniej manualna i wszystkie wydziały rzeźby mają z tym problem. Kandydatów na studia jest mniej niż było kiedyś, widać też, że kontakt z prostymi narzędziami do wykonywania pro-



Fot. Krystyna Manuszewska

stych czynności technicznych nie jest tak powszechny jak dawniej. Na rzeźbie musimy zmagać się z tym, żeby studenci chcieli wejść w pracę techniczną, manualną, brudną, ale w wielu przypadkach to bardzo wciąga młodych ludzi, jakby było im potrzebne. Skrajnym przykładem jest praca w kamieniu. Okazuje się, że jeżeli studenci dostaną odpowiednie narzędzia i wskazówki, jak się do tego zabrać, to wielu z nich nie chce zaprzestać pracy w tym najtwardszym, najcięższym materiale, materialność zaczyna ich pociągać. Druga sytuacja jest taka: są osoby, które deklarują, że nie interesują się czynnościami manualnymi, natomiast mają inne predyspozycje i pewne interesujące pomysły. Do tej pory takie osoby nie kojarzyły rzeźby jako kierunku, na którym mogłyby się realizować. Stąd nasza projektowana specjalność: żeby znaleźć także dla nich miejsce, dać im narzędzia, za pomocą których będą mogli swobodnie projektować w przestrzeni niematerialnej, a być może, po przejściu wstępnych etapów, wciągnąć ich także w projektowanie manualne.

### Czy w związku z tymi uwarunkowaniami zmieniła się formuła egzaminów wstępnych na rzeźbę?

Egzaminy wstępne zmieniły się w dużym stopniu przez pandemię, bo przez pewien czas były prowadzone zdalnie, z większym naciskiem na rysunek. Kandydaci robili rzeźbę na własnych warunkach, a oglądało się tylko zdjęcia albo efekt końcowy. Obecnie na egzaminie wstępnym przewidujemy modelowanie głowy w glinie. To jest podstawowy test: czy ktoś widzi trzy wymiary, czy nie, np. przy projektowaniu 3D można to łatwo ukryć. To właśnie daje przewagę naszym absolwentom, bo obecnie każdy może zabrać się za modelowanie postaci, jest trochę samouczków w sieci ukazujących, jak krok po kroku zbudować np. postać rycerza do gry komputerowej. Jest to jednak działanie schematyczne, a nam chodzi o to, żeby wykre-



ować twórców, którzy świadomie będą posługiwali się formą. Podobnie jak w muzyce zawsze dobrze zrobi muzykowi, jeśli się nauczy gry na jakimś instrumencie, a potem może zostać kompozytorem nawet najbardziej awangardowym, ale ma pewną bazę. My w pracowni tych „gam” będziemy uczyć.

### Jaka jest specyfika Pracowni Projektowania i Organizacji Przestrzeni, którą pan prowadzi?

Każdy student na naszym kierunku oprócz jednej z trzech pracowni dyplomujących wybiera pomiędzy trzema specjalizacjami. To są Małe Formy Rzeźbiarskie, czyli tzw. pracownia metalu, Pracownia Ceramiki oraz Pracownia Projektowania i Organizacji Przestrzeni. Aktualnie funkcjonuje ona jako aneks, ale robimy przymiarki, aby mogła być specjalnością, która będzie przygotowywała studentów do projektowania w rzeczywistości wirtualnej całych przestrzeni i kompozycji przestrzennych. Pracownia ma długą tradycję, była na uczelni już od lat 60., w czasach profesorów Smolany i Haupta. Potem, po przerwie, wznowił ją prof. Pidek, czyli mój bezpośredni nauczyciel. Tematy, które podejmujemy, mają nauczyć studentów patrzenia na rzeźbę czy kompozycję przestrzenną nie jako na autonomiczny obiekt, ale taki, który jest w relacji do otoczenia poprzez skalę, materiał, światłocień, a także poprzez sferę znaczeniową. Zadania, które proponujemy, zawsze są związane z konkretnym miejscem albo to student musi wybrać miejsce adekwatne do danego tematu. Rozpatrujemy z jednej strony kwestie rzeźbiarsko-kompozycyjne, z drugiej bardziej architektoniczne, czyli ulokowanie rzeźby w danej przestrzeni: czy są tam jakieś osie widokowe, dominanty, czy jest zieleń, jak słońce operuje w ciągu dnia i w poszczególnych porach roku.

### Studenci zajmują się także techniczną stroną projektu?

W umiarkowanym stopniu, ale tak, żeby projekt był możliwy do zrealizowania przez kogoś z uprawnieniami. Praca zaczyna się od szkicownika – na zadany temat studenci tworzą pulę pierwszych skojarzeń, słów, piktogramów, rysunków, rozmawiamy o tym, potem pojawiają się bardziej zaawansowane szkice i przechodzimy do modeli z prowizorycznych materiałów: tektury, kartonu, styropianu czy plasteliny. Potem trzeba wykonać model w odpowiedniej skali albo wycinając go z odpowiedniego materiału albo rysując w krzywych w programie i następnie wycinając laserem, jak w przypadku modułu-motywu ogro-



dzenia hipodromu w Sopocie, który miał przełamać jego monotonię. Zdarzają się projekty elewacji albo pojedynczych obiektów. Wspomnę o tym, który zrobiła studentka z Ukrainy: na wielu placach zabaw na Ukrainie znajdowały się modele rakiet kosmicznych, oczywiście radzieckich, tymczasem studentka wykonała prosty zabieg i taką raketę, zrobioną z metalowych rurek, odwróciła w inną stronę. Powstała wskutek tego całkiem inna rakietka, realizacja jest przejmująca. Zwrócę jeszcze uwagę na ciekawe eksperymenty z drukarką 3D, które prowadzi współpracujący z nami dr Paweł Dudko. Nie poprzestaje na tym, że zaprojektowany model jest po prostu drukowany, tylko wchodzi w program sterujący drukarką i tworzy zakłócenia, w wyniku czego drukarka zaczyna popełniać błędy. Pojawiają się wówczas jakieś przedziwne organiczne struktury, niby-pajęczyny, fraktale, a drukarka staje się bardziej kreatywnym narzędziem.

### Znika presja przewidywalności...

Tak, skutki tych wykreowanych, kontrolowanych błędów w jakimś stopniu można przewidzieć, ale nigdy do końca. Mamy różne propozycje prac: metalowe formy przestrzenne przeznaczone dla stoczni, inspirowane przeskalowanymi roślinami z dna Bałtyku, model słupa energetycznego, który nie jest modelem czysto technicznym, tylko nawiązuje do kontekstu miejsca, przyjmując odpowiednio postać zgeometryzowanego drzewa w sąsiedztwie terenów zielonych lub stylizowanej harfy w pobliżu Opery Bałtyckiej. Pracownia bierze udział w konkursach organizowanych przez inwestorów zewnętrznych. Firma, która budowała domy na Ołowiance nad Motławą, zaproponowała studentom ASP konkurs na ławkę. Wygrały studentki z naszej pracowni, które zaprojektowały zrealizowane później



siedziska nawiązujące formą do kawałków drewna wyprofilowanych i wyrzuconych przez morze. Dla innej firmy studenci zaprojektowali znaki identyfikujące budynki, które zastąpiły zburzone w trakcie II wojny światowej spichrze.

**Jest pan dziekanem Wydziału Rzeźby i Intermediów. Jak określi pan relacje między tymi dyscyplinami? Spotkałam się z opiniami, że intermedia powinny być prowadzone jako studia II stopnia, opierać się na umiejętnościach wyniesionych z artystycznych studiów licencjackich.**

Z naszych doświadczeń wynika coś innego: jeśli na drugi stopień intermediów przychodzą studenci z różnym bagażem doświadczeń, to dużo czasu się traci, żeby wyrównać poziom. A studia magisterskie uzupełniające trwają tylko dwa lata. Na intermediach I stopnia mamy do wyboru różne pracownie: jedna



jest bardziej filmowa, druga operuje performansem, trzecia koncentruje się na działaniach w przestrzeni społecznej. Można się więc ukierunkować. Na studiach II stopnia można wybrać pracownię, która koncentruje się na sztuce zaangażowanej, albo bardziej nastawioną na działania w obrębie medium filmowego. Po pierwszym roku licencjatu studenci wybierają, w którą stronę chcieliby iść. Oczywiście możliwe są przejścia między pracowniami.

**W kontekście pana twórczości narzucają mi się hasła „geometria” i „duchowość”. Wykonując rzeźbę dedykowaną Edycie Stein, wspominał pan o pewnym napięciu, które nastąpiło po zastosowaniu plotera. Przekształcenie gwiazdy Dawida w krzyż nie było czynnością oczywistą.**

Praca 12=12 wynikała z mojego odkrycia, że krzyż grecki i gwiazda Dawida mają taką samą liczbę boków, czyli 12. Pomyślałem, że w związku z tym te figury powinny móc się spotkać. Narzędzia odręczne nie dawały dobrej możliwości realizacji, więc zadanie zostało powierzone maszynie sterowanej cyfrowo, która miała wycinać kształty. Druć oporowy, przemieszczając się z jednej strony po kształcie krzyża, a z drugiej – gwiazdy, wyciął wypadkową, ale ona okazała się miejscami bardzo napięta, widać było, że figury są tak różne. Zaakceptowałem to jako sferę symboliczną pracy – napięcie i przełożenie.

**Ta symbolika ujawniała się więc stopniowo, w czasie wykonywania pracy.**

Tak, to było także doświadczenie użycia narzędzia cyfrowego do celów, w których trudno posłużyć się ręcznym warszatem. Natomiast później, na podstawie modelu, praca została ręcznie przekuta w granicie na plenerze w Strzegomiu.

**W pana wczesnych pracach pojawia się telewizor jako symbol kultury masowej, a jednocześnie pewien znak czasu.**

Jestem z pokolenia, które doczekało się telewizora prawie w każdym gospodarstwie domowym. Pamiętam, że telewizor oddziaływał na mnie jako silne medium, więc podjąłem się tego tematu w pracy dyplomowej. W okresie PRL-u religia była wypchnięta z oficjalnego przekazu, później nagle weszła w ten przekaz, zaczęto transmitować Mszę Świętą, powstawały programy religijne. Pojawiły się nowe dylematy: telewizja a religia. Mamy transmisję Mszy, a zaraz po niej reklamy – jak się

to wszystko komponuje? Później, w internecie, można już było znaleźć obok siebie najróżniejsze treści, ale wtedy próbowałem sobie to uporządkować w głowie. Gdy robiłem dyplom, w telewizji emitowano seanse z uzdrowicielami.

**Występował wówczas Kaszpirowski.**

Tak, pomyślałem wtedy: gdyby nagrać taśmę z tego wydarzenia, to uzyska się coś na kształt relikwii. Można sobie odtwarzać i uzdrawiać. Telewizor jako współczesny relikwiarz i nośnik różnych treści frapował mnie. Nie chciałem być w tej tematyce tylko krytyczny, zostawiałem znaki zapytania. Kiedyś nagrałem różne trailery, zapowiedzi filmów akcji z dużą ilością rozbłysków. Puściłem to wszystko w położonym poziomo telewizorze, zasypanym piramidą szkła. Efekty świetlne stworzyły rodzaj dziwnej kompozycji, której towarzyszył nieznośny, komercyjny przekaz. Istotna była dla mnie ta magiczna sfera telewizora, który jest przyciągającym obiektem przekazującym treści dość wątpliwej jakości.

**Obecnie w swojej twórczości nie odnosi się pan do bieżących wydarzeń. Czy rzeczywistość jest już zbyt rozproszona? Co teraz jest dla pana istotne?**

Myślę, że z wiekiem zacząłem skupiać się na rzeczach bardziej uniwersalnych, na takim porządku, którego każdy z nas podświadomie poszukuje. Szukam więc form, które by taką rzeczywistość idealną czy metafizyczną opisywały. Dlatego wszedłem w sferę geometrii, bo ona może nam pokazywać pewien porządek istniejący poza naszymi codziennymi zmaganiem, do którego chętnie się odnosimy, nawet podświadomie. Można tu przywołać platońską wizję idealnego świata, którego odbicie znajdujemy w różnych aspektach codzienności, ale który jest coraz bardziej zasłonięty przez warstwy kultury masowej i sprawy dnia codziennego. Z geometrią wiążą się liczby – przeliczam sobie proporcje różnych form. Interesuje mnie szczególnie czworościan foremny i jego różne wariacje, ta figura zdaje się łączyć chłodną geometrię idealną z porządkiem, który można przypisać naturze. To jest temat, który interesował mnie jeszcze przed studiami, a teraz powrócił.

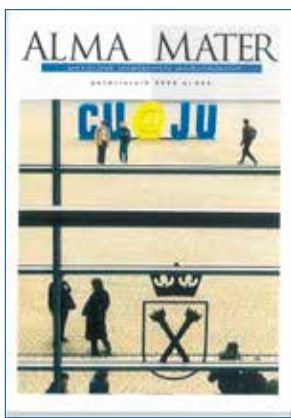
*Rozmawiała Krystyna Matuszewska*

*Zdjęcia pochodzą z archiwum artysty.*



### Nie samo miejsce czyni mistrza

Zapytany o kwestię miejsca uczelni w rankingu szkół wyższych, prof. dr hab. Jacek Popiel, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego odpowiedział: „Wielokrotnie już podkreślałem, że Uniwersytet nie pracuje po to, by odnieść sukces w rankingach, ale przede wszystkim ma osiągać cele wyznaczone w planach rozwoju”. W rozmowie z miesięcznikiem UJ „Alma Mater” (nr 244/2023) interlokutor uwypuklił jednocześnie rolę rankingów jako wartościowego źródła informacji na temat postrzegania uczelni zarówno w kraju, jak i z zagranicą. W obszernym wywiadzie znajdziemy ponadto wiele innych wątków, dotyczących chociażby prowadzonych badań, zainteresowania poszczególnymi kierunkami studiów, a także rekrutacją obcokrajowców czy kondycją finansową uczelni.



Interesujący jest fragment dotyczący oceny systemu bolońskiego. Zdaniem prof. Popiela najwyższy już czas, by dokonać rzetelnej analizy tego typu rozwiązania. W ocenie rozmówcy system jako generalny model studiów powinien pozostać, należałoby jednak rozszerzyć listę studiów jednolitych magisterskich. Tym, co on osobiście uznaje za warunek konieczny, jest wprowadzenie rozmowy kwalifikacyjnej na studia drugiego stopnia. Sama bowiem średnia ze studiów pierwszego stopnia nie powinna stanowić jedynego kryterium, stanowczo podkreśla rektor najstarszej polskiej uczelni.

### Zawsze warto być dobrze przygotowanym

Tematyce ryzyka i zarządzania nim w ramach uczelni poświęcony został tekst opublikowany w piśmie Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie „Forum Uczelniane” (nr 1/2023). Dowiadujemy się z niego, że jeśli chodzi o metody identyfikowania ryzyka, to w ZUT głównie wykorzystywane są trzy z nich. Mowa tu o analizie środowiskowej, analizie zagrożeń oraz scenariuszach zagrożeń. Na system zarządzania ryzykiem składa się natomiast sześć elementów. To w kolejności: ustalanie celów i zadań, identyfikacja ryzyka mającego wpływ na ich realizację, opisanie i ocena ryzyka, ustalenie działań mających na celu wyeliminowanie ryzyka lub jego ograniczenie do poziomu akceptowalnego. Listę zamyka wdrożenie tych działań, monitoring, ocena oraz doskonalenie systemu zarządzania ryzykiem.



Nie da się ukryć, i jest to rzeczą powszechnie wiadomą, że świat ulega ciągłym zmianom. W związku z tym faktem zarządzanie ryzykiem nie jest i z pewnością być nie może, jak napisano, pro-

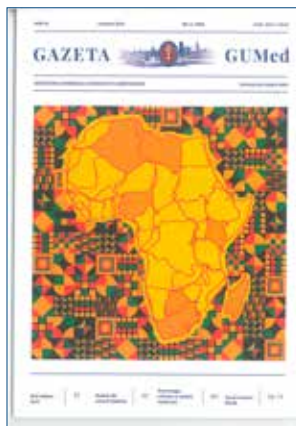
## Czytelnia czasopism

cesem skończonym. Należałoby raczej określić go jako stan ciągłej gotowości do podjęcia działań w razie wystąpienia zdarzenia „co do którego nie mamy 100% pewności”, czytamy. Monitorowanie ryzyka, podkreślono ponadto w artykule, nie powinno ograniczać się wyłącznie do działalności uczelni, optymalnie byłoby, gdyby obejmowało także jej otoczenie zewnętrzne, czyli np. określone warunki polityczne, ekonomiczne, legislacyjne czy społeczne. Generalnie chodzi o to, żeby na tyle dobrze się przygotować na pojawienie się różnorodnych ewentualności, by móc stawić im czoła. Do tego niezbędne jest posiadanie precyzyjnie rozpisanych procedur oraz dobrze opisanych ścieżek postępowania.

### Z duchem czasu

W powstającym właśnie w Gdańskim Uniwersytecie Medycznym Interdyscyplinarnym Pomorskim Centrum Medycyny Cyfrowej specjaliści pracować będą m.in. nad poprawą jakości oraz efektywności przeprowadzonych badań, informuje „Gazeta GUMed” (nr 11/2023). Dzięki nowo powołanej jednostce zwiększyć się ma liczba realizowanych badań, w tym tych w rodzaju niekomercyjnych klinicznych. Uruchomienie centrum finalnie ma doprowadzić do wzmocnienia pozycji uczelni jako partnera w projektach krajowych oraz międzynarodowych.

Dlaczego jednak postawiono na medycynę cyfrową? Otóż, jak wynika z tekstu, przy jej pomocy można poprawić opiekę zdrowotną, diagnostykę oraz leczenie chorób. Jej przewagą tkwi w możliwości usprawnienia zarządzania systemem opieki zdrowotnej, co realnie oznacza zarówno obniżenie kosztów, jak i uporanie się z problemem ustalania terminów wizyt lekarskich, czy wyznaczania zadań dla całego personelu medycznego. Sam termin, jak czytamy, jest pojęciem niezwykle szerokim, który w skrócie można zdefiniować jako „zastosowanie zaawansowanych technologii cyfrowych w medycynie i ochronie zdrowia”. Przez pojęcie owych technologii rozumie się z kolei „przetwarzanie dużych zbiorów danych medycznych, zaawansowane metody ich analizy,



uczenie maszynowe i sztuczną inteligencję, wykorzystywane w celu prowadzenia badań naukowych czy doskonalenia metod diagnostycznych”.

W medycynie cyfrowej znajduje swoje zastosowanie także tzw. internet rzeczy. Chodzi tutaj o sytuacje, w których trzeba połączyć różne urządzenia mające na celu monitorowanie i diagnozowanie pacjenta, jak chociażby smartwatche, ciśnieniomierze czy opaski fitness, a następnie udostępnienie otrzymanych danych za pomocą sieci. Nie można zapomnieć, że zastosowanie medycyny cyfrowej wymaga współpracy ze strony różnego rodzaju specjalistów, nie tylko lekarzy, ale także badaczy zajmujących się medycyną oraz genetyków, biologów czy inżynierów informatyków oraz matematyków i specjalistów z zakresu data science.

Aneta Zawadzka

Marek Misiak

# Tylko zwierzęta nie błędzą

Angielski Present Perfect nie jest czasem przeszłym w takim sensie, jak jest nim polski czy rosyjski czas przeszły. Nie można go zatem używać do opisywania np. procedur eksperymentalnych, które, po pierwsze, są już zamkniętą przeszłością, a po drugie, ma znaczenie, kiedy się odbyły i w jakiej sekwencji.

Tytuł tego tekstu to polska wersja tytułu filmu *Seules les bêtes* (Francja-Niemcy 2019, reż. Dominik Moll), ale sformułowanie to pierwotnie usłyszałem po niemiecku (Nur die Tiere verirren sich nicht) jako zachętę, by nie przejmować się, że nie mówi się w danym języku w stu procentach poprawnie i być może nigdy się tej sztuki nie osiągnie. Piszący te słowa jest tego dobrym przykładem. Od lat żyję ze znajomości języków obcych, ale ani po angielsku, ani po niemiecku nigdy nie zostaną wzięty za native speakera, a po tekstach, które w nich piszę, także widać, że dla ich autora dany język nie jest językiem ojczystym. Cały czas się uczę i (nie tylko ze względów zawodowych) utrzymuję wysokie standardy, ale właśnie – chodzi o wysoki poziom, a nie o dążenie do perfekcji, która jest, jak horyzont, linią urojoną, oddalająca się w miarę przybliżania się do niej. Dla naukowca-niefilologa angielski jest narzędziem umożliwiającym przedstawienie globalnej społeczności badaczy wyników, hipotez i innych ważnych treści w zrozumiałej, intersubiektywnej formie. Ważne jednak, by zrozumiałość nie stała się jedynym kryterium. Rozumienie czytanego tekstu (czyli to, co na egzaminach z angielskiego określane jest mianem reading comprehension) można mierzyć, ale subiektywne przekonanie o zrozumiałości wysyłanego w świat przekazu jest z mojego punktu widzenia poważnym problemem, gdyż odbiorcy mogą się w tej materii nie zgodzić z autorem. Poprawność językowa, czyli posługiwanie się literackim językiem angielskim (w odmianie brytyjskiej, amerykańskiej lub innej), jest po prostu bezpieczniejsze, bo wtedy część odpowiedzialności za zrozumiałość przenosimy na żywy język jako system rządzący się określonymi prawami.

Jasne jest, że jeśli jakiś język przejmuje na danym etapie rozwoju ludzkiej cywilizacji funkcję języka międzynarodowej komunikacji (lingua franca), to nie zawsze będzie w tej roli używany we wzorcowej formie. Różnica między greką koinè, łaciną, potem francuskim, a stosowanym w tym celu mniej więcej od czasów II wojny światowej angielskim polega jednak na tym, że do czasów relatywnie niedawnych (lata pięćdziesiąte-sześćdziesiąte) w komunikacji takiej uczestniczyli przede wszystkim ludzie gruntownie wykształceni i np. Francuz wyjeżdżający za granicę na przełomie XIX i XX wieku mógł w różnych częściach Europy usłyszeć francuski może niewolny od błędów, ale też nie radykalnie uproszczony. Demokracyzacja znajomości angielskiego w ostatnich kilkudziesięciu latach w połączeniu ze znaczącym wzrostem liczby zawodowych naukowców w ciągu

ostatnich trzydziestu lat zaczęły jednak rodzić pewne problemy. W 1989 roku Jean-Paul Nerrière zaproponował określenie Globish na uproszczoną odmianę angielskiego, często spotykaną zwłaszcza w nieformalnych kontaktach między osobami, dla których (tzn. dla żadnego z uczestników danej sytuacji komunikacyjnej) angielski nie jest językiem ojczystym. Koncepcja ta na gruncie języka Szekspira nie jest nowa. W 1930 roku brytyjski pisarz i lingwista Charles Kay Ogden przedstawił propozycję Basic English (skrótowiec od inicjałów angielskich wyrazów: British, American, scientific, international, commercial) obejmującego 850 podstawowych wyrazów o nieskomplikowanej budowie gramatycznej. Inne stosowane uproszczone wersje angielskiego to m.in. Simplified Technical English (początek lat osiemdziesiątych) i Voice of America Special English (używany od 1959 roku). Jednak opanowanie danej uproszczonej odmiany angielskiego też wymaga czasu i dyscypliny, a ponadto zasięg takiej standaryzacji w przypadku każdej z wymienionych odmian okazał się ostatecznie ograniczony. Także Globish, choć ma wielu zwolenników, wciąż pozostaje tylko projektem. Wernakularny Globish zaś każdy użytkownik tworzy (i upraszcza) według uznania, co moim zdaniem sprzyja raczej nieporozumieniom niż komunikacji.

## Dbać o autentyczną znajomość angielskiego

W mojej pracy stykam się z licznymi przykładami takich nieporozumień. Nie chcę zostać odebrany jako surowy krytyk, ale zdarza się, że otrzymuję od autorów z różnych krajów e-maile napisane w taki sposób, że naprawdę nie rozumiem, o czym jest mowa i czego się ode mnie w danej sytuacji oczekuje. Mętność (to chyba najlepsze określenie) takich komunikatów wynika najczęściej z dwóch problemów. Pierwszy jest mniejszego kalibru: autorzy wiadomości ekstensywnie korzystają z pomocy elektronicznych narzędzi tłumaczących, które (na tym etapie swego rozwoju) niekoniecznie podpowiadają jako pierwszy właściwy odpowiednik danego słowa. Jednak mając pojęcie, jaka jest ogólna tematyka komunikatu, można wstecznie dojść do słowa, o które chodziło (zwłaszcza że często nadawca i odbiorca posługują się tymi samymi narzędziami wspomagającymi). Drugi problem jest jednak poważniejszy: język to nie tylko jednostki (tj. wyrazy), ale także reguły ich łączenia. Jeśli autor komunikatu nie potrafi stworzyć spójnych, poprawnych gramatycznie i logicznie zdań, a narzędzia wspomagające go w tym nie wyręczą (ich możliwości są w tym obszarze wciąż

relatywnie ograniczone), to szansa na porozumienie się, w znaczeniu wyjaśnienia jakiejś konkretnej sprawy, są niewielkie.

Pracownicy nauki powinni zatem z jednej strony dbać o autentyczną znajomość angielskiego (i nie liczyć, że już teraz zastąpi ich w tym sztuczna inteligencja; co będzie w przyszłości, nie wiem), z drugiej zaś pamiętać, że: 1) nikt nie oczekuje od nich angielszczyzny na poziomie Daniela Craiga, od tego są redaktorzy tacy jak ja, żeby pomóc; 2) nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Są błędy, które można przewidzieć i ich unikać. Natomiast ludzie, którzy zwracanie uwagę na błędy (i te do uniknięcia, i te nieuniknione) wykorzystują do wywyższania się nad innych, dają świadectwo tylko i wyłącznie własnym kompleksom i ograniczeniom. Warto też pamiętać, że (o czym pisałem już na tych łamach) mnogość odmian regionalnych angielszczyzny nie powoduje wcale, że poprawność ma w tym języku mniejsze znaczenie, po prostu nie ma jednego metaforycznego centrum, jednej instytucji (jak Rada Języka Polskiego) lub jednego regionu geograficznego (jak Paryż dla języka francuskiego), które mogłyby stanowić niekwestionowany przez większość punkt odniesienia. W związku z tym może się zdarzyć (i byłem świadkiem takich sytuacji), że dwaj polscy badacze, obaj z dłuższą praktyką w USA, będą obstawać przy dwóch różnych rozwiązaniach tego samego problemu poprawnościowego. Czasem obaj mogą mieć stuprocentową rację, a czasem jeden z nich może preferować rozwiązanie wprawdzie spotkane w American English, nieznaną jednak poparcia w wydawnictwach poprawnościowych uważanych za autorytatywne w amerykańskim edytorstwie (najlepszym przykładem są kolejne wydania *Chicago Manual of Style*). Dlatego nie należy się zniechęcać ani (co jeszcze gorsze) popadać w skutkujący leseferyzmem relatywizm, ale szkolić się, na ile to możliwe. Sam tak robię i postępy widać gołym okiem.

Poniżej opisuję kilka usterek, które często napotykam w artykułach naukowych po angielsku. Ich unikanie pozwoli obserwować poprawić szatę językową nawet nieskomplikowanych tekstów. Przykłady, z racji że specjalizuję się w publikacjach medycznych, pochodzą z obszaru medycyny, ale opisane spostrzeżenia znajdują zastosowanie w każdej tematyce poruszanej w nauce.

Polscy językoznawcy, ale też zainteresowani poprawnością językową laicy-użytkownicy polszczyzny od lat zwracają uwagę na inwazyjność przyimka „dla”, stosowanego w konstrukcjach będących kalkami angielskich, gdzie poprawne jest „for”. Jednak również w samej angielszczyźnie upraszczanie jej przez nienatycznych użytkowników powoduje wypieranie jednych przyimków przez inne. Najlepszym tego przykładem jest „by” w znaczeniu „przy użyciu”, „przez”, „z zastosowaniem” itp. Kwestia ta nie jest – przynajmniej na obszarze amerykańskiej odmiany tego języka – rozstrzygnięta jednoznacznie, jednak wiele wydawnictw poprawnościowych skłania się ku tezie, że w takim zastosowaniu „by” może odnosić się do wykonawców czynności, ale nie do metod lub materialnych obiektów, za pomocą których zostały one wykonane. W pełni poprawne jest zatem sformułowanie „the genes were synthesized by XYZ Biotechnology”, jeśli jest to nazwa firmy, można bowiem założyć, że syntezę dokonali jej pracownicy. Natomiast zdanie „the proteins were detected by western blot” nie jest już w pełni poprawne stylistycznie (choć nadal w pełni zrozumiałe), w odniesieniu do metody „by” należałoby zastąpić „with” albo „using”. Jednak już zdanie „the bound antibodies are then detected by developing the film” jest poprawne także stylistycznie, gdyż „by” można zastosować do wskazania metody, jeśli po tym przyimku następuje nie nazwa metody (nazwa własna, czyli gramatycznie zwykły rzeczownik), ale rzeczownik odczasownikowy (Gerundium) albo imiesłów czynny (Present Participle). Może

się to wydawać bardzo skomplikowane, ale jeśli zapamiętamy, że chodzi po prostu o wyraz kończący się na „-ing” (osobowa forma czasownika w prawidłowo skonstruowanym angielskim zdaniu i tak nie może wystąpić w tym miejscu), powinno być znacznie prościej. Podkreślam: chodzi tu o poprawność czysto stylistyczną, ale jeśli chcemy posługiwać się English, a nie Glo-bish, to ten wymiar także jest istotny.

### O eksperymentach nie piszemy w Present Perfect

Inną częstą usterką stylistyczną jest traktowanie metod i urządzeń w opisach procedur badawczych i eksperymentalnych jak osób i łączenie ich z czasownikami w stronie czynnej. W wielu artykułach możemy zatem przeczytać, że „western blot detected the proteins in the serum”, podczas gdy prawidłowa wersja to raczej „the protein were detected using western blot”, względnie „western blot facilitated detecting the proteins/the detection of proteins”, jeśli zależy nam na wyeksponowaniu nazwy metody na początku zdania (czasownik „to facilitate” łączy się zarówno z rzeczownikami, jak i z gerundiami). Na ogół takie posługiwanie się stroną czynną nie zakłóci przekazu, ale jeśli popełnimy taki błąd, pisząc np. o osobach, na których wykonywano określone działania, może to spowodować niejasność co do tego, czy osoby te były biernymi, czy czynnymi uczestnikami danej procedury (a to już może mieć znaczenie).

Zdarzają się jednak różnice uważane często za stylistyczne, a w rzeczywistości znacznie głębsze. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dla wielu piszących po angielsku badaczy czasy Past Simple i Present Perfect są wymienne i mogą służyć po prostu do urozmaicenia tekstu. Tak nie jest. Po niemiecku faktycznie różnica między czasami Präteritum i Perfekt ma charakter czysto stylistyczny, ale wynika to z ich jednakowego znaczenia: pierwszy jest czasem przeszłym prostym, a drugi złożonym, ale oba są odpowiednikami angielskiego Past Simple (mimo nazwy – Perfekt – po niemiecku nie ma w ogóle odpowiednika angielskiego Present Perfect). Angielski Present Perfect nie jest czasem przeszłym w takim sensie, jak jest nim polski czy rosyjski czas przeszły albo niemieckie czasy przeszłe, służy przede do wska-



zywania związków między przeszłością a terażniejszością albo do mówienia o zdarzeniach z przeszłości bez określania, kiedy miały miejsce, a nie po prostu do mówienia o przeszłości, tyle że w innej formie gramatycznej. Nie można go zatem używać do opisywania np. procedur eksperymentalnych, które, po pierwsze, są już zamkniętą przeszłością, a po drugie, ma znaczenie, kiedy się odbyły i w jakiej sekwencji; do mówienia o żadnej z tych sytuacji czas Present Perfect nie służy. Mylące może być też to, że z kolei różniący się tylko formą czasownika posiłkowego („have done – had done”) czas Past Perfect jest faktycznie czasem przeszłym, a właściwie zaprzyszłym, czyli wskazującym, że wyrażana w nim czynność miała miejsce przed inną czynnością lub sytuacją w przeszłości (czas o takiej funkcji występował też do pewnego momentu w polszczyźnie: byłem zrobiłem). Nie znaczy to oczywiście, że trzeba wystrzegać się stosowania czasu Present Perfect, on też jest przydatny w tekstach naukowych, ale trzeba wiedzieć, do czego służy.

Doktor Bartosz Rydliński w artykule dla „Gazety Wyborczej” z 23 czerwca 2023 roku (*Narodowe Centrum Nauki jest niczym Instytut Pamięci Narodowej*) napisał, że „[n]ie każda badaczka czy badacz ma talent do nauki języków obcych, nie wszyscy wywodzą się z rodzin, które było stać na finansowanie prywatnej nauki języka od najmłodszych lat”. Tekst dr Rydlińskiego jest na zupełnie inny temat, ale w tym miejscu autor dotknął ważnej kwestii, do której regularnie powracam: nie, nie każdy naukowiec perfekcyjnie zna angielski. Nie każdy jest w stanie i moim zdaniem nikogo to nie dyskwalifikuje. Zamiast popadać w kompleksy, wystarczy krok po kroku poprawiać własne umiejętności językowe, m.in. poprzez unikanie błędów, które opisałem powyżej. Tylko zwierzęta nie błędzą, a każda zmiana na lepsze będzie zauważalna, będzie dawać satysfakcję, ale i zwiększać szansę na publikację prac danego badacza i skracać czas ich redagowania w czasopiśmie.



Rys. Sławomir Makal

\* ZERO ZERO SIEDEM - LICENCJA NA ZBIJANIE

# Współczesne stosunki polsko-ukraińskie

Relacje polsko-ukraińskie wymykają się łatwym analogiom. Niektórzy porównywali je do stosunków francusko-algierskich czy włosko-libijskich. Taka interpretacja jest tylko częściowo słuszna. Są autorzy oceniający polską ekspansję na wschód i późniejsze relacje pomiędzy polską arystokracją a rodzącym się narodem ukraińskim – przede wszystkim chłopstwem – jako przejaw kolonializmu.

Polska i Ukraina dysponują znaczącym potencjałem jako dwa największe państwa Europy Środkowej i Wschodniej: chodzi tutaj o położenie geopolityczne, powierzchnię, ludność czy atuty gospodarcze, nawet jeśli w przypadku Ukrainy ich efektywne wykorzystanie jest obecnie zależne od zwycięstwa nad Rosją. Oba państwa mają również komplementarne, a w istotnym stopniu wspólne interesy. Najważniejszą rolę odgrywa w tym kontekście zagrożenie ze strony Federacji Rosyjskiej. W sferze społeczno-gospodarczej oba państwa łączy obecność w Polsce co najmniej dwumilionowej grupy imigrantów i uchodźców z Ukrainy.

Relacje polsko-ukraińskie budzą zainteresowanie co najmniej z trzech powodów. Po pierwsze, z powodu zasadniczej ewolucji, jaką przeszły dwustronne stosunki obu państw. Symbolem trudnej przeszłości, którą w istotnym stopniu udało się przezwyciężyć, jest dramat wołyński w latach czterdziestych XX w.; wyznacznikiem zmiany, jaka zaszła, stała się teza o współczesnym braterstwie Polaków i Ukraińców głoszona przez przywódców obu państw. Relacje między Polską a Ukrainą to ciekawe studium przypadku z zakresu pojednania, pamięci zbiorowej i polityki historycznej. Po drugie, z powodu odmiennych modeli transformacji, jakie realizowano w obu krajach po upadku systemu komunistycznego. Po 1989 r. Polska skutecznie wprowadziła reformy demokratyczne i wolnorynkowe, co zaowocowało jej akcesją do NATO i Unii Europejskiej. Ukraina natomiast pozostała państwem peryferyjnym i słabym wewnątrznie o niejednoznacznie zdefiniowanych priorytetach w sferze polityki zagranicznej. Te różnice między oboma państwami sprawiają, że mimo ich podobnego potencjału dwustronne relacje mają asymetryczny charakter; przejawem tej asymetrii stała się w szczególności obecność w Polsce ponadmilionowej grupy imigrantów ekonomicznych z Ukrainy. Po trzecie, oba państwa muszą wspólnie stawić czoło Rosji. Ukraina padła w 2014 r. ofiarą rosyjskiej agresji (nielegalna aneksja Krymu, hybrydowa wojna w Donbasie), która osiem lat później przekształciła się w pełnoskalowy konflikt. Polska również obawia się zagrożenia ze strony Rosji, zarówno o charakterze pozami-

litarnym, jak i militarnym. Ten czynnik w zasadniczy sposób wpłynął na zbliżenie polsko-ukraińskie, zwłaszcza po 24 lutego 2022 r. Rosja dążyła w przeszłości do poróżnienia obu państw, ale jej działania przyniosły ograniczone efekty.

Stosunki polsko-ukraińskie przeszły w ciągu ostatnich czterech dekad długą drogę: od trudnego dziedzictwa przeszłości (wojny polsko-kozackie, walki o Lwów, rzeź wołyńska, akcja „Wisła”), poprzez historyczną decyzję o uznaniu przez Polskę jako pierwsze państwo na świecie niepodległości Ukrainy i „strategiczne partnerstwo” proklamowane w latach 90. XX w., aż po współpracę obu państw i społeczeństw w warunkach wojny z Rosją 2022 r. W dwustronnych relacjach, również w ciągu ostatniej dekady, zdarzały się trudne momenty, jak w latach 2015–2019, gdy spory historyczne doprowadziły w istotnym stopniu do paraliżu dwustronnej współpracy. Nowe problemy ujawniły się w 2023 r. (kryzys zbożowy). W długim okresie jednak trend w ciągu ostatnich 30 dekad jest jednoznaczny: oba państwa i narody są sobie coraz bliższe. Świadczą o tym dobitnie zarówno dokumenty polityczne, jak i badania opinii publicznej po jednej i drugiej stronie granicy.

## Brak łatwych analogii

Ta zmiana to zasługa w pierwszej kolejności polskich i ukraińskich elit jeszcze w okresie komunizmu (przede wszystkim „Kultury” i jej ukraińskich współpracowników, ale również innych środowisk, w tym „Solidarności” i kościołów rzymsko-oraz greckokatolickiego), przywódców obu państw (Kwaśniewskiego i Kuczmy, Kaczyńskiego i Juszczynki, Dudy i Zełenskigo), ale i społeczeństw polskiego i ukraińskiego. Polacy i Ukraińcy „wybrali przyszłość”. Inaczej niż w przypadku narodów Bałkanów Zachodnich, obu nacjom udało się po upadku komunizmu uniknąć krwawych waśni etnicznych. Sytuacja taka wynikała co najmniej z trzech powodów. Po pierwsze, demokratyzacja i suwerenność Polski nie odbywały się kosztem niepodległości Ukrainy i vice versa, nie przebiegały kosztem drugiego państwa, ponieważ oba wychodziły ze strefy wpływów państwa trzeciego – ZSRR. Po drugie, była to kwestia świadomo-

mego wyboru elit politycznych w Polsce i w Ukrainie; dla tych pierwszych priorytet stanowiła integracja z Zachodem, a dobre relacje z sąsiadami pozostawały jej istotną przesłanką, dla tych drugich najważniejsze było ułożenie relacji z Rosją i przetrwanie państwa ukraińskiego i będących u jego steru. Żadna ze stron nie widziała więc interesu w sporze polsko-ukraińskim, choć zdarzały się próby jego polityzacji, zwłaszcza w okresie 2015–2019. Po trzecie, pierwszoplanowe znaczenie, co najmniej od pomarańczowej rewolucji i wojny w Gruzji, a z pewnością w ciągu ostatniej dekady, miało poczucie wspólnych interesów wobec Rosji oraz narastające przekonanie o zagrożeniu z jej strony. Po czwarte, oba państwa odgrywały ważną rolę z perspektywy Zachodu, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, jako symbol walki o wolność: Polska w latach 80. i 90. XX wieku, a Ukraina współcześnie. Nieprzypadkowo pierwszym przedstawicielem Europy Środkowej, który wystąpił w amerykańskim Kongresie był, jeszcze jako przewodniczący „Solidarności”, Lech Wałęsa (1989 r.); do obu izb przemawiali również Wiktor Juszczenko (2005 r.), Petro Poroszenko (2014 r.) i Wołodymyr Zełenski (2022 r.).

Relacje polsko-ukraińskie wymykają się łatwym analogiom. Niektórzy porównywali je do stosunków francusko-algijskich czy włosko-libijskich. Taka interpretacja jest tylko częściowo słuszna. Są autorzy oceniający polską ekspansję na wschód i późniejsze relacje pomiędzy polską arystokracją a rodzącym się narodem ukraińskim – przede wszystkim chłopstwem – jako przejaw kolonializmu. Przez pryzmat postkolonialny można interpretować również polską nostalgię za dawnymi Kresami, współczesne zainteresowanie Polski tym regionem czy

masowy napływ do Polski ukraińskich imigrantów. Zarazem jednak należy wskazać na istotne różnice pomiędzy relacjami polsko-ukraińskimi a klasycznie rozumianym postkolonializmem: oba kraje są bliskie nie tylko pod względem geograficznym, lecz także kulturowym, Polacy i Ukraińcy przez długi czas wspólnie żyli na obecnych południowo-wschodnich ziemiach Polski i zachodnich obszarach Ukrainy, trudno byłoby zatem nakreślić na mapie bezdyskusyjną granicę pomiędzy „kolonizatorami” i „kolonizowanymi”. Podejście kolonialne wydaje się jeszcze mniej adekwatne po 24 lutego 2022 r., gdy Ukraina skutecznie podjęła walkę z rosyjskim imperializmem, a Polska przyjęła – przywołując określenie Andrzeja Dudy – „po bratersku” rzesze ukraińskich uchodźców.

### Nowa jakość w stosunkach polsko-ukraińskich

Inni wskazywali na analogie pomiędzy relacjami polsko-ukraińskimi a historią stosunków francusko-niemieckich po II wojnie światowej, a następnie stosunków niemiecko-polskich w latach 90. XX w. Odzyskanie przez Polskę suwerenności, rozpad bloku radzieckiego i niepodległość Ukrainy stworzyły podwaliny pod „strategiczne partnerstwo” obu państw. Prognozowano, że tak jak wspomniane państwa Polska i Ukraina skutecznie wcielią w życie scenariusz pojednania i współpracy. Amerykański politolog polskiego pochodzenia Zbigniew Brzeziński uważał, że ze względu na potencjał czterech państw Ukraina mogłaby się stać w przyszłości wspólnie z Polską, Niemcami i Francją częścią „rdzenia struktury bezpieczeństwa europejskiego”. Prognozy te długo wydawały się nierealistyczne. Istotną przeszkodą był w tym kontekście fakt,



Józef Piłsudski i Symon Petlura w Winnicy, 16.05.1920

że oba kraje obrały u progu lat 90. różne drogi rozwoju. Polska skutecznie przeprowadziła polityczną i gospodarczą transformację ku demokracji i wolnemu rynkowi, a na przełomie wieków przystąpiła do NATO i Unii Europejskiej. Ukraina nie była zdolna do wdrożenia zasadniczych reform, a jej zbliżeniu ze strukturami euroatlantyckimi przeciwna była Federacja Rosyjska; bez entuzjazmu odnosiły się do takiej perspektywy również państwa Europy Zachodniej, w szczególności Francja i Niemcy. Członkostwo w UE w istotnym stopniu definiuje politykę zagraniczną danego państwa, określa krąg jego najbliższych partnerów – pisał w 2009 r. ówczesny minister spraw zagranicznych RP Radosław Sikorski. Państwa członkowskie mają do swojej dyspozycji unijne instrumenty współpracy. W przypadku gdy jedno z nich, jak Ukraina, nie wchodzi w skład Unii, konieczny jest ciągły wysiłek obu stron, by współpraca bilateralna była kontynuowana. W tym kontekście nie dziwi fakt, że ważnym celem polityki Polski było zbliżenie Ukrainy do UE, choć oczekiwania w tym zakresie długo pozostawały nierealistyczne. Brak perspektywy członkostwa dla Ukrainy stanowił jedną z istotnych porażek dyplomacji zarówno polskiej, jak i ukraińskiej w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Rok 2022 dowiódł, że wspomniane wcześniej prognozy były w długim okresie trafne: Ukraina zyskała perspektywę członkostwa w UE, a współpraca polsko-ukraińska stała się kluczowym elementem zachodniego wsparcia dla tego kraju przeciwko rosyjskiej agresji.

Na tę nową jakość w polsko-ukraińskich stosunkach składa się poparcie polityczne i militarne Polski dla Ukrainy wobec pełnoskalowej napaści rosyjskiej, jej rola jako „hubu” dla zachodniej pomocy płynącej na Ukrainę, a także (a może przede wszystkim) obecność w Polsce licznej wspólnoty ukraińskiej, na którą składają się, obok tradycyjnie zamieszkałej tu mniejszości ukraińskiej, co najmniej milionowa społeczność ukraińskich imigrantów (którzy przyjechali do Polski przed 24 lutego 2022 r.) i równie liczna grupa ukraińskich uchodźców. To sytuacja z perspektywy Polski, tradycyjnego kraju emigracji i społeczeństwa quasi-monoetnicznego, nowa. Na początku pełnoskalowego konfliktu na Ukrainie prognozowano, że do Polski mogą napłynąć kolejne fale uchodźców. W obecnej chwili ten scenariusz wydaje się mniej prawdopodobny, niemniej należy sądzić, że nawet w razie pomyślnego dla Ukrainy zakończenia wojny Polska będzie nadal dla Ukraińców ważnym kierunkiem emigracji zarobkowej; pozostanie więc na trwałe państwem dwunarodowym i dwujęzycznym. W tym kontekście szczególnie ważne jest zadbanie o integrację ukraińskich imigrantów oraz uchodźców z polskim społeczeństwem.



## Ślusznosc aktywnej polityki wschodniej

W demokratycznej Polsce kilkakrotnie podejmowano dyskusję nad aktualnością dziedzictwa Jerzego Giedroycia i potrzebą czy możliwością prowadzenia aktywnej polityki wschodniej. Ważną rolę odegrał tutaj tekst Bartłomieja Sienkiewicza w „Tygodniku Powszechnym” z 2000 r., który uważał, że Polska nie ma możliwości wpływania na politykę w regionie i ulega złudzeniom związanym z zakresem transformacji w swoich wschodnich sąsiadach. Przemiany na Ukrainie – pomarańczowa rewolucja, rewolucja godności, a przede wszystkim opór, jaki stawia ona od 2022 r. Rosji – potwierdzają słusznosc aktywnej polityki wschodniej Polski, przynajmniej w odniesieniu do Ukrainy, polityki coraz ściślej skorelowanej z członkostwem Polski

w UE i dążeniem Ukrainy do tej organizacji.

Stosunki polsko-ukraińskie pełne są paradoksów. To Polska przez ostatnie trzy i pół dekady była bardziej sceptyczna wobec Rosji, przestrzegając przed zagrożeniem z jej strony; w ostateczności to Ukraina jednak – może właśnie dlatego, że długo zagrożenie ignorowała – padła ofiarą rosyjskiej agresji. Przez długi czas promowany przez Polskę europejski projekt dla Ukrainy wyglądał na nierealny, a sama idea rywalizacji Polski z Rosją na Ukrainie zdawała się mrzonką ze względu na odmienny potencjał obu rywali. W ostateczności jednak Ukraińcy wybrali właśnie Europę, a nie „rosyjski świat”, choć płacą za to straszliwą cenę. Jeszcze kilka lat temu hasło „Sława Ukraini” jawiło się w Polsce jako „nacjonalistyczne”, ponieważ używała go m.in. UPA. Dziś, jako oficjalne pozdrowienie ukraińskiej armii, stało się w Polsce jednym z symboli (często w spolszczonej wersji „Chwała Ukrainie”) solidarności ze wschodnimi sąsiadami.

Niezależnie od potencjalnych wyzwań (wspomniany już kryzys zbożowy), należy sądzić, że w długim okresie Polska i Ukraina pozostaną na trwałe ważnymi wzajemnymi partnerami w poszerzonej, choć dalekiej od stabilności Europie. Charakter ich wzajemnych relacji ulegnie zmianie, a wspomniana asymetria – ograniczeniu. Polska będzie nadal krajem bogatszym, bardziej stabilnym, ale to Ukraina (jak Republika Federalna Niemiec w czasie zimnej wojny) będzie z perspektywy Zachodu, jako kraj frontowy, graniczny, odgrywać najważniejszą rolę w konfrontacji z Rosją.

Artykuł nawiązuje do monografii autora: *Współczesne stosunki polsko-ukraińskie*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2023.

Dr hab. Andrzej Szeptycki, prof. UW, Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego

Agnieszka Kijewska

# Odyseja Jana Szkota Eriugeny

Kiedy zastanawiałam się nad tym, jaka jest centralna a zarazem najbardziej oryginalna myśl Jana Szkota, to uznałam, bez większego wahania, że jest to jego nauka o powrocie: powrocie natury ludzkiej i powrocie całej rzeczywistości do ich źródła. Stąd wziął się tytuł monografii. Powrót całej rzeczywistości stworzonej do jej pierwotnego źródła ma się dokonać przez człowieka i „w człowieku”, gdyż to człowiek jest aktywnym ogniwem w dziele stworzenia.

Dawno, dawno temu, bo w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, gdy po zakończeniu studiów filozoficznych poszukiwałam tematu pracy doktorskiej, mój ówczesny promotor i mistrz ks. prof. Marian Kurdziałek skonstruował: „Warto terminować u wielkich filozofów” i podsunął mi biuletyn SPES-u (Society for the Promotion of Eriugenian Studies <https://eriugenaspes.org/>). Zaintrygowało mnie to szacowne towarzystwo naukowe skupiające badaczy zajmujących się myślą odległego autora, należącego do okresu zwanego potocznie „wiekami ciemnymi”. Filozofię Jana Szkota Eriugeny znałam dość pobieżnie z ogólnego kursu historii filozofii czy z wykładów monograficznych ks. Kurdziałka. Eriugena był dla mnie przede wszystkim tłumaczem pism Pseudo-Dionizego Areopagity, którym się wówczas zajmowałam. Wstępna kwerenda biblioteczna także nie przyniosła zachęcających rezultatów: pierwszy tom krytycznego dublińskiego wydania Szkotowego *Periphyseonu* z 1968 roku gdzieś zniknął z podręcznej biblioteki, tak że tekst podstawowego dzieła Eriugeny był dostępny jedynie w niekrytycznym wydaniu w *Patrologii* Migne’a. Niemniej to już było coś!

Poszłam zatem za sugestią swego promotora i po latach muszę przyznać, że zainicjowała ona jedną z największych przygód intelektualnych w moim życiu. Ks. Kurdziałek był zresztą niezwykle mistrzem, takim, który nie tylko potrafił wskazać właściwą drogę badawczą, ale i odpowiednio do niej środki. Kontakt ze SPES-em, którego biuletyn mi wręczył, zaowocował informacjami o prowadzonych na świecie badaniach i o niezbędnej literaturze, a przede wszystkim umożliwił udział w konferencjach naukowych organizowanych przez badaczy myśli Eriugeny. W ten sposób miałam okazję poznać wielu niezwykle uczonych, ale wspomnę tu tylko o jednym z nich, o ojcu profesorze Édouardzie Jeauneau (1924-2019).

W mojej opinii Jeauneau był jednym z tych mediewistów, którzy – jak Étienne Gilson, którego był następcą w Pontifical Institute of Medieval Studies w Toronto – kładli podwaliny pod współczesną mediewistykę. Nie da się przecenić jego roli i znaczenia dla studiów mediewistycznych, zwłaszcza w zakresie prac nad edycjami krytycznymi tekstów. W tej dziedzinie

tworzył on nowe standardy. W roku 1969 w serii Sources Chrétiennes ukazała się jego edycja Szkotowej *Homilii do Prologu Ewangelii Jana* wraz z jej francuskim tłumaczeniem. W roku 1972 w tej samej kolekcji opublikowano *Komentarz do Ewangelii Jana* Eriugeny. Od tych niezwykle pięknych tekstów rozpoczęłam swoją pracę translatorską, publikując w roku 2000 w Wydawnictwie Marka Derewieckiego w Kętach polskie tłumaczenie *Homilii* oraz *Komentarza* (II wydanie: Altaya – Warszawa 2003; III: Hachette – Warszawa 2010).

Edouard Jeauneau kontynuował swoje prace nad edycją pism Eriugeny, a ich efektem było wydanie krytyczne w roku 1996 pierwszego tomu Szkotowego *Periphyseonu*, bardziej znanego pod niewłaściwym tytułem *De divisione naturae*, w kolekcji Corpus Christianorum Continuatio Mediaevalis w Wydawnictwie Brepols. W tym też roku ukazało się studium przygotowane przez Jeauneau i Paula Duttona (*The Autograph of Eriugena*) na temat rękopisu z 875 r. z Biblioteki Miejskiej w Reims zawierającego tekst *Periphyseonu* z adnotacjami poczynionymi najprawdopodobniej ręką samego Eriugeny! Druga, „irlandzka ręką” z tego rękopisu należała do ucznia Eriugeny, który pełnił funkcję kopisty i „cenzora”. Z tego względu Jeauneau określił go mianem Nisifortinus od słów „nisi forte quis dixerit”... (jak gdyby ktoś chciał rzec...). Tymi słowami uczeń – wprowadzając stosowne objaśnienia – łagodził tekst Jana Szkota, aby był on mniej szokujący dla łacińskiego odbiorcy nienawykłego do skomplikowanych meandrów myślenia Ojców Greckich.

Następne tomy krytycznego wydania *Periphyseonu* ukazywały się kolejno w latach 1997, 1999, 2000, a ostatni, piąty tom został opublikowany w Corpus Christianorum w roku 2003. W roku 2008 w tej samej kolekcji Jeauneau opublikował nowe wydanie Szkotowej *Homilii* i *Komentarza do Ewangelii Jana*.

## Postępować lepiej

Jeśli chodzi o polskie tłumaczenie tekstów Jana Szkota, to w roku 2009 opublikowałam w serii „Ad Fontes” w Kętach tłumaczenie pierwszej księgi *Periphyseonu*, rok później ukazał się przekład księgi drugiej i trzeciej, a w roku 2012 czwar-

tej. Dopiero w roku 2023 w ramach grantu NPRH udało mi się opublikować przekład księgi piątej, dopełniając w ten sposób tłumaczenie całości tego fundamentalnego dzieła Eriugeny. W związku z tym narodziła się nowa idea, aby zebrać również w formie książkowej wszystko to, co do tej pory napisałam na temat Jana Szkota i tak powstała *Metafizyczna odyseja. Filozofia Jana Szkota Eriugeny* (Wydawnictwo Derewiecki, Kęty 2023).

Książka nie jest zwykłym zbiorem dawnych tekstów, ale formą ponownego ich opracowania, uzupełnienia czy poprawienia, tak jak sugerował to św. Augustyn w *Prologu* do swoich *Sprostowań*. „Dlatego też ci – pisał – którzy te pisma będą czytać, niech nie naśludują moich błędów, ale raczej niechaj mnie naśludują, kiedy postępowałem lepiej” (tłum. J. Sulowski, Warszawa 1979). W książce starałam się zatem „postępować lepiej” i przedstawić syntezę najnowszych badań nad filozofią Eriugeny oraz przegląd najważniejszych tendencji interpretujących jego myśl, opracowując w ich świetle moje wcześniejsze ujęcia.

Kiedy zastanawiałam się nad tym, jaka jest centralna a zarazem najbardziej oryginalna myśl Jana Szkota, to uznałam, bez większego wahania, że jest to jego nauka o powrocie: powrocie natury ludzkiej i powrocie całej rzeczywistości do ich źródła. Stąd wziął się tytuł monografii. W systemach neoplatonickich, starających się opisać metafizyczną strukturę rzeczywistości za pomocą różnych triad pojęć, nauka o powrocie jest koniecznym dopełnieniem cyklu, na który się składają: trwanie (mone), wylew (proodos) i powrót (epistrophe). Eriugena dokonał wielu istotnych modyfikacji tego nauczania pod wpływem swoich lektur, głównie dzieł Ojców Greckich (św. Grzegorza z Nyssy, Maksyma Wyznawcy i Pseudo-Dionizego Areopagity), nadając doktrynie powrotu charakter wybitnie antropocentryczny. Powrót całej rzeczywistości stworzonej do jej pierwotnego źródła ma się dokonać przez człowieka i „w człowieku”, gdyż to człowiek jest aktywnym ogniwem w dziele stworzenia. Eriugena traktuje człowieka jako „warsztat wszystkich rzeczy” (*officina omnium*),



Jan Szkot Eriugena

Zdjęcie: Wikipedia

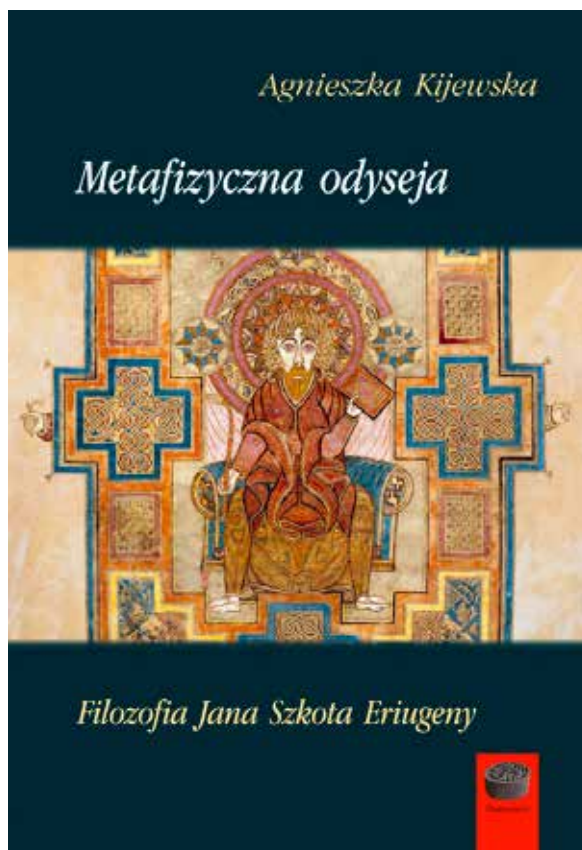
w którym „wykuwana” jest całość powoływanej do bytu stworzenia. W ludzkim umyśle, który został określony mianem raju, Bóg ustanowił idee wszystkiego, czyniąc tym samym człowieka „drugim twórcą”, co w opowieści biblijnej wyrażał akt Adamowego nadawania wszystkim rzeczom nazw. Nadanie nazwy dokonuje się w oparciu o definicję danej rzeczy (łac. *diffinire*), a zatem poznawcza aktywność człowieka konstryuuje w pewien sposób rzeczywistość stworzoną, przydzielając każdej rzeczy – za sprawą definicji – właściwe jej miejsce i granice. Jedynym bytem, którego definicji Adam nie może podać, jest on sam, gdyż pojęcie człowieka zostało odwiecznie utworzone w Umyśle Boga i ta niepoznawalność bytu ludzkiego stanowi wyraźny znak jego podobieństwa do Stwórcy. Jan Szkot nazywa bowiem Boga „Nicością z racji wzniosłości” (*Nihil per excellentiam*) i twierdzi, że Bóg „nie zna” siebie, gdyż – jako absolutnie nieskończony – nie może zakreślić sobie samemu granic w definicji.

### Dramat powrotu stworzenia do Stwórcy

Dopiero w kontekście tak zarysowanej doktryny stworzenia wszystkich rzeczy można rozpatrywać zaproponowany przez Eriugena czwórpodział natury, który jest najbardziej znanym i przeważnie źle interpretowanym elementem jego nauczania. Samo pojęcie natury, które w systemie Jana Szkota stanowi najbardziej ogólną kategorię, w jakiej ujmowana jest rzeczywistość, zaczerpnął on z myśli Boecjusza. Natura obejmuje to, co jest i to, co nie jest, a za to, co jest należy uznać to, co jest dostępne ludzkiemu intelektowi lub zmysłom; a w konsekwencji, za to, co nie jest, należy przyjąć to, co się temu ujęciu wymyka. W tej epistemologicznej perspektywie trzeba rozpatrywać dalszy czwórpodział natury, który dokonuje się ze względu na rozróżnienie stwarzać/być stworzonym. O tym, że ten podział natury dokonuje się w ścisłej relacji do ludzkich możliwości poznawczych, może świadczyć fakt, że natura pierwsza, niestworzona i stwarzająca, oraz natura czwarta, niestworzona i niestwarzająca, opisują tę samą Bożą rzeczywistość. Natura pierwsza to Bóg ujęty jako przyczyna wszystkiego, natura czwarta to Bóg rozpatrywany jako kres procesu powrotu. Między tymi dwoma kątami „kwadratu natury” dokonuje się cały dramat upadku i powrotu stworzenia do Stwórcy, a pośrednikiem tego procesu jest człowiek.

Filozofia Eriugeny nosi zatem znamiona wyraźnie idealistyczne, a punktem wyjścia jego systemu jest *Cogito* – „myślące ja” konstryuuujące dostępną poznaniu rzeczywistość: „*saepe mihi cogitanti... cogito me esse*”. Przez pryzmat tego nauczania należy także odczytywać Szkotową doktrynę powrotu. Człowiek, przyswajając poznawczo rzeczywistość stworzoną przez odczytywanie księgi Pisma i księgi Natury, wznosi się ku kontemplacji Stwórcy, czyli powraca do raju. Według Eriugeny raj nie jest żadnym miejscem ani stanem, który kiedyś zaistniał, ale jest doskonałą naturą ludzką „streszczoną” w najdoskonalszej władzy człowieka – w intelekcie. Granice intelektu są granicami raju, powrót do raju jest procesem stopniowego zwijania się natury ludzkiej w intelekcie, a zatem raj jest raczej stanem „do osiągnięcia”, a nie stanem, który kiedyś już był. W opinii Eriugeny wszyscy ludzie powrócą do raju, jednak nie wszyscy będą jeść owoce z Drzewa Życia. Pod tym metaforycznym określeniem Eriugena rozumie możliwość jednoczącego oglądu Boga. Ci, którzy nie zaopatrzyli się w „oliwę dobrych czynów i poznania”, odzyskają doskonałość władzy intelektualnego oglądu, czyli powrócą do raju, ale zostaną odsunięci od przebóstwiającej kontemplacji Prawdy, którą jest Chrystus – Drzewo Życia zasadzone pośrodku raju natury ludzkiej.

Pomimo potępienia Szkotowego *Periphyseonu* w roku 1225 przez papieża Honoriusza III, co jest pośrednim świadectwem



receptji tego dzieła, znalazło ono wielu czytelników zarówno w wiekach średnich, jak i w czasach późniejszych. Czasem szczególnej receptji twórczości Eriugeny, także tej translatorskiej, był wiek XII. Jego teksty i przekłady czytali Wiktorini, cystersi, przedstawiciele szkoły w Chartres, a w wieku XIII/XIV znali je Rajmund Lullus czy Mistrz Eckhart. Szczególnie gorliwym czytelnikiem *Periphyseonu* był w wieku XV Mikołaj z Kuzy, który swój egzemplarz tego dzieła zaopatrywał specjalnym adnotacjami. Pisma Eriugeny zostały na nowo „odkryte” przez idealizm niemiecki, a Georg W.F. Hegel w swoich wykładach z historii filozofii uznał Eriugena za początkodawcę „prawdziwej filozofii”, tej, której fundamentem są idee neoplatoników i która syntetyzuje element teologiczny z filozoficznym. Leszek Kołakowski w *Głównych nurtach marksizmu* przedstawił dzieło Eriugeny jako prototyp Heglowskiej *Fenomenologii ducha*.

Także współcześnie wielu autorów pochyła się nad myślą Jana Szkota. Dermot Moran śledzi ukryte wpływy Eriugeny na tradycję fenomenologiczną. Jean-Luc Marion, zafascynowany Szkotowym apofatyzmem, widzi w jego koncepcji teofanii daleko idące analogie ze swoją fenomenologią donacji. Joke Schakenraad, prowadząc badania nad językiem dyskursu religijnego i relacjami pomiędzy logiką a mistyką, poddaje porównawczej analizie *Traktat logiczno-filozoficzny* Ludwiga Wittgensteina oraz *Periphyseon* Eriugeny. A zatem i dzisiaj teksty odległego w czasie autora tworzącego w dobie średniowiecza mogą wciąż fascynować i stanowić prawdziwe wyzwanie dla filozoficznego myślenia.

Artykuł promuje książkę autorki:  
*Metafizyczna odyseja. Filozofia Jana Szkota Eriugeny*, Kęty 2023.

Prof. dr hab. Agnieszka Kijewska, Katedra Historii Filozofii Starożytnej i Średniowiecznej,  
Wydział Filozofii, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II w Lublinie

# Niezwykłe historie akademickich gmachów

Czy pochodziły z donacji, czy budowano je specjalnie na potrzeby uczelni? Czy w polskim systemie szkolnictwa wyższego możemy się pochwalić jakimiś obiektami o szczególnie ciekawej historii? Zaczęłam poszukiwania według klucza chronologicznego.

Uczelnia to przede wszystkim ludzie – wspólnota magistrorum et scholarium. Czasem określa się ją mianem „matki” (Alma Mater), co wskazuje także na aspekt wychowawczy w podejmowaniu studiów i emocjonalne zaangażowanie. Jednak, choćby nie wiem jak bardzo skupiać się na ideale nauki i wspólnoty, uczelnia potrzebuje także fizycznego zaplecza. Mówiąc w uproszczeniu: dachu nad myślącymi głowami. Używa się sformułowania „mury uczelni”. Nauka w tym kontekście jawi się jako twierdza nie do zdobycia albo warownia dla tych, którzy już jakieś cegiełki do jej gmachu dołożyli. Uczelnie raczej nie wyglądają jak zamki obronne (już częściej zdarzają się pałace). Pomijając jednak te konotacje, chciałabym w tym miejscu zastanowić się nad owymi „murami”, a nie tym, co się za nimi skrywa. Jaka była ich historia? Skąd się brały? Czy pochodziły z donacji, czy budowano je specjalnie na potrzeby uczelni? Czy w polskim systemie szkolnictwa wyższego możemy się pochwalić jakimiś obiektami o szczególnie ciekawej historii? Zaczęłam poszukiwania według klucza chronologicznego.

## Akademia w kamienicy

Zacznijmy od Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego, ponieważ to najstarszy element infrastruktury pierwszej polskiej uczelni. Collegium powstało, gdy w 1400 roku król Władysław Jagiełło podarował uczelni kamienicę kupioną od ławnika krakowskiego Piotra Gerhardsdorfa. Szybko się okazało, że jest ona za ciasna na potrzeby tworzącego się uniwersytetu, dlatego była kilka razy przebudowywana i modyfikowana. Jej najdawniejsze ślady zachowały się w narożniku obecnego budynku Collegium od strony ul. Jagiellońskiej. Przez kolejne 100 lat budynek ulegał kolejnym przebudowom. Zwiększenie powierzchni uzyskano poprzez zakup sąsiednich domów. Większość zabudowań sponęła pod koniec XV wieku, ale odbudowano je, tworząc bardziej przemyślaną całość. Między innymi z tego czasu pochodzą charakterystyczne krużganki. Na parterze znajdowały się sale wykładowe, raczej ciemne i wilgotne. Na pierwszym piętrze była biblioteka, Izba Wspólna profesorów (Stuba Communis), skarbiec oraz lektorium teologów (obecnie Aula). W Collegium znajdowały się także mieszkania profesorów. Do połowy XIX wieku układ wewnętrzny nie ulegał większym zmianom. W latach 1840-1870 zaadaptowano Collegium na bibliotekę i dodano neogotyckie elementy. Po II wojnie światowej z inicjatywy Karola Estreichera przywrócono oryginalny wygląd Collegium. Od tego czasu mieści się tam Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie gromadzone są pamiątki związane z uczelnią, dzieła sztuki i instrumenty naukowe.

W bogatym katalogu budynków użytkowanych przez uczelnie można znaleźć także tak stare albo nawet nieco starsze jak wspomniany budynek Muzeum UJ. Przykładem niech będzie średniowieczna baszta o wdzięcznej nazwie „Koci Łeb” wykorzystywana przez polonistów a później psychologów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zbudowana około XIV wieku była częścią murów obronnych miasta. Nie powstała z myślą o żadnej szkole czy uczelni. Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu założono dopiero po II wojnie światowej. Zatem można powiedzieć, że w infrastrukturach wspólnych uczelni zdarzają się obiekty wiekowe jak Collegium



Fot. Stefan Ciechan

Collegium Maius UJ

Maius, ale bierze się to z przejmowania przez uczelnie obiektów, które wcześniej pełniły inne funkcje.

### Szkola po/w szkole

Aula Leopoldyńska to najprawdopodobniej najbardziej ozdobne wnętrze, jakim dysponują polskie szkoły wyższe. Znajduje się na pierwszym piętrze gmachu głównego Uniwersytetu Wrocławskiego przy Placu Uniwersyteckim. Sam budynek z zewnątrz prezentuje się okazale. Kiedyś mieściło się tam kolegium jezuickie. Ma dwa piętra, kwadratową wieżę w centralnym miejscu nad głównym wejściem, zdobioną rzeźbami duży balkon i efektowną bramę wejściową. Wnętrze samej auli jest utrzymane w stylu barokowym. Pochodzi z pierwszej połowy XVIII wieku, a nazwa wzięła się od imienia fundatora, cesarza Leopolda I, który założył niemiecki uniwersytet we Wrocławiu w 1702 roku. W auli znajdują się kolorowe freski, rzeźby i ornamenty, które mają tworzyć harmonijną całość. Jest miejsce dla audytorium, podium i chór.

Od początku pomieszczenie było pomyślane jako reprezentacyjna sala uczelni. W centralnym miejscu auli, czyli za podium, znajduje się kilka rzeźb: cesarz Leopold I i jego synowie Józef I i Karol VI, figura uosabiająca mądrość (starzec z lustrem), kobieta z ułem (symbolizująca zapobiegliwość), kobieta z włosami w nieładzie (personifikacja waśni) i młodzieniec z uszami jak u osła (reprezentujący głupotę). Na suficie znajduje się fresk przedstawiający poświęcenie uczelni Matce Boskiej. We wnękach okiennych umieszczono wizerunki różnych uczonych od starożytności po nowoczesność. Na ścianach wiszą także portrety osób zasłużonych dla zakonu jezuitów. Przy ścianach stoją łóżka profesorskie. Wejście do auli jest także ozdobne. Podium chóru zdobią alegoria Śląska, Odry i Wrocławia. Aula Leopoldina miała to szczęście, że nie ucierpiała w wojnach. W ostatnich latach przeszła gruntowny remont i obecnie jest częścią muzeum uczelnianego. Nadal bywa wykorzystywana do uroczystości uniwersyteckich, np. immatrykulacji.

### Uniwersytet w teatrze

Jeśli mielibyśmy uwzględnić wiek uczelni, powinniśmy teraz wspomnieć co nieco o budynkach Akademii Muzycz-



Pałac Kazimierzowski UW

Fot. Stefan Ciechan

nej w Warszawie (obecnie: Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina), którą założono w 1810 roku jako Szkołę Dramatyczną. Sęk w tym, że obecny gmach uczelni nie ma nic wspólnego z jego pierwszą siedzibą, ponieważ szkoła została początkowo uruchomiona w... Teatrze Narodowym. Sam teatr też początkowo nie miał stałego miejsca. Często zmieniał siedzibę. Od 1779 roku funkcjonował w oddzielnym gmachu przy Pałacu Krasińskich. Obecnie znajduje się tam gmach Sądu Najwyższego. W tym miejscu Teatr Narodowy był ulokowany przez pięćdziesiąt lat, a więc także w 1810 roku, w momencie powstania szkoły. Kształcenie muzyczne znalaz-



Aula Leopoldyńska UW

Fot. Stefan Ciechan

zło miejsce w teatrze dzięki przychylności dyrektora Wojciecha Bogusławskiego.

Obecny budynek Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina znajduje się przy ulicy Okólnik i jest przykładem zabudowy modernistycznej, ponoć jednym z ciekawszych w całej Europie. Powstał w latach 60. XX wieku, a w 2019 r. został wpisany do rejestru zabytków. Mimo że dokonywano modernizacji w latach 80. i 90. XX wieku oraz w dekadach ostatnich, pierwotny zamysł architektów jest nadal widoczny. Według projektantów gmachu budynek miał łączyć funkcje uczelni i przestrzeni koncertowej. W sumie sal koncertowych i operowych jest kilka, a w piwnicy budynku znajduje się nawet studio nagraniowe. Z zewnątrz budynek jest obudowany jasnym kamieniem. Ma tylko jedno piętro, a więc ciągnie się wzdłuż ulicy. W pamięć zapada wystająca, pozbawiona okien bryła o prostokątnym kształcie, która znajduje się nad głównym wejściem.

### Uniwersytet w pałacu króla

Pałac Kazimierzowski, bo o nim mowa, to obecnie rektorat Uniwersytetu Warszawskiego i jednocześnie gmach o najdłuższej historii. Jego losy są zawile, jak samej uczelni i stolicy. Pierwsza zabudowa pałacowa stanęła w miejscu rektoratu już w XVI wieku jako letnia rezydencja Władysława IV, tzw. Villa Regia. Król chętnie w niej przebywał. Powstała w stylu renesansowym z dziedzińcami i ogrodami, w których można było znaleźć nawet lwy i tygrysy. Następny władca Jan Kazimierz przebudował rezydencję i po dziś dzień nosi ona jego imię.

W XVII wieku pałac zniszczyli Szwedzi, ale szybko go odbudowano. Potem właścicielem był Jan III Sobieski, ale nie podzielał zachwyty poprzedników nad pałacem. Rzadko w nim zresztą przebywał. Budynek spłonął w 1695 roku i przez długi czas pozostawał w postaci okopconych ruin. Pałac odbudował hrabia Aleksander Józef Sułkowski w stylu późnego baroku. W latach 60. XVIII wieku Stanisław August Poniatowski zainicjował adaptację budynku na potrzeby Szkoły Rycerskiej. Obok pałacu pojawiły się też budynki koszarowe. Jednak spłonęły na początku XIX wieku. W 1816 roku, po wcześniejszej rozbudowie (dobudowa skrzydeł), pałac stał się siedzibą Szkoły Głównej, przekształconej potem w Uniwersytet Warszawski.

W latach 20. XIX wieku budynek przeszedł kolejną renowację, tym razem w stylu klasycystycznym. Front budynku ozdobiono portykiem i kolumnami. Na portyku znalazła się płaskorzeźba Apolla w otoczeniu muz Poezji i Astronomii. W kolejnych latach powstawały budynki wokół pałacu i charakterystyczna brama wjazdowa. Zaczęło się wykształcać coś w rodzaju kampusu. Podczas II wojny światowej Pałac Kazimierzowski mocno ucierpiał i to dwukrotnie – w kampanii wrzesniowej i w czasie powstania warszawskiego. Po raz kolejny jednak został odbudowany i służy jako rektorat Uniwersytetu Warszawskiego do dziś.

### Uczelnia w lazarecie

Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II (kiedyś po prostu Katolicki Uniwersytet Lubelski) powstał w 1918 roku jako prywatna uczelnia kościelna. Niedługo potem otrzymał swój gmach główny, którego historia sięga początku XIX wieku. Został zbudowany jako koszary dla wojsk, głównie strzelców i piechoty. W gmachu mieściły się biura komisariatu wojskowego. Pierwotnie otaczały je liczne budynki typu gospodarczego: szopy, stajnie, magazyny. Wojska wykorzystywały go aż do I wojny światowej. W 1915 roku rząd rosyjski zdecydował o utworzeniu lazaretu w tym miejscu. Austriacy utrzymali w gmachu szpital. Także Polacy po odzyskaniu przez Polskę niepodległości prowadzili tam początkowo szpital zakaźny. Potem budynek przekazano nowemu uniwersytetowi. Od tego czasu określa się go mianem Gmachu Głównego i pozostaje własnością KUL-u.

Budynek zbudowano na planie kwadratu. W środku jest dziedziniec. Charakterystyczne półokrągłe okna powtarzają się przez dwa piętra (nie licząc parteru). Spacerując korytarzami uczelni, ma się wrażenie, że znajdujemy się w krużgankach kościelnych. Wzdłuż okien ciągnie się bowiem korytarz, a pomieszczenia zaczynają się dalej. Korytarz ten sprzyja spacerom i rozmowom. Podobnie jak wewnętrzny dziedziniec. Być może budynek nie powstał z myślą o uczonych i studentach, ale świetnie spełnia swoją funkcję. Szczęśliwie podczas II wojny nie ucierpiał. Niemcy zrobili tam szpital. KUL był pierwszą uczelnią, która wznowiła działalność po wojnie. Stało się to już w sierpniu 1944 roku. Do Lublina przyjechało wtedy wielu

profesorów z utraconych ziem wschodnich i znaczna ich część znalazła tu nowe miejsce pracy i dom.

\*\*\*

Na podstawie tych kilku zaledwie przykładów widać, że nie ma jednego stałego sposobu zdobywania przez uczelnię budynków. Niektóre były budowane celowo, inne przystosowywane do potrzeb, choć pełniły wcześniej inne funkcje. Wiele z nich to zabytki, choć nie brakuje też obiektów budowanych w ostatnich latach. Nie ma też reguły co do lokalizacji. Niektóre obiekty położone są w centrach miast, inne na obrzeżach. Z pewnością ile uczelni, tyle ciekawych historii do opowiedzenia. Warto im czasem poświęcić chwilę uwagi.



Budynek Główny KUL

Marcelina Smużewska

# Parę ciekawostek o Ignacym Domeyce

W 1843 roku odbył podróż do plemienia Araukanów. Byli to Indianie, którzy przez lata opierali się hiszpańskiej kolonizacji. Domeyko opisał ich w książce *Araukania i jej mieszkańcy*. Był zachwycony kulturą tego ludu i jego wojowniczością, postulował szacunek i ochronę Araukanów.

Ignacy Domeyko (pseudonim: Żegota, litewski odpowiednik imienia Ignacy) urodził się 31 lipca 1802 roku w Niedźwiadce koło Nowogródka (obecnie teren Białorusi) w rodzinie ziemiańskiej. Ojciec Ignacego Hipolit Domeyko (1764-1809) był prezesem sądów ziemskich w powiecie. Ignacy miał czworo rodzeństwa, dwie siostry i dwóch braci. Nauki rozpoczął w Kolegium Pijarów w Szczuczynie Lidzkim.

Zasłynął z rozwijania geologii Chile i reformowania tamtejszego systemu oświaty. Za swojego bohatera uznają go chętnie nie tylko Chilijczycy, ale także Litwini, Białorusini i Polacy. Sam Domeyko czuł się Polakiem, choć większość życia spędził w Ameryce Południowej, tam również zmarł.

## Zainteresowanie geologią

Domeyko wcześniej zainteresował się naukami o ziemi. W wieku zaledwie siedmiu lat został półsierotą, więc w jego wychowanie zaangażowali się bracia zmarłego ojca. Szczególny wpływ na chłopca wywarł stryj Józef Domeyko, który był absolwentem Akademii Górniczej we Freibergu i uczniem Abrahama Gottloba Wernera (1749-1817), znanego wówczas geologa i mineraloga. Zaszczepił bratankowi pasję do tych dziedzin wiedzy. Na dziecku wrażenie wywarła także praca Staszica *O ziemiórództwie Karpatów i innych gór i równin Polski* (1815). Ignacy marzył o podróżach i odkrywaniu złóż.

Studia podjął na Uniwersytecie Wileńskim w 1816 roku. Miał wtedy jedynie czternaście lat i był najmłodszym studentem. Mimo że słuchał m.in. wykładów z zakresu geologii prowadzonych przez uczniów Wernera, pracę magisterską obronił z zakresu matematyki w 1822 roku. Podjął temat rachunku różniczkowego. Dalsze nauki Domeyko pobierał we Francji. Słuchał wykładów na Sorbonie, w Collège de France, Ogrodzie Botanicznym oraz Konwersatorium Sztuk i Rzemiosł. Uczęszczał na zajęcia najwybitniejszych francuskich uczonych tamtych czasów. Geolog Léonce Élie de Beaumont (1798-1874) doradził mu studiowanie w paryskiej szkole górniczej – École des Mines, co pokrywało się z wieloletnią pasją Domeyki.

Po studiach rozpoczął pracę w Alzacji, gdzie poszukiwał rud żelaza i zakładał piece do ich wytapiania. Pod koniec 1837

roku pojawiła się propozycja od chilijskiego rządu, aby objąć na okres sześciu lat wykłady z chemii i mineralogii w szkole górniczej w rejonie Coquimbo. W podróż Domeyko wyruszył 31 stycznia 1838 roku.

## Przyjaźń z Mickiewiczem i udział w powstaniu listopadowym

Domeyko był podczas studiów w Wilnie członkiem tego samego stowarzyszenia studenckiego, co Adam Mickiewicz. Mowa o Towarzystwie Filomatów, które powstało w 1817 roku z inicjatywy sześciu studentów, w tym Józefa Jeżowskiego (1793-1855) i Tomasza Zana (1796-1855). Głównym celem organizacji było samokształcenie i doskonalenie się w sztuce pisania. Przez tajną policję carską filomaci zostali uznani za spiskowców. Na przełomie 1823 i 1824 roku aresztowana młodzież była więziona w klasztorze Bazylianów. To zdarzenie stało się potem dla Mickiewicza inspiracją do napisania III części *Dziadów*. W sztuce Ignacy Domeyko występuje pod pseudonimem Żegota. W *Panu Tadeuszu* z kolei poeta wspomina o sporze Domeyki i Doweyki, którzy pokłócili się o skórę niedźwiedzia. Mickiewicz był też nieszczęśliwie zakochany w krewnej Domeyki – Maryli Wereszczakównie.

Filomaci w słynnym procesie zostali uznani za winnych. Wyrok skazywał dziesięciu członków stowarzyszenia, w tym Adama Mickiewicza, na zesłanie w głąb Rosji. Tomasza Zana, który wziął na siebie większość odpowiedzialności, umieszczono w więzieniu na rok. Ze względu na wstawiennictwo rodziny Ignacy Domeyko został ukarany „tylko” odebraniem dyplomu magisterskiego, zakazem pracy w instytucjach państwowych i samorządowych oraz był internowany przez okres pięciu lat w majątku rodzinnym określanym mianem Zybur-towszczyzny. Podczas przymusowego pobytu na wsi Domeyko dał się poznać jako zdolny zarządca, który zmodernizował rodzinne gospodarstwo.

Gdy powstanie listopadowe objęło teren Litwy, Domeyko przyłączył się do niego jako adiutant pułkowy 25 Pułku Piechoty. Razem z powstańcami dotarł do Kowna. Brał udział w walkach pod Szawłami 8 lipca 1831 roku. Miał też swoje

indywidualne misje jako emisariusz, które zakończyły się jednak niepowodzeniami. Po upadku powstania był internowany na terenie Prus Wschodnich przez pół roku. Wiedząc, że nic poza represjami nie czeka go już na Litwie, dołączył do Mickiewicza i innych emigrantów w Paryżu w 1832 roku. Poeta skupił się jednak na budowaniu życia intelektualnego na obczyźnie, Domeyko zaś postanowił rozwijać zainteresowania naukowe. Przyjaźń między Mickiewiczem a Domeyką nie skończyła się i była podtrzymywana korespondencyjnie w kolejnych latach. Po wyjeździe geologa do Chile nie widzieli się nigdy więcej. Dopiero w 1884 roku, podczas podróży po Europie, Domeyko spotkał się z synem Mickiewicza – Władysławem (1838-1929).

### Podróż do Chile

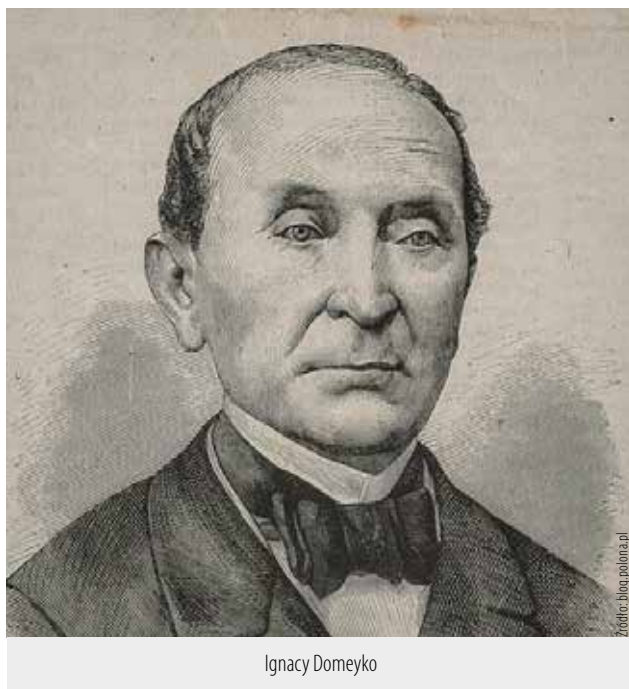
Podróż do tak odległego miejsca, jak Chile, nie była ówczesnie prostą sprawą. Po zdobyciu odpowiednich dokumentów – wszak Domeyko był uchodźcą politycznym we Francji – wyruszył omnibusem, czyli pojazdem wielokonnym kursującym na stałej trasie z Paryża do Boulogne. Tam po raz pierwszy ujrzał ocean. Potem na statku parowym dostał się do brytyjskiego Dover. Stamtąd powozem do Londynu, później pocztą konną do Falmouth w Kornwalii. 9 lutego 1838 roku zaokrętował się na brygu, niewielkim dwumasztowym statku o nazwie „Spey”. Rozpoczął się dłuższy etap podróży morskiej, która zakończyła się w porcie Bahia w Brazylii 27 marca. Trzy dni później Domeyko przesiadł się w Rio de Janeiro na angielską korwetę, niewielki okręt służący do celów pomocniczych (zwiadów, patroli, wypraw naukowych), o nazwie „Spider”. 25 kwietnia dopłynął do Montevideo w Urugwaju. Dalszą drogę pokonywał rzeką La Plata do argentyńskiego Buenos Aires. Przez kolejne dwa tygodnie podróżował pocztą konną przez Argentynę, aż dotarł do miejscowości Mendoza u podnóża Andów. Dalej szlak górski pokonał na mule i tak 18 maja znalazł się w Guardia Vieja w Chile. Warto wspomnieć, że wiozł ze sobą nie tylko osobiste rzeczy na sześć lat kontraktu, ale także wyposażenie laboratorium chemicznego, które miał założyć w regionie Coquimbo. Kolejny, ostatni już etap trasy pokonał konno. Szczęśliwie się to udało i Domeyko dotarł do La Serena (miejscowości docelowej) 3 czerwca 1839 roku.

Możemy sobie tylko wyobrazić, jakiej wytrwałości, cierpliwości i zaradności wymagało odbycie takiej wyprawy. Ile niebezpieczeństw mogło potencjalnie grozić podróżnikowi, czy to ze strony żywiołów naturalnych, czy zwykłych przestępców lub oszustów. Domeyko był jednak podróżnikiem z krwi i kości, czego dowodzi jego skrzętnie prowadzony pamiętnik (*Pamiętniki Ignacego Domeyki 1831-1838*, Kraków 1908, Akademia Umiejętności). Podczas wędrówki zachwycał się przyrodą i ludźmi. La Serenę uznał za piękne miejsce, a mieszkańców za bardzo pogodnych. Paryż wydał mu się mniej atrakcyjny niż ta niewielka miejscowość w Chile.

Warto wspomnieć również, że w trakcie długiego, jak się miało okazać, pobytu w Chile Domeyko odbywał liczne

podróże po terenie kraju. Organizował ekspedycje naukowe w Andy Wschodnie, prowadził obserwacje w Kordylierach Nadbrzeżnych. Zbierał minerały, a także meteoryty (te znajdował głównie na pustyni Atacama). W kopalni srebra Arqueros odkrył nowy minerał, który nazwał arkeritem. Prowadził obserwacje wulkanów, w tym wulkanu Antuco.

W 1843 roku odbył podróż do plemienia Araukanów. Byli to Indianie, którzy przez lata opierali się hiszpańskiej kolonizacji. Domeyko opisał ich w książce *Araukania i jej mieszkańcy* (wydanie hiszpańskie 1845, polskie – Wilno 1860). Był zachwycony kulturą tego ludu i jego wojowniczością, postulował szacunek i ochronę Araukanów. Domeyko był przeciwnikiem kolonizacji opartej na przemocy i wrogiem niewolnictwa, które zbulwersowany obserwował w Brazylii. O dziwo, praca Domeyki okazała się przekonująca i rząd młodej republiki Chile zaprzestał kolonizacji ziem Araukanów na pewien czas. W czasie ekspedycji do Araukanii Domeyko odkrył także bogate złoża węgla w Valdivii, co miało fundamentalne znaczenie dla gospodarki państwa. Chociażby dlatego, że zmniejszyło rabunkową wycinę lasów.



Ignacy Domeyko

W trakcie swoich podróży geolog zgromadził wiele okazów mineralogicznych. Część z nich wysłał do Szkoły Górniczej w Paryżu, część na Uniwersytet Jagielloński, część do Carskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Stworzył też lokalną kolekcję na potrzeby Uniwersytetu w Santiago. Szukał wód podziemnych w okolicach stolicy, co miało kluczowe znaczenie dla jakości życia w mieście. W 1848 roku obserwował solfatary (szczelinę wulkaniczną, z której wydobywają się gazy) wulkanu Tinguiririca.

Kolejny raz na pokonanie trasy Chile-Polska Domeyko zdecydował się, kiedy był już na emeryturze. W roku 1884 odwiedził Kraków, rodzinne strony na Litwie i Warszawę. Podróżował także nieco po Europie. Odwiedził m.in. Paryż, Włochy i Ziemię Świętą. Zrobił to wszystko, będąc po osiemdziesiątce i to nie w warunkach, w jakich się podróżuje współcześnie. Domeyko zdołał wrócić do Chile w 1888 roku, jednak już wtedy chorował. Przed śmiercią zdążył jeszcze opracować katalog bogactw mineralnych Chile na wystawę w Paryżu. Zmarł 23 stycznia 1889 roku we własnym domu w Santiago.

### Za co Chilijczycy polubili Domeykę?

Po pierwsze Chilijczycy cenili Domeykę za to, że okazał się zdolnym pedagogiem. W La Serena, czyli miejscu pierwotnego kontraktu, zorganizował laboratorium, uczył chemii, mineralogii, metalurgii i fizyki. Zorganizował też studium nauk przyrodniczych. Po zaledwie roku obecności w Coquimbo wyszkolił na tyle dobrze trzech uczniów, że rząd wysłał ich na dalsze nauki do Francji. Przygotował podręczniki: *Metalurija de la amalgacion americana* (w wolnym tłumaczeniu: *Amerykańska metalurgia amalgacyjna*, 1849), *Elementos de mineralogia o del concimiento de las especies minerales en jeneral i en parti-*

*cular de las de Chile (Elementy mineralogii i znajomość minerałów w ogóle, a w szczególności tych z Chile, 1860), Mineralogía de Chile (Mineralogia Chile, 1867), Tratado de ensayes (Traktat o pobiernictwie, 1876). Dzieła te były znaczące nie tylko dla samego Chile, lecz miały zasięg światowy.*

Po drugie, Domeyko traktował Chilijczyków z sympatią i szacunkiem, czemu dawał wyraz w swoich publikacjach. W laboratorium za darmo oceniał zawartość procentową pierwiastków w rudach. Gromadził okazy geologiczne, które przekazał na rzecz muzealnictwa w Chile. Doprowadził do utworzenia towarzystwa dobroczynnego i muzeum etnograficznego, które prezentowało artefakty związane z kulturą Indian Chilijskich. Już w 1848 roku został w dowód swoich zasług mianowany honorowym obywatelem Chile.

Na tym jednak nie koniec zasług Domeyki. Przedstawił także rządowi chilijskiemu elaborat o potrzebie wykorzystywania w rolnictwie złóż saletry. Obserwował i opisywał chilijskie trzęsienia ziemi. Postulował utworzenie stacji meteorologicznych w celu systematycznej obserwacji pogody. Przygotował pierwszą mapę geologiczną Chile. Doprowadził do nowelizacji prawa górniczego w 1874 roku. Przez wiele lat był sędzią górniczym. Na zlecenie rządu wizytował kopalnie miedzi i srebra i wyrażał troskę o losy tamtejszych pracowników.

Po trzecie, związał się z narodem chilijskim w 1850 roku poprzez małżeństwo z młodzieńką Enriquetą de Sotomayor Guzman (ur. 1832). Małżonków dzieliło trzydzieści lat, ale nie stanowiło to problemu. Domeyko doczekał się z Chilijką czwórki dzieci: Anny Cruz (ur. 1854), Henryka – Juana Enrique (ur. 1855), Hernana Estebana (ur. 1859) i Kazimierza – Juana Casimiro (ur. 1863). Niestety ukochana żona zmarła przedwcześnie w 1870 roku i Domeyko wychował dzieci samotnie.

Po czwarte, Polak jest uznawany za wielkiego reformatora szkolnictwa wyższego w Chile. Od 1867 roku był rektorem Uniwersytetu w Santiago. Potem był wybierany jeszcze na kolejne trzy kadencje. Zreformował uczelnię na wzór Uniwersytetu Wileńskiego. Powstały konkretne fakultety i kierunki studiów. Wykorzystał przy tym szereg doświadczeń niemieckich. Dopaśował szkolnictwo do potrzeb młodej republiki, jak to się działo w modelu humboldtowskim. Uczelnie miały łączyć kształcenie z prowadzeniem badań naukowych.

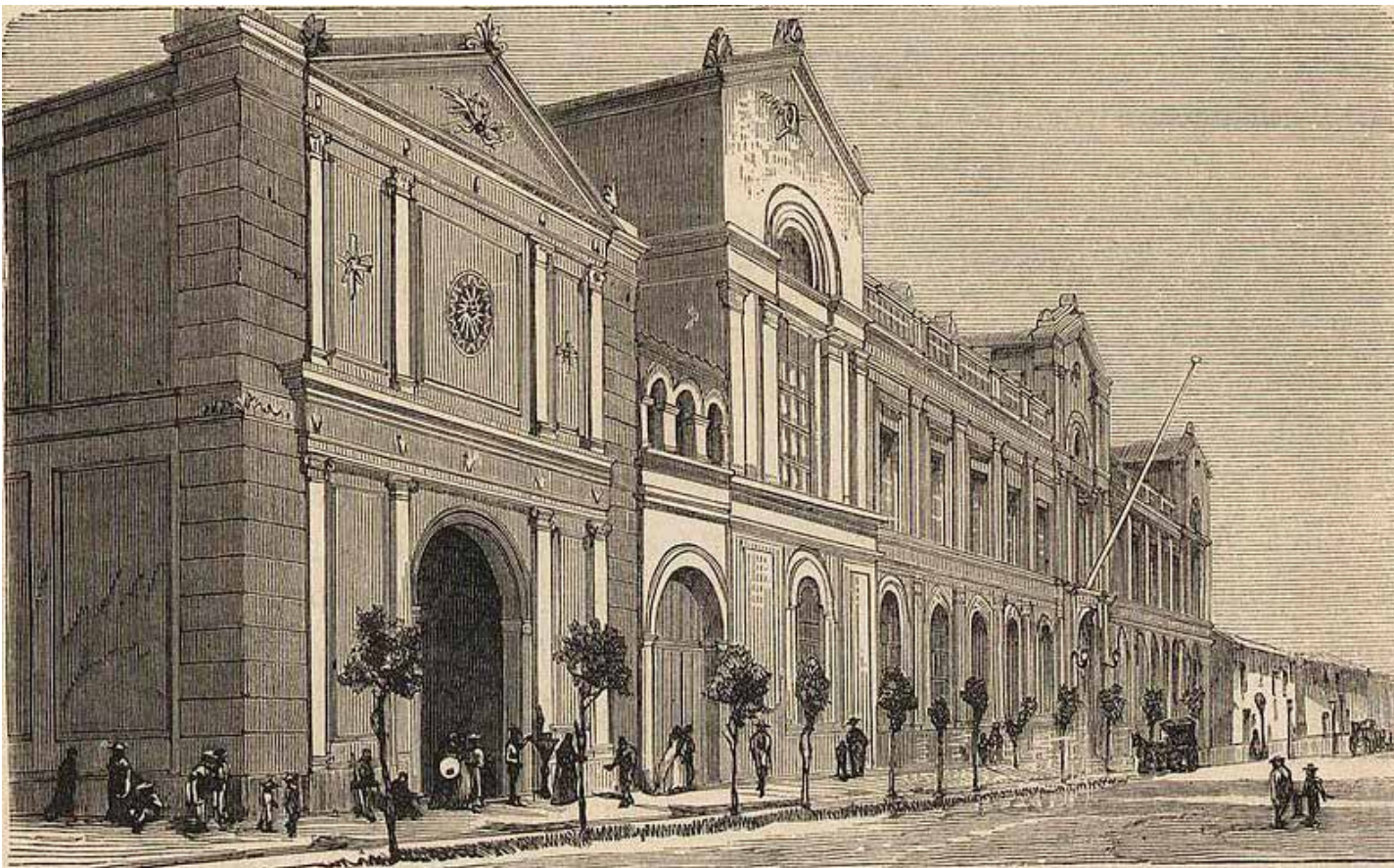
## Upamiętnienie

Śmierć Ignacego Domeyki odnotowało większość chilijskich gazet, a sam pogrzeb miał charakter państwowy. Pojawiło się na nim wielu dostojników i członków towarzystw naukowych. Ponoć uczniowie Domeyki w dowód szacunku dla mistrza wyprzęgli konie z karawanu i pociągnęli go własnymi siłami na Cmentarz Generalny w Santiago.

Nazwisko Domeyki po dziś dzień jest znane w Chile. Choć większość minerałów, które odkrył geolog, okazała się mieszaninami już znanych związków chemicznych, dwa z nich były istotnie wcześniej nieznanne – daubreit i kröhnkit. Jedno z pasm górskich w północnym Chile na cześć Domeyki nazywa się Cordillera Domeyko. Są też miejscowości, które nazywają się Domeyko. Jedna z planetoid odkryta w 1975 roku nosi też imię Domeyki. Na cześć naszego rodaka nazywa się też ulice i szkoły w Chile.

W Polsce istnieje fundacja Proyecto Domeyko Polska, której celem jest promowanie współpracy między Polską a Chile. Rok 2002 był w naszym kraju Rokiem Domeyki i zorganizowano wtedy szereg imprez przybliżających postać tego wybitnego geologa. Także w Polsce mamy ulice i szkoły, które obrały sobie za patrona Ignacego Domeykę.

Źródło: Wikipedia Commons



Gmach Główny Uniwersytetu w Santiago, rycina z 1872 r.

# Medicus curat, natura sanat

Hortiterapia jest adresowana do wszystkich. Może być czynna, polegająca na własnoręcznym sadzeniu, hodowli, pielęgnacji roślin, poznawaniu ich zapachu, co rozwija zmysły dotyku czy węchu. Jest też hortiterapia bierna, która polega na przebywaniu w ogrodzie, patrzeniu i słuchaniu odgłosów ptaków.

Początki hortiterapii sięgają czasów antyku, wtedy zauważono pozytywny wpływ natury na zdrowie. Hipokrates, urodzony ok. 460 p.n.e. na wyspie Kos grecki lekarz, prekursor współczesnej medycyny, obdarzony przydomkiem „ojca medycyny” był pierwszym, który zauważył takie oddziaływanie, mówiąc „Medicus curat, natura sanat” – lekarz leczy, natura uzdrowia.

Początki terapii ogrodniczej odnajdziemy w starożytności, kiedy doceniono leczniczy wpływ natury na człowieka. Egipscy lekarze i kapłani zalecali członkom rodziny królewskiej cierpiącym na zaburzenia umysłowe spacerować po ogrodach. Miały one uspokajać ich psychikę i przynosić ukojenie.

Staroegipskie ogrody zakładano na planie prostokąta, z budynkiem, świątynią, grobem lub domem ulokowanym naprzeciw monumentalnej bramy wejściowej. Centrum ogrodu

wypełniał zbiornik wodny albo sztuczne jezioro, do którego wodę doprowadzały wybudowane akwedukty. Egipski ogród charakteryzuje się powtarzalną symetrią z dominacją linii prostych. Rośliny sadzono również w rzędach tworzących regularne kompozycje. Ten ład miał zapewniać harmonię a przebywającym w ogrodach spokój.

Jednak dopiero na przełomie XVIII i XIX w. dostrzeżono, że ogród może być miejscem prowadzenia terapii różnych schorzeń, zarówno u dorosłych, jak i u dzieci. W XVIII w. amerykański psychiatra Benjamin Rush odegrał ważną rolę w rozwoju hortiterapii. W tamtym czasie pacjent psychiatryczny najczęściej pozbawiony był praw ludzkich, a w tak zwanych klinikach bito chorych i poniżano. Rush całkowicie przeciwstawił się takim praktykom. Był znany nie tylko z upuszczania krwi czy wynaleźienia i stosowania w terapii chorób psychiatrycznych



Źródło: ogrodnicy.pl

Terapeutyczny Ogród Zimowy – Zakład Pielęgnacyjno-Opiekuńczy im. Ks. J. Popiełuszki w Toruniu

krzesła uspokajającego, na którym sadzano pobudzonego pacjenta, krępowano pasami, a na głowę zakładano drewniane pudło, odcinające go w ten sposób od otoczenia. Metoda pozwalała często uspokoić pacjentów. Był też pionierem wykorzystania ogrodnictwa w terapii osób chorych umysłowo. Zatrudniał ich na farmach ogrodniczych, a kontakt z przyrodą i praca przy sadzeniu, pielęgnacji a potem zbiorach warzyw przynosiły zauważalne skutki terapeutyczne. Na początku XIX w. zostało to wykorzystane w Hiszpanii, gdzie osobom z zaburzeniami umysłowymi zalecano prace ogrodnicze.



Ogród Hortiterapii w Jadownikach Mokrych w Ośrodku Opiekuńczo-Rehabilitacyjnym dla Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej Caritas Diecezji Tarnowskiej

Moda na hortiterapię zawitała również do Stanów Zjednoczonych. Wokół jednej z klinik psychiatrycznych w 1817 r. utworzono ogromny park z lasem i łąkami, a przebywających tam kuracjuszy zachęcano do pracy w ogrodzie. Zauważono również, że ogród i praca w nim może stanowić źródło stymulacji sensorycznej w procesie uczenia się dzieci z zaburzeniami umysłowymi.

W XX w. w Anglii, a konkretnie od 1936 r., ogrodnictwo uznane zostało za metodę terapii chorych psychicznie. Ogrodnictwo okazało się też rewelacyjnym narzędziem rehabilitacyjnym, które skutecznie wykorzystywano w Anglii i Ameryce do leczenia traumy pourazowej u wracających weteranów II wojny światowej.

W 1951 r. terapia ogrodnicza stała się oficjalną metodą leczenia w szpitalu geriatrycznym Michigan State Hospital. Lata 60. i 70. XX w. to złoty czas w rozwoju hortiterapii w USA. Szczególnie zastosowanie znalazła w leczeniu żołnierzy powracających z wojny w Wietnamie.

A wczesne lata 70. XX w. to początki poważnego rozwoju hortiterapii w Europie. Używano jej np. we Włoszech do leczenia osób niepełnosprawnych, którym groziła marginalizacja życia społecznego. Dziś w Holandii różne rodzaje szkół specjalnych współpracują z gospodarstwami w ramach programu opiekuńczo-pedagogicznego „Green care” („zielona opieka”). Jet to forma wykorzystania gospodarstw komercyjnych do promowania zdrowia psychicznego i fizycznego.

## W Europie i w Polsce

„Zielona terapia” prowadzona jest zarówno w gospodarstwach dużych, nowoczesnych (Holandia, Belgia), jak i w gospodarstwach małych, rodzinnych (Norwegia, Włochy). Liczba gospodarstw oferująca ten rodzaj terapii stale wzrasta. Nie ma dokładnych danych, a jedynie szacunkowe oceny mówią, że jest ok. 1000 gospodarstw w Norwegii, 430 w Holandii, 300–350 we Włoszech, 300 w Niemczech, 250 w Austrii, 140 w Belgii, 14 w Słowenii. W Szwajcarii i Wielkiej Brytanii gospodarstwa nie są ewidencjonowane, dlatego ich liczba nie jest podawana. Gospodarstwa terapeutyczne istnieją też w Szwecji i Finlandii.

W Polsce dopiero zaczyna się rozwijać hortiterapia ogrodnicza. Powstają pierwsze ośrodki. Dla przykładu można wymienić: Terapeutyczny Ogród Zimowy w Zakładzie Pielęgnacyjno-Opiekuńczym im. ks. Jerzego Popiełuszki w Toruniu dla

pacjentów przewlekle chorych oraz niepełnosprawnych, Ogród Terapeutyczny w DPS w Nasielsku funkcjonuje od 2011 r., Park Terapeutyczny na terenie zespołu pałacowo-parkowego przy DPS w Ruskich Piaskach (gm. Nielisz, woj. lubelskie), Ogród Hortiterapii w Jadownikach Mokrych w Ośrodku Opiekuńczo-Rehabilitacyjnym dla Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej Caritas Diecezji Tarnowskiej, Ogród Botaniczny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie – zrealizowano tam pilotażowy projekt „Hortiterapia metodą wspomagania rehabilitacji dzieci z zaburzeniami narządów ruchu, pacjentów szpitala św. Ludwika w Krakowie” czy piękny ogród wzbogacony we wrześniu 2023 r. o nową szklarnię do zajęć ogrodniczych w Poradni Specjalistycznej – Młodzieżowy Ośrodek Profilaktyki i Psychoterapii „MOP” w Warszawie. Tu znajduje się ogród wykorzystywany do hortiterapii na rzecz nastolatków zmagających się z uzależnieniami. Przychodzą oni z nauczycielami, ale i z rodzicami, często przed lub po zajęciach, a ogród w postaci hortiterapii jest dla nich wyciszeniem.

Tak naprawdę hortiterapia jest adresowana do wszystkich. Może być czynna, polegająca na własnoręcznym sadzeniu, hodowli, pielęgnacji roślin, poznawaniu ich zapachu, co rozwija zmysły dotyku czy węchu. Jest też hortiterapia bierna, która polega na przebywaniu w ogrodzie, patrzeniu i słuchaniu odgłosów mieszkających tam ptaków. Można też obserwować w ogrodzie zmieniające się procesy związane z porami roku (wzrastanie, kwitnienie, owocowanie, usychanie). Organizowane autorskie warsztaty: Zasiane – zebrane, czyli od nasionek do rośliny w ramach czynnej hortiterapii uczą spokoju, pracy grupowej, odpowiedzialności. A w czasie pracy wytworzą się różnego rodzaju neuroprzekazniki, chociażby serotonina, co pozwala uczestnikom zrozumieć szczęście. Nikt nie jest wykluczony, tworzą się grupy, powstaje mała społeczność o podobnych celach. Można określić wspólny plan, jakim jest hodowla, której ukoronowaniem jest radość z otrzymanych plonów. Tu buduje się poczucie własnej wartości, bo uczestnicy grupy tworzą coś od zera. Dodatkowo dochodzi ruch fizyczny przy obróbce ziemi, pielenia czy skopania grządek.

Tak więc hortiterapia w ogrodzie czy w mini skali uprawiana na domowym parapecie może być bezpieczną i przyjazną człowiekowi przestrzenią, wolną od stresu i niepokoju. Przywraca poczucie ładu i bezpieczeństwa, chroni prywatność i jest doskonałym narzędziem wspomagającym terapię psychiatryczną czy zagospodarowującą czas dla seniorów.

# Kłopotliwa synonimia

Język polski ma wymagania stylistyczne, z którymi czasem naprawdę trudno sobie poradzić. Jednym z nich jest wymóg unikania powtórzeń, czyli niepożądana redundancja. Pomocą bywa słownik. Najlepszy w historii *Słownik synonimów* opublikowało w 1993 r. troje znakomitych językoznawców (germanistów i polonistów) Andrzej Dąbrówka, Ewa Geller i Ryszard Turczyn.

Rzecz miała wiele wydań, ich nakład łącznie, z tego co wiem, przekroczył milion egzemplarzy. Słownik jest zbudowany w taki sposób, że większą jego część stanowi alfabetyczny indeks wyrazów języka polskiego, a drugą, tzw. gniazdową, ponumerowane grupy wyrazów, zestawiane według znaczeń wspólnych, wiążących.

Kiedy szukamy synonimu (odpowiednika) na przykład wyrazu „zacisze”, to w indeksie znajdujemy go z numerem 349b. Po odszukaniu gniazda numer 349 (nazwa tego gniazda to „miejsce”) i w nim grupy „b” odczytujemy zawartość, czyli odpowiedniki: „MIEJSCOWOŚĆ, zakątek, ustronie, zacisze, cichy kąć, kąć, okolica...” i tak dalej jeszcze 35 jednostek, z których szukający może sobie dobrać do tekstu najwłaściwszą. Jeśli nawet jej nie znajdzie, to odczytywany wykaz i tak uruchamia pamięć i pozwala we własnej głowie dobrać coś odpowiedniego. Tak to działa.

Słownik ten jest nie tylko pomocą dla piszących, ale także narzędziem dydaktycznym. Uczy bowiem rozpoznawania indywidualnych zasobów słownikowych, nabytych w czasie używania języka. Wspaniała książka. Prosi się, aby ją uzupełnić nowym słownictwem lub wręcz napisać od nowa, ponieważ nasz język dość znacznie się zmienił. No, ale autorzy mają już o 30 lat więcej.

O ile w języku ogólnym w krótkich tekstach i w odniesieniu do pojedynczych wyrazów przeważnie dajemy sobie z redundancją radę nawet bez słownika, o tyle w tekstach dłuższych problem narasta tak dalece, że spowalnia pisanie. W naukach zwłaszcza technicznych i medycznych, niezwykle bogatych w terminologię, ze względu między innymi na bezpieczeństwo ludzi, za wszelką cenę unika się synonimów, ponieważ prawdziwych „duplikatów semantycznych” jest niezwykle mało, a wszelkie zastępniki mogą wprowadzać znaczenia (sensy) niebezpieczne. W technice mogą powodować dobieranie „synonimicznych” parametrów, materiałów i metod, których zastosowanie może się źle skończyć dla produktu. A niech produktem będzie most, w którym na podstawie użycia nazwy synonimicznej (podobnej znaczeniowo) zastosuje się niewłaściwe sposoby budowania i materiały i pewnego dnia tak stworzony most się zawali. Co wtedy?

W medycynie zagrożenie może być jeszcze większe. Nauczyciele lekarzy w celach szkoleniowych przytaczają studentom potworną anegdotę z odcinaniem kończyny: „– Panie doktorze, którą nogę odcinamy? – Chorą. I usunięto tę, która wydała się chora, bo była spuchnięta, a nie tę, w której rozwijał

się nowotwór, ale na oko sprawiała wrażenie zdrowej. Miało być: prawą!”. Nie można się opierać na tym, co się komuś wydaje. Język w medycynie musi określać ze stuprocentową dokładnością.

W tekstach naukowych walka z synonimią nie tyle nie jest możliwa, ile po prostu często nie ma sensu. Przykre uczucie czytelnika spotykającego powtarzanie się nazw i innych terminów daje się do pewnego stopnia zredukować za pomocą abrewiologii, to znaczy skrótów typowo stosowanych w danej dziedzinie (są nawet słowniki skrótów stosowanych w naukach lekarskich, biologicznych, technicznych itp.) albo stworzonych na użytek danego tekstu i wymienionych na początku utworu, tak aby czytający nie miał z tym problemu. Skróty mniej rażą niż redundancja.

W tekstach dziennikarskich czy literackich wielu dzisiejszych autorów w ogóle sobie z redundancją nie daje rady. Szczególnie rażą teksty sportowe, w których na siłę tworzone zastępniki jakiejś nazwy, na przykład nazwiska sportowca, brzmią jeszcze gorzej niż gdyby to nazwisko było po prostu powtarzane, bo nie ma innego sposobu na nazywanie zawodnika. Biorę do ręki dzisiejszą gazetę sportową i wyławiam artykuł o wspaniałej tenisistce Idze Świątek.

A w nim mamy wyrażenia normalne: „Iga”, „Iga Świątek”, „Świątek”, „nasza Iga”, od biedy jeszcze: „nasza dwudziestolatka”, „Polka”.

Potem jednak zaczyna się walka z nimi i powstaje seria synonimów nieznośnych: „zawodniczka urodzona w Raszynie”, „raszynianka”, „raszynianka spod Warszawy”, „tenisistka z Raszyna”, „podopieczna pana Tomasza”, „podopieczna Tomasz Wiktorowski”, „tenisistka trenowana przez Wiktorowski”, „podopieczna Darii Abramowicz”, „współpracująca z Darią Abramowicz zawodniczka”, „polska tenisistka”, „tenisistka z Polski”, „liderka rankingu”, „najbardziej rozpoznawalna tenisistka świata”, „zwycięzcy Rolanda Garrosa”, „trzykrotnie najlepsza w Roland Garros”, „olimpijka z Tokio”, „zawodniczka, która zdobyła trzy szlemy”, „najlepsza w Nowym Jorku w 2022 roku”, „która wygrała US Open w 2022”, „najlepsza na świecie”, „numer jeden na świecie”, „jedyńska światowa”, „światowa jedynka”, „która wygrała dwa szlemy”, „która w ostatnim turnieju roku pokonała Sabalenkę”, „córka olimpijczyka Świątka”, „córka znanego wioślarza”, „córka pana Tomasza”, „córka pana Świątka”, „córka dawnego reprezentanta Polski w wioślarstwie”, „siostra Agaty Świątek”. Wszystkie są w analizowanym tekście zastępnikami wyrażenia Iga Świątek. Są wstawiane niemal mechanicznie, bez uwzględnienia znaczeń dodatkowych, które niezręcznie wnoszą do zdania.

Czasem trzeba się jednak godzić z tym, że używanie synonimów na siłę bywa pisarsko jeszcze gorsze niż rezygnacja z walki z redundancją.

## Kopernikologia według dziennikarza



Zazwyczaj z dużą ostrożnością podchodzę do książek historycznych – a do takich możemy zaliczyć tę biografię – pisanych przez dziennikarzy bez specjalistycznego wykształcenia. Tu jednak dałam się ponieść i po prostu... czytałam. O średniowiecznej Europie, o walkach o władzę państwową i kościelną, wpływach, spiskach, donosach, wojnach i bitwach, zdobywaniu wykształcenia i wiedzy, sposobach leczenia, podróżach i odkrywaniu nowych lądów. Niemal o wszystkim, co mogło wpływać na życie Kopernika. Tylko Kopernika w tym „wszystkim” nie

było za dużo. Ale czy to naprawdę przeszkadza? Wprawdzie miała to być jego biografia, ale co zrobić, skoro tak naprawdę nie mamy za dużo pewnych źródeł na temat jego życia. Pozostają więc domysły, a te Orliński ubiera w ciekawe opowieści, więc tekst czyta się bardzo dobrze.

Być może biografia Kopernika powstała jeszcze za jego życia, a jej odnalezienie oznaczałoby w końcu zerwanie z hipotezami. Miał ją pisać niejaki Retryk, a właściwie Georg Joachim Iserin. Niestety nie wiemy, czy została ukończona, czy zatrzymała się na poziomie notatek autora, jeśli one w ogóle istniały. Wspominają o nich Tiedemann Giese, biskup warmiński przyjaźniący się z astronomem, i Jan Brożek, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, który prawie sto lat po śmierci Kopernika zajął się jego biografią. Chociaż inny ślad po tekście Retryka zaginęła, rozwój nauki i tak wiele zawdzięcza temu badaczowi. To dzięki niemu szersze grono poznało teorie polskiego astronoma, napisał on bowiem *Relację pierwszą z ksiąg o obrotach Mikołaja Kopernika*, czyli streszczenie niepublikowanej jeszcze pracy kanonika na temat heliocentryzmu. Odkrycia astronoma były już znane w Europie, ale on sam długo nie chciał ich wydawać drukiem. Być może obawiał się zarzutów o herezję, podobnych do tych, które w tamtych latach spotkały Aleksandra Scultetiego, historyka i kartografa. Scultetiemu po oskarżeniu ze strony Jana Dantyszka został wytoczony proces inkwizycyjny. Retryk nie bał się inkwizycji, ponieważ był luteraninem, ale to nie oznaczało, że w świecie protestanckim teorie Kopernika były przyjmowane chętniej. Sam Marcin Luter stanowczo się im sprzeciwił, twierdząc, że Pismo Święte wyraźnie mówi o wygranej Jozuego z pięcioma królami dzięki wstrzymaniu przez Boga ruchu Słońca.

Biblia długo była wystarczającym dowodem również w świecie naukowym. *Relacja* Retryka po wydaniu w 1540 roku wzbudziła jednak bardzo duże zainteresowanie, co prawdopodobnie doprowadziło do opublikowania przez Kopernika trzy lata później *De Revolutionibus orbium coelestium*, czyli *O obrotach sfer niebieskich*. Kopernika nie spotkał jednak za to los Scultetiego, więzionego i skazanego na banicję, ani procesy takie jak w późniejszych latach przeżyli Giordano Bruno, który został spalony na stosie, i Galileusz, który oficjalnie zaprzeczył, że Ziemia obraca się wokół Słońca, lecz podobno pod nosem mruknął „A jednak się kręci”. Kopernikowi udało się uniknąć rozpraw nie tylko za teorię heliocentryzmu, lecz także za goszczenie we Fromborku heretyków czy domniemane zbyt bliskie relacje z gosposią. Na szczęście dla niego i nauki miał zbyt duże poparcie, między innymi burmistrza von Werdena w Gdańsku i Andreasa Aurifabera, rektora uniwersytetu w Królewcu.

Można zarzucać Orlińskiemu, że w jego *Koperniku* jest mało Kopernika, ale nie można mu zarzucić, że jego książka jest nudna. Autor wykonał naprawdę niesamowitą pracę, przekopując źródła historyczne na temat czasów, w których żył astronom. Domysły Orlińskiego czyta się bardzo przyjemnie. Być może dlatego za tę książkę autor otrzymał Górnośląską Nagrodę Literacką „Juliusz” dla najlepszej polskiej biografii.

Justyna Jakubczyk

Wojciech ORLIŃSKI, *Kopernik. Rewolucje*,  
Wydawnictwo Agora, Warszawa 2022.

## Niezasłużenie usunięty



Historia literatury chyba nigdy nie jest sprawiedliwa i wcale nie dzieje się tak, że pisarze (celowo, ze względów najczęściej politycznych) zapomniani, zostają przywrócić czytelnikom. Bywa bowiem, że mijający czas zasypie kurzem dziesięcioleci twórców, ich dzieła i niewiele osób bywa później zainteresowanych ponownym odgrzebywaniem literackich artefaktów. Tak bez wątpienia jest w przypadku bohatera omawianej popularnonaukowej monografii, Ferdynanda Goetla.

Pierwsza część monografii ma charakter biograficzny, co wydaje się dosyć istotne w przypadku autora właściwie nieznanego. Pisarz popularny przed drugą wojną światową i w międzywojniu, który ze swym dorobkiem trafił nawet do lektur szkolnych, twórca płodny i różnorodny. Autor powieści, książek reportersko-podróżniczych, publicysta, dramaturg, współpracownik radia, scenarzysta (do 2006 r. uważanego za zaginiony film *Pan Tadeusz* z 1928 roku), a do tego postać „obdarowana” ciekawym życiorysem i świadek historii. W londyńskich „Wiadomościach” pisał, że nowa era w historii nastawała już dla niego wielokrotnie, po czym przytaczał wydarzenia, których był świadkiem, m.in. bolszewizm, wynalazek radia, obie wojny światowe, zrzućenie bomby na Hiroszimę etc. Po wybuchu tzw. wielkiej wojny został internowany w Warszawie przez władze cesarskie i jako Galicjanin i poddany austriacki trafił w charakterze jeńca cywilnego do Turkiestanu, gdzie pracował przy osuszaniu bagien i w roku 1917 był świadkiem rewolucji bolszewickiej. W 1939 współpracował m.in. z prezydentem Stefanem Starzyńskim oraz organizacjami podziemnymi, a także starał się na wszelkie sposoby wyjednać u okupantów pomoc dla głodujących literatów. W roku 1943 był członkiem słynnej delegacji, której członków Niemcy zawieźli pod Smoleńsk w celu (rzecz jasna propagandowego) zobrazowania sowieckiego mordu na polskich oficerach. Po wojnie, jako jednostka nieprzychylna sowieckiej władzy, wyjechał na Zachód i ostatecznie osiadł w Londynie, gdzie zmarł i do śmierci, chociaż w bardzo skromnych warunkach materialnych, kontynuował swoją twórczość literacką. Nawiązał również współpracę z Radiem Nacional z Madrytu, w którym powołano sekcję polską zanim jeszcze powstało Radio Wolna Europa.

Po roku 1945 Goetel został objęty przez cenzurę całkowitym zakazem publikacji, jego nazwisko pojawiało się jedynie w kontekście oczerniających kampanii propagandowych PRL. Ten świadek zbrodni katyńskiej i jednocześnie orędownik rozliczenia sprawców nie mógł rzecz jasna liczyć na spokojny powojenny żywot, jako pupilek władzy. Nie bez znaczenia było zapewne jego chwilowe, przedwojenne zauroczenie faszyzmem jako ideą i chociaż nie sposób podawać w wątpliwość jego patriotyzmu i faktu pomocy, jakiej udzielał w czasie wojny kolegom po piórze, to na nic zdały się późniejsze kajania i tłumaczenia, że faszyzm był dla niego jedynie sposobem na przeciwstawienie się sowieckiemu komunizmowi, z którym przecież zetknął się w młodości.

Część druga monografii „prezentuje – w uporządkowany sposób i w możliwie całościowym ujęciu – bogatą twórczość pisarza. Zawiera omówienie jego dzieł, szerzej rozwijając interpretację utworów zamieszczonych w antologii”.

Jak widać, skupiłem się na życiorysie Goetla, gdyż wychodzę z założenia, że nieraz łatwiej zaciekawić czytelnika interesującą biografią autora, a ta powinna pobudzić czytelnika do dalszych literackich peregrynacji w postaci lektury jego książek. Chwała Krzysztofowi Polechońskiemu, że podjął się trudu napisania pierwszej monografii Goetla. Czasem warto sięgnąć po pozycje twórców niezasłużenie usuniętych z pamięci kolejnych pokoleń, a zapomnieć o tych, którzy tej czystki dokonywali. Wszak, cytując Norwida, „przeszłość to dziś, tylko cokolwiek dalej”.

Jacek Hnidiuk

Krzysztof POLECHOŃSKI, *Kronikarz „czasów niepewnych”.  
O Ferdynandzie Goetli i jego twórczości*, Instytut Literacyjny, Kraków 2023,  
seria: Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartałnika „Nowy Napis”.

## Człowiek z kufrem na plecach



Celem serii wydawniczej „Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika »Nowy Napis« jest – jak deklarują jej twórcy – poprawa stanu świadomości literackiej w Polsce. Odbywa się to poprzez publikowanie przystępnych w założeniu książek o twórczości polskich pisarzy i poetów. Chodzi jednak o studia historyczno-krytycznoliterackie, a nie opracowania do użytku szkolnego. Książka prof. Jolanty Dudek składa się z trzech części: dłuższego szkicu o biografii i charakterystyce twórczości Kazimierza Wierzyńskiego, krótszych tekstów –

interpretacji wybranych utworów poety (część z nich to zmienione teksty publikowane już gdzie indziej) oraz wyboru kilkudziesięciu wierszy z całej jego twórczości (reprezentowany jest każdy kolejny tom ogłoszony przez Wierzyńskiego).

Kolejni twórcy różnego typu studiów o Wierzyńskim wciąż muszą zmagać się z dziedzictwem komunizmu w recepcji jego twórczości. Podobnie jak w przypadku kilku innych Skamandrytów i Żagarystów, nie był on – przynajmniej po 1956 roku – objęty całkowitym zapisem cenzury, ale omawiano tylko jego przedwojenne utwory, całą twórczość emigracyjną pomijając milczeniem. Pozwalało to traktować jego utwory z dystansem, jako część epoki minionej, zamkniętej i politycznie surowo krytykowanej. Problem ten dotyczy oczywiście w większym stopniu książek skierowanych do szerszej publiczności, jak omawiana publikacja czy *Wierzyński. Sens ponad klęską. Biografia poety* Wojciecha Wencła (2020; nie bez powodu wydana rok później także po angielsku).

Jolanta Dudek wychodzi z tej pułapki obronną ręką przede wszystkim dzięki właściwemu wyborowi emigracyjnych utworów Wierzyńskiego. Nie boi się umieszczać w nim najbardziej znanych wierszy tego poety – jeśli ktoś pamięta coś z drugiego okresu jego twórczości, to zapewne *Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny* z tomu *Róża wiatrów* (1942; *Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny / Wstąp tu, gdzie czekam po kryjomu: / W ugornej pustce jałowizny / Będziemy razem nie mieć domu...*) czy wykorzystany swego czasu na maturze *Kufer* z tomu *Kufer na plecach* (1964: *Na strychu śpi mój powrót / Kufer blachą okuty, walizy / Cała moja ojczyzna / Pasporty, obywatelstwa / Emigracyjne wizy...*). Te wiersze są znane nie bez powodu, najlepiej oddają perspektywę obecną w całym emigracyjnym dorobku Wierzyńskiego.

Jednocześnie jednak w wyborze ujęto utwory mniej otwarcie „emigracyjne” i w mniej oczywistym sensie „polskie”, jak niezwykle nastrojowy *Teatr Marcella* z wydanego pośmiertnie tomu *Sen mara* (1969). Właśnie ten wiersz, choć nie został omówiony w osobnym rozdziale w drugiej części pracy, najlepiej pokazuje, jak przemyślane jest to opracowanie. Dopiero w kontekście empatycznego (to dobry tu przymiotnik) szkicu biograficznego w części pierwszej zrozumiały staje się obraz poety stojącego nocą w pustych ruinach rzymskiego amfiteatru, z którego Mussolini kazał usunąć nawet straganiarzy – starego poety z obcego, zniewolonego kraju, którego od trzydziestu lat nie widział: *Gdy odejdą stąd ostatni Amerykanie i Niemcy, / Ja tu przychodzę nocą, / Stoję pod murami i gram / Moje własne komedie i dramaty, / Jedyny autor, / Jedyny aktor, / I do tego jeszcze publiczność*. Tu także Wierzyński pisze o samotności i bezdomności emigranta i poety, gdyż jego zdaniem artysta nigdy nie jest rozumiany w pełni. W świetle tego można z kolei zrozumieć jego wiersze o ukochanej żonie, czyli tej, która ze wszystkich rozumiała go najlepiej. Jolanta Dudek jest jak palec wskazujący na mistrza, naprowadza czytelnika, a nie przesłania omawianego tekstu błyskotliwością interpretacji. Jeśli taka dyscyplina autorska zostanie utrzymana, seria „Nowego Napisu” ma szansę spełnić swoją funkcję.

Marek Misiak

Jolanta DUDEK, *„Jeśli mi słowo bić przestanie, co mi po sercu”*.  
O twórczości Kazimierza Wierzyńskiego, Instytut Literatury, Kraków 2023,  
seria: Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”.

## Polemiki młodego Turowicza



„Wszystko nam jedno – jak każdy wam powie – dreszczy unikać, a dyszel mieć w głowie!”. Tak brzmiały słowa jednej z piosenek Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej we Lwowie w latach 30. XX wieku. Jerzy Turowicz studiował wtedy na Wydziale Budowy Maszyn tamtejszej politechniki. Same studia mimo początkowej nimi fascynacji były, jak po latach przyznał, pomyłką, jednak otworzyły przed młodym Turowiczem drzwi organizacji akademickich, Sodalitacji Mariańskiej i SKMA „Odrodzenie”. Programowo żyły one

wówczas odnową liturgii, duchem Kościoła wspólnotowego, służebnego, otwartego, a prądy te płynęły z Francji. Młodzi fascynowali się nauką społeczną Kościoła zawartą w encyklikach *Rerum novarum* Leona XIII (1891) i *Quadragesimo anno* Piusa XI (1931). Pociągały ich tomizm i personalizm, na nowo odkrywane przez Maritain, Gilsona i Garrigou-Lagrangę’a. Nawiązywali kontakty z dominikanami, wśród których szczególnie rola przypadnie ojcu Jackowi Woronieckiemu.

Książka Małgorzaty Strzeleckiej to obrazek pierwszych kroków publicystycznych Jerzego Turowicza. Przyszły redaktor „Tygodnika Powszechnego” zaczął we Lwowie od publikowania w „Gazecie Kościelnej”. Pisywał w tym czasie do warszawskich periodyków „Prosto z Mostu” i „Vox Universitatis” oraz poznańskiej „Kultury”. Praktykę w kierowaniu zespołami dziennikarzy zdobywał, sprawując funkcję redaktora naczelnego lwowskiego biuletynu SKMA „Odrodzenie” pt. „Dyszel w Głowie” (1932-1934), periodyku studentów UJ „Historia” (1937), a potem w Krakowie w chadeckim dzienniku „Głos Narodu” (1939). Przysłowiowy „dyszel w głowie” redaktora ukształtowany został niewątpliwie w jego aktywności intelektualnej i społecznej w latach 30.

Autorka przedstawiła ewolucyjny rozwój publicystyki Turowicza. Jeszcze we Lwowie dochodziło do polemik na pióro. Pierwszym znaczącym adwersarzem Turowicza był student Politechniki Lwowskiej Zbigniew Schneigert. Turowicza fascynowała postać Henry’ego Forda. Na łamach „Życia Technicznego” opublikował dedykowany Fordowi artykuł *Jak zbankrutował liberalizm*. Tekst był kompilacją różnych idei Turowicza, który usiłował wskazać, że mimo światowego kryzysu gospodarczego u nas też istnieją możliwości zmniejszenia liczby zwolnień robotników, da się zniwelować negatywne skutki zmechanizowanej pracy i można ubezpieczyć robotników na starość. Adwersarz zmiażdżył jednak idee Turowicza, który po latach wyznał, że Schneigert miał rację. Ostatecznie to Turowicz porucił wykształcenie politechniczne dla publicystyki, inżynier Schneigert zaś wybudował kolejną liniową na Kasprowy Wierch. Innymi liczącymi się przeciwnikami publicystycznymi byli do wybuchu wojny Ludwik Stomma i Adam Dobczyński.

Światopoglądowe postawy wychowanków SKMA „Odrodzenie” zawierające się w hasłach uniwersalizmu, obiektywizmu i realizmu, utwierdzone były rokrocznie podczas Tygodni Społecznych w Lublinie, a inspiratorem zjazdów był ks. Władysław Lewandowicz. Konsolidowały one środowisko i były kuźnią wielu, którzy wpłynęli na oblicze polskiego katolicyzmu (ks. Tadeusz Federowicz, Ludwik Stomma, Antoni Gołubiew, kard. Stefan Wyszyński). Ma również młody Turowicz swój wkład w odnowę liturgii Kościoła katolickiego. Studenci angażowali się bowiem w pełniejsze przygotowanie do mszy poprzez drukowanie książeczek zawierających odpowiedzi na wezwania celebransów.

Choroba płuc wiosną 1934 roku spowodowała, że Turowicz przenosi się do Krakowa. Na Uniwersytecie Jagiellońskim studiuje wówczas filozofię, historię i prowadzi działalność publicystyczną. Poślubi Annę Gąsiorowską, nawiąże kontakty z kard. Adamem Sapiehą. W zakresie publicystyki staje się prawą ręką ks. Jana Piwowarczyka. Nie bez znaczenia były te wszystkie poczynania dla przyszłego gościa Soboru Watykańskiego II.

Bogdan Bernat

Małgorzata STRZELECKA, *Dyszel w głowie Jerzego Turowicza*,  
Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2023.

## One są



Niewidzialne, niechciane, lekceważone, zmęczone i opuszczone. Zmagające się z trudami macierzyństwa oraz nieudanymi związkami. Mierzące się ze słabnącym ciałem poddawany nieubłagalnemu upływowi czasu. Uciekające przed przeszłością i ludzące się, że gdzieś daleko jest jakieś miejsce, w którym mogłyby zacząć na nowo. Kobiety w każdym wieku. Bohaterki książki Karmele Jaio *To nie ja*. Autorka chwytła ich życie wraz z towarzyszącym im cieniem, rodzajem ciężkiej zasłony tkanej latami przez oczekiwania społeczne. Właśnie z tych sztywnych i utrwalonych konwenansów bierze się ciągła niepewność co do swojej pozycji i jednoczesna potrzeba udowodnienia, że jest się wartościową, zasługującą na uwagę jednostką. Dramatycznie w tym kontekście brzmią słowa jednej z protagonistek: „nikt z mojej rodziny nie spytał o moją pracę, o książki, które wydajemy ani nawet o napisane przeze mnie bajki”.

Drobiazgowa wivisekcja prowadzona przez Karmele Jaio daje wgląd w wydrążone wnętrza, pokazując, co dzieje się, kiedy kobiety dają innym wszystko, nie otrzymując w zamian za wiele. Jej opowieść traktuje o straconych złudzeniach i próbach oddania się marzeniom, o tym, by jeszcze spróbować doświadczyć gigantycznego szaleństwa, choćby przez próby wskrzeszenia przeszłości za pomocą rekwizytów z dawnych lat. Tak, jakby założenie maturalnej sukienki mogło anulować wszystko, co stało się potem. Obraz wykreowany przez autorkę eksponuje kobiety zatrzymane w pół kroku, niepomierne zdziwione, jak niepozorne codzienne czynności zajęły w ich życiu tyle przestrzeni, że nie zostało w nim miejsca już na nic.

To poruszające studium życia jednostek uwikłanych w relacje, których zasady ustala ktoś inny. Karmele Jaio z chirurgiczną precyzją tnie skalpelem wierzchnią powłokę tworzonych związków, ale nie po to, by sprawić ból swoim bohaterkom, lecz by przeniknąć do głębi złożonej istoty kobiecości. Przygląda się, jak każda z nich usiłuje wyrwać z życia chociażby pojedyncze nitki, mając przecież świadomość, że to nie wystarczy do wydziergania nowej wersji minionego losu. Jakimś skrawkiem nadziei zdaje się ich trwanie, wbrew wszystkim niesprzyjającym okolicznościom, a także podejmowane nieustannie próby uchwycenia pojedynczych momentów zakorzenienia w najbardziej niesprzyjającej teraźniejszości. To wszystko tworzy niezwykle przejmującą panoramę pojedynczej egzystencji, której szczegóły udało się autorce doskonale uchwycić.

Jej czternaście opowiadań to czternaście gorzkich portretów kobiet ciasno splecionych z innymi. Szczelnie zafoliowane wymaganiami wspólnoty, do której należą, stają się w pewnym momencie produktem z blaknącą datą ważności. Z trudem potrafią sobie przypomnieć, że kiedyś miały własne marzenia i pasje. A jednocześnie drzemie w nich siła niepozwalająca dać się tak łatwo wypchnąć poza krąg życia. Wszystkie bohaterki toczą więc swoją walkę, nie dając się zredukować wyłącznie do prostej fizjologii.

Chociaż baskijskiej powieściopisarki nie brakuje poczucia humoru, to rzeczywistość przez nią prezentowana jest odpychająca w swojej bezwzględności. Karmele Jaio z pełnym wyrachowaniem obnaża świat, jaki widzimy na co dzień. Nabrzmiały od głosów kobiet, których nikt nie chce wysłuchać. Ona natomiast pozwala, by mówiły, bez lęku przed jakąkolwiek oceną, wszystko, na co mają ochotę. Przepelniona czułością tworzy dla nich rodzaj bezpiecznej przestrzeni, w której mogą czuć się swobodnie. Pochylając się w stronę swoich bohaterek, łowi wrażliwym uchem każdy ich szept i najbardziej nawet dramatyczne słowo skargi. Z tego niezwykle uważnego słuchania narodziły się opowieści, które są, jak sama autorka pięknie i niezwykle sugestywnie podsumowała, „intymnym weschnieniem kobiet”.

Aneta Zawadzka

Karamele JAIO, *To nie ja*, przeł. Maja Gańczarczyk, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2023, seria: Bo.wiem.

## Bogactwo Wilna



Stołeczny charakter Wilna wymuszał na najważniejszych (i najbogatszych) mieszkańcach Wielkiego Księstwa wizytowanie miasta. Interesy gospodarcze, sprawy sądowe czy wreszcie konieczność kreowania i podtrzymywania politycznych aliansów były powodem, że do miasta nad Wilejką przybywali wszyscy, którzy na Litwie coś znaczyli lub znaczyć chcieli. Co siłą rzeczy skutkowało tym, że wznosili oni w mieście rezydencje, w których spędzali krótszą lub dłuższą część roku.

Owe miejskie rezydencje wielkich (i mniejszych) rodów w Wilnie stanowią temat interesującej i wartościowej pracy Anny Czyż, która połączyła w niej dwa istotne wątki. Pierwszym jest imponujący swoim rozmachem katalog czterdziestu jeden pałaców, zachowanych w lepszym i gorszym stanie oraz pewnej części niezachowanych. Każdy omawiany w katalogu obiekt ma dokładnie wskazaną lokalizację, historię oraz opis. Ważnym elementem dużej części wpisów jest wskazanie na związki stylistyczne oraz usytuowanie pałacu w strukturze urbanistycznej Wilna. Tam, gdzie jest to możliwe, wpisy do katalogu są uzupełniane o materiały źródłowe, także ikonograficzne.

Dzięki tej drobiazgowej pracy czytelnicy otrzymują kompendium wiedzy na temat rezydencji wileńskich, które może być doskonałym punktem wyjścia do dalszych badań, bądź to szczegółowych omówień poszczególnych zabytków, bądź też prób syntezy. Nie da się zatem zaprzeczyć temu, że omawiane opracowanie jest jedną z najistotniejszych pozycji w historii polskiej architektury nowożytnej.

Opracowane przez Annę Czyż katalog poprzedzają trzy krótkie szkice pióra autorki, pozwalające na prawidłowe usytuowanie prezentowanych w nim obiektów. Autorka prezentuje historię rozwoju miasta, ukazując na tym tle dzieje budowania rodowych rezydencji.

Bardzo istotnym fragmentem jest prezentacja architektów oraz warsztatów budowniczych działających w Wilnie. Należy podkreślić, że jest to właściwie pierwsza synteza tego tematu podjęta w polskiej literaturze. Opracowanie to jest uzupełnione słownikiem architektów i budowniczych działających w Wilnie od szesnastego do osiemnastego wieku. Krótkie biogramy uzupełnione są bibliografią i odesłaniem do źródeł archiwalnych.

Trzeci rozdział jest syntezą wiedzy na temat rezydencyjalnej architektury wileńskiej. Autorka jako podstawowy czynnik wpływający na jej kształt wskazuje na fakt, że rezydencje były budowane w ramach już istniejącej struktury miejskiej, co w sposób konieczny ograniczało możliwości i inwencję architektów. Stylistycznie architektura odpowiadała innym założeniom pałacowym w Polsce oraz wpływom architektury europejskiej.

Książka jest bardzo istotnym i potrzebnym wstępem do dalszych badań nad architekturą wileńską. Anna Czyż nie ukrywa, że stan tych badań jest wciąż niewystarczający i istnieje konieczność dalszych prac archiwalnych oraz przygotowania monograficznych opracowań poszczególnych rezydencji, a także ich wpływu na tkankę miejską oraz budownictwo obszaru Wileńszczyzny. W jej przekonaniu „książka nie zamyka i nie wyczerpuje badań, ale jest zaproszeniem do ich kontynuacji i poszerzania”. Dodajmy, że zaproszeniem opartym na rzetelnej pracy i solidnej metodologii.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę czytelników na wydawcę *Pałaców Wilna*. Jak się okazuje, niektóre instytucje lub wydawnictwa komercyjne są w stanie systematycznie budować wartościowy dorobek intelektualny poprzez publikowane książki. Jedną z nich jest Instytut POLONIKA, zajmujący się wydawaniem szeregu opracowań, które z całą pewnością poszerzają naszą wiedzę na temat polskiego dziedzictwa kulturowego.

Juliusz Gałkowski

Anna Sylwia CZYŻ, *Pałace Wilna XVII-XVIII wieku*, Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA, Warszawa 2021.



Leszek Szaruga

# Dziwne i „zbędne”

Przed laty sporo się nadziwowano tematowi pracy doktorskiej, której istnienie wykrył dziennikarz „Polityki”, praca poświęcona była mianowicie grze w palanta. W oczach szerokiej publiczności praca ta w oczywisty sposób wydawała się zbędna, śmieszna i budząca oburzenie przez fakt inwestowania sporych w końcu sum na podejmowanie badań nad zjawiskiem, które uznano za niegodne uwagi. Nie bez znaczenia w owych komentarzach była sama nazwa tej gry: palant. Nic prostszego niż przeniesienie tej nazwy na określenie samego badacza. Już nie pamiętam, jak sprawa się rozwinęła i czy osoba, która podjęła się napisania owej dysertacji, zdołała się obronić. Dość, że „afery” przez dłuższy czas zajmowała uwagę gawieździ, choć przecież nie tak trudno pojąć, że badania dotyczące gier i zabaw mają wiele aspektów godnych uwagi. Choćby sam fakt, że dziedzina, jaką jest teoria gier, już wówczas uważana była, i słusznie, za wartą głębszych zaangażowań poznawczych dotyczących zresztą nie tylko takich kwestii jak strategię gry, ale też między innymi spraw związanych z rolą oraz znaczeniem gier i zabaw w życiu społeczności. W końcu rozszyfrowywanie roli gry w piłkę w społecznościach Majów i Azteków po dziś dzień zajmuje badaczy chcących zrozumieć znaczenie tej, zapewne rytualnej, „zabawy”.

Wspominam o tym nie bez powodu, często bowiem słyszymy i czytamy o tym, że jakieś badania czy poszukiwania artystyczne to działalność absolutnie marginalna, interesująca i rozumiana dla stosunkowo niewielkiej grupy ludzi bądź że koszty przedsięwzięć naukowych poświęconych choćby badaniom kosmicznym są zbyt wysokie, by łożyć na nie środki, które należałoby raczej przeznaczyć na poprawę materialnej kondycji żyjących w skrajnej nędzy społeczności. Zapewne niewiele osób na świecie jest w stanie przeczytać ze zrozumieniem artykuły z zakresu logiki matematycznej bądź zachowań cząstek elementarnych. Ale też miliony ludzi korzystają z badań w tych dziedzinach dokonywanych, używając telefonów komórkowych, nie zdając sobie ogóle sprawy z faktu, że te narzędzia – których możliwości wciąż jeszcze do końca nie znamy – wytworzone zostały dzięki istnieniu i rozwojowi tych właśnie dziedzin. Podobnie przecież wielu ludzi, nawet świetnie wykształconych, reaguje na nowe zjawiska w sztuce, pomstując na ich „niezrozumiałość” i „elitarność”, a jednocześnie nie zdając sobie sprawy z faktu, że właśnie dzięki tym artystycznym poszukiwaniom – niewolnym, jak i poszukiwania naukowe, od błędów i brnięcia w ślepe uliczki – dokonują się zmiany w kulturze. Tyle że

wszystko to są procesy dyskretne, „niewidoczne” dla użytkowników zajętych, jak sądzą, sprawami „ważniejszymi”.

Rzadko jesteśmy skłonni zastanawiać się nad związkami, jakie łączą bardzo specjalistyczne, niemal „tajemne” profesje z życiem codziennym. Skupieni na tym, co dla nas samych stanowi problem najważniejszy, nie zwracamy uwagi na subtelne relacje wiążące nasze przedsięwzięcia z poszukiwaniami innych i na to, że wszelkie działania, niezależnie od tego czy tyczą one teorii, czy praktyki, czy stanowią eksperymenty myślowe, czy techniczne, tworzą sieć wiążącą je wszystkie w całość, której dynamika, przebieg napięć i przepływów energii sprawia, że nasz świat podlega nieustannej przemianie. Zarazem jednak wszystko to funkcjonuje w spójnej czasoprzestrzeni i pozwala odnaleźć relacje między dialogami Sokratesa spisanyymi przez jego ucznia a fotografiami dostarczonymi przez teleskop Webba. Dopiero namysł nad tym wszystkim pozwala człowiekowi, którego te zagadnienia interesują, odnaleźć swoje miejsce w świecie i zrozumieć, co łączy – w kulturze europejskiej – odległą w czasie bitwę pod Termopilami z postawami ludów wybijających się w XIX i XX stuleciu na niepodległość.

Dynamika przemian sprawia, że nasza tradycja kulturowa coraz częściej konfrontowana jest z dokonaniem kultur „egzotycznych”, zarówno dawnych, jak istniejących współcześnie. Te konfrontacje często stanowią impulsy innowacyjne bądź też skłaniają innych do korzystania z naszych osiągnięć. Dziś może widoczne jest to wyraźniej niż w epokach wcześniejszych, a to za sprawą eksplozji demograficznej sprawiającej, że w chwili obecnej ludzkość podwoiła swą liczebność w stosunku do tej, jaka istniała w połowie XX wieku. Tym samym rośnie, zakładając trwałą w różnych okresach średnią procentową poszczególnej grup, bezwzględna liczba ludzi zajmujących się nauką i sztuką, tych więc, których kreatywność decyduje o kondycji społeczności globalnej. Tym samym narasta nieustannie liczba coraz węższych specjalności pozornie ze sobą niepowiązanych. Ten stan rzeczy wymaga daleko idących reform edukacji powszechnej, reform pozwalających przynajmniej z grubsza ogarnąć sytuację, w jakiej się znajdujemy i utrwalić świadomość owych sieciowych powiązań, za sprawą których w ludzkiej przedsiębiorczości nie istnieją – gdy chodzi o badania naukowe czy poszukiwania artystyczne – sprawy dziwne lub „zbędne”. Jak do tego doprowadzić? Oto jedno z ważniejszych wyzwań naszej współczesności.

# Skarby Towarzystwa Naukowego Płockiego

Fot. TNP

Więcej o towarzystwach naukowych czytaj na str. 14-15.



M. Kopernik, *De revolutionibus orbium coelestium...*, Nürnberg 1543



Grzbiety opraw starodruków w Bibliotece im. Zielińskich TNP



Pieczęć Króla Stanisława Augusta Poniatowskiego



Gerard Mercator, *Atlas sive cosmographicae meditationes de fabrica mundi...*, Amstelodami 1607



Jan Heweliusz, *Prodomus astronomiae*, Gdańsk 1690



Dante Alighieri, *La Commedia*, Brescia 1487



Francisco Goya y Lucientes, *Czy uczeń mógłby wiedzieć więcej?*, rycina z cyklu *Kaprysy*, 1799



Kazimierz Siemienowicz, *Artis magnae artilleriae pars prima...*, Amstelodami 1650



Sala im. Tadeusza Gierzyńskiego w XV-wiecznej siedzibie TNP



Gabinet Prezesa w siedzibie TNP



Sala Konferencyjna im. M. I. A. Macieśzów w siedzibie TNP



Siedziba Towarzystwa Naukowego Płockiego od strony ogrodu – kamienica z XV wieku (skrzydło po lewej) wraz z XIX-wieczną oficyną (skrzydło po prawej)



„Dom pod Opatrznością”, główna siedziba Biblioteki im. Zielińskich Towarzystwa Naukowego Płockiego



Politechnika  
Wrocławska

Prof.  
**Ido  
Kaminer**

z Technion – Israel  
Institute of Technology

**laureatem Europejskiej  
Nagrody Naukowej  
im. Stanisława Lema  
w 2023 roku**

Doceniony za  
„Pionierski, eksperymentalny i teoretyczny  
wkład w dziedzinę elektrodynamiki  
kwantowej kwazicząstek fotonicznych  
oraz stworzenie podstaw  
optyki kwantowej z uwzględnieniem  
swobodnych elektronów”

**Lem Prize** ufundowana dla upamiętnienia 100. rocznicy urodzin wybitnego polskiego pisarza i wizjonera Stanisława Lema, doktora *honoris causa* Politechniki Wrocławskiej z 1981 r. Nagroda jest adresowana do młodych naukowców poniżej 40. roku życia. Przyznaje ją międzynarodowa kapituła, której przewodniczy prof. Reimund Neugebauer, prezes Towarzystwa Fraunhofera. Więcej na [lemprize.pwr.edu.pl](http://lemprize.pwr.edu.pl)

Badacz fundamentalnych aspektów związanych z interakcją światła i materii, łączy w sobie błyskotliwość teoretyka i mistrzostwo eksperymentatora. Jego prace mają duży wpływ na środowiska zajmujące się nauką i technologiami.

FUNDATORZY I PARTNERZY

